interia

TO SIĘ NIGDY NIE KLIKNIE

...tak przewrotnie mówimy w redakcji, gdy spodziewamy się, że nasz autorski, dopracowany tekst może przegrać z codziennymi skandalami i kontrowersjami.

Oto subiektywny wybór najlepszych tekstów, które ukazały się w Interii w 2016 r.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

interia

TO SIĘ NIGDY NIE KLIKNIE

...tak przewrotnie mówimy w redakcji, gdy spodziewamy się, że nasz autorski, dopracowany tekst może przegrać z codziennymi skandalami i kontrowersjami.

OD REDAKCJI

Wspólnie z Woblinkiem postanowiliśmy zgromadzić dla Was najlepsze teksty dziennikarzy portalu Interia opublikowane w 2016 r. Dlaczego pod tytułem „To się nigdy nie kliknie”? Tak zazwyczaj mówimy, kiedy jesteśmy wyjątkowo dumni z naszych tekstów, są ciekawe, ambitne i poruszają ważne tematy.

Założyliśmy fanpage na Facebooku pod tym samym tytułem. Możecie tam czytać i oglądać nasze materiały na bieżąco – zapraszamy!

Agnieszka Łopatowska,
dyrektor sektora Lifestyle

To wydanie dedykujemy pamięci zmarłego 11 stycznia 2017 r. Zygmunta Moszkowicza, zastępcy redaktora naczelnego portalu Interia – naszego przyjaciela, mądrego nauczyciela i dobrego ducha.

„Afryka była najbliżej Polski”. Uratowani zesłańcy z Syberii trafili na Czarny Ląd

AUTOR: EWELINA KARPIŃSKA-MOREK

STYCZEŃ 2016

Koja, Uganda. Na zdjęciu drużyna polskich zuchów „Wilki morskie” (Z archiwum Artura Woźniakowskiego)

Kawałek swojego dzieciństwa spędzili w Afryce. Po pobycie na Syberii trafili – jak sami wspominają – do „raju”. Mieli tam wszystko: polskie szkoły, harcerstwo, teatr. I bez przerwy rozbudzany patriotyzm, dzięki któremu wydawało się, że

Afryka leży najbliżej ojczyzny. O „małej Polsce” na Czarnym Lądzie opowiadają Danuta Sedlak, Artur Woźniakowski i Stanisław Lula.

Moi rozmówcy mieli po kilka lat, gdy w 1941 r., po podpisaniu układu Sikorski-Majski, rozpoczęto formowanie jednostek polskiego wojska w Rosji Sowieckiej. Ogłoszenie „amnestii” otworzyło wtedy przed Polakami możliwość wydostania się z Syberii. Ponad 18 tys. trafiło do Afryki.

14-letni Stanisław Lula (po lewej) jako junak. Teheran, 1942 r. (Z archiwum Stanisława Luli)

„CZERWONY BERET ZOSTAŁ W SIEROCIŃCU”

– My z bratem byliśmy w Samarkandzie (obecnie miasto w Uzbekistanie – red.), w sierocińcu. Było nas tam sporo – opowiada Artur Woźniakowski. –

Ojciec w tym czasie przebywał w wojsku w Kermine (obecnie Nawoi w Uzbekistanie – red.), a mama w kołchozie. Szykował się wyjazd do Persji. Tata przyjechał po mamę. Jechali przez Samarkandę. Ojciec dał maszyniście chyba dwie paczki papierosów, żeby postał tam trochę dłużej. Mama wpadła na podwórko sierocińca, złapała brata i mnie. Pamiętam, że się bardzo broniłem, bo mój czerwony beret tam został – wspomina.

Pamięta, że pociąg stał na stacji i wszędzie było pełno wojska. I nagle wszyscy zaczęli śpiewać rotę. Kiedy pociąg ruszył, żołnierze salutowali.

Ze statku, którym płynęli do Pahlewi, Artur Woźniakowski zapamiętał słodycze i brud. – Wcześniej był głód, a tutaj dali wszystko, do syta. I ludzie zaczęli chorować na żołądek. Nie można się było dostać do ubikacji, więc żołnierze już nie czekali, tylko tak... za burtę – mówi.

MIĘSO BYŁO WTEDY, GDY ZACHOROWAŁ KOŃ

Stanisław Lula opowiada o Syberii. Był rok 1940. – Pamiętam, jak mi ślinka leciała, gdy patrzyłem na obsmarowanego traktorzystę zajadającego wermiszel czy bliny. Potraw mięsnych nie było. Czasem pojawiała się zupa z kawałeczkami mięsa końskiego. Ale tylko wtedy, gdy weterynarz uznał, że koń jest chory – wspomina.

Niebawem po wybuchu wojny z Niemcami przyjechał do nich przełożony komendanta milicji i powiedział: „Germania napadła na Sowieckij Sojuz i teraz my już z Polakami druzia”. Druzia, czyli „przyjaciele”.

– W Krasnowodzku ostatni raz stąpaliśmy po sowieckiej ziemi. Po tym, co przeszliśmy, naszym pragnieniem było, aby tam nigdy nie powrócić – podkreśla pan Stanisław.

NA SYBERII LISTY Z POLSKI CZYTAŁO SIĘ NA GŁOS

Gdy Danuta Sedlak przebywała ze swoją mamą i siostrą w „samym sercu Syberii", dotarła do nich wiadomość, że ojciec trafił do Dachau. – Mama była wtedy młodziutką, 23-letnią dziewczyną. Nie za bardzo wiedziała, co to jest ten Dachau. Ale widziała, jak przerażeni byli ludzie, gdy im o tym mówiła. Bo tam, na Syberii, listy, które przychodziły z Polski, czytało się na głos – opowiada.

Z ucieczki z „syberyjskiego piekła" pamięta bardzo dokładnie podróż statkiem. – Płynęliśmy przez Ocean Indyjski do Mombasy. A ponieważ to były supercywilizowane warunki, to zapamiętałam luksus, dobrobyt, te wszystkie chromowane krany, szkło... – wspomina Danuta Sedlak.

Statek mógł zostać storpedowany i co chwilę ogłaszano alarmy. Wtedy ludzie w kapokach stawali w szeregu na pokładzie.

– Pamiętam latające ryby na Oceanie Indyjskim, a później zetknięcie z Czarnym Lądem. Byłam przerażona, bo zobaczyłam wtedy, „idące" białe spodnie... Nie skojarzyłam tego z Murzynami! Nie miałam pojęcia, że tacy istnieją. Do Mombasy dotarliśmy w ciemnościach, gdzie zobaczyłam nagle, jak przesuwają się te białe spodnie... – opowiada z rozbawieniem pani Danuta.

Stanisław Lula opowiada, że za statkiem płynęły wygłodniałe rekiny: „Niejednokrotnie z przodu wynurzało się z wody stado rybek uciekających przed statkiem, które, lecąc w bok na odległość ponad 100 metrów, osiadały znów na wodzie. Początkowo myśleliśmy, że to jaskółki lub inne ptaki"

Wiedział, że udaje się do egzotycznej części świata, że przekroczy równik i że zobaczy Kilimandżaro. Gdy statek wpływał do portu w Mombasie, zobaczył grupę czarnoskórych. – Podziwialiśmy ich, gdyż to były inne czasy – zaznacza.

Danuta Sedlak pokazuje na mapie "serce Syberii". Z tego miejsca uciekały później do Afryki / Ewelina Karpińska-Morek / INTERIA.PL

POLSKIE OSIEDLA W AFRYCE

Danuta Sedlak przywołuje ciepłe wspomnienia. Bawi się afrykańskimi koralami, które ma na szyi. Przeżyła piekło Syberii, ale Syberii w tych wspomnieniach nie ma. Jest za to wielokrotnie przywoływany afrykański „raj".

– Należy pamiętać, że są to świadkowie historii, którzy w czasie wojny byli dziećmi – podkreśla Alicja Śmigielska z Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń UP. Zaznacza, że w Afryce odzyskali dzieciństwo utracone na Syberii, gdzie w wielu przypadkach musieli przejąć funkcje rodziców i zaopiekować się młodszym rodzeństwem.

Dla Polaków, którzy z Syberii dotarli do Afryki, przygotowano specjalne osiedla. W obozie w Koji były małe domki – ulepione z gliny, przykryte trawą słoniową i liśćmi bananowca. „Afrykańskie dzieci"

zapamiętały stamtąd głównie ład, doskonałą organizację i chatki w równym szeregu. W każdej z nich zamieszkały dwie rodziny.

– Z jednej strony my, z drugiej rodzina Matuszczyków. W naszym „apartamencie" zamiast podłogi było klepisko. Ale za to łóżka miały moskitiery i każda miała wreszcie własne łóżko! To była nieprawdopodobna radość! – opowiada z przejęciem pani Danuta.

Kiedy Artur Woźniakowski przyjechał z mamą i bratem na miejsce, w Koji była już szkoła i zakłady, w których mogli pracować mieszkańcy.

Stanisław Lula, który do Ugandy dotarł, gdy miał 16 lat, wspomina: „Osiedle Masindi to rozległa wioska zbudowana specjalnie na przyjęcie uchodźców polskich. Powstało w 1942 r. i składało się z 8 wiosek połączonych ze sobą. Każda z nich miała swoją nazwę. Wioska nasza nazywała się 'Małpi Gaj', gdyż graniczyła z buszem, gdzie było dużo różnych małp".

Przez środek Masindi biegła ulica o nazwie „Rób, co chcesz".

WYPADEK NAD JEZIOREM

Osiedle Koja zbudowano nad Jeziorem Wiktorii. – Upał, gorąco, człowiek by się chętnie kąpał. Z początku nie było wolno, bo krokodyle. Nawet był taki przypadek, że Romka Śliwę porwał krokodyl i chłopiec zginął. No, ale dzieci trudno krokodylami wystraszyć – opowiada Artur Woźniakowski.

Danuta Sedlak pamięta, że „z jeziora korzystały głównie chłopczyska". Jeden z nich, Czemieżewski Józek, miał patent żeglarski i łódkę, więc pływali po Wiktorii. Ale to nie było bezpieczne...

Polacy trzymali w domach małpy zamiast psów i kotów. Stanisław Lula wspomina zabawy w polskim osiedlu Masindi (Uganda): „Mieliśmy tam jako atrakcję nie tylko małpy, ale także w dżungli obok wysokich

drzew wyrastały liany, które stanowiły wspaniałą huśtawkę. Można było przelatywać z jednego pagórka na drugi, lecąc na tej huśtawce długości około 15–20 metrów”.

POUKŁADANE ŻYCIE W UGANDZIE

W polskich osiedlach w Afryce przebywały głównie kobiety i dzieci oraz mężczyźni, którzy nie nadawali się do służby wojskowej. Mama Danuty Sedlak była pielęgniarką, a mama braci Woźniakowskich – nauczycielką. – Była i szkoła, i przedszkole. Pełna organizacja – jak w małym miasteczku – wspomina pani Danuta.

Dlaczego mama zdecydowała się na Afrykę? Danuta Sedlak tłumaczy, że mogły jechać do Nowej Zelandii, Kanady albo do Meksyku. Ale mamie się wydawało, że najbliżej Polski będzie Afryka.

Pani Danuta zapamiętała lekcje w szkole pod gołym niebem i podręcznik, który przypadał na dziesięć osób. – Kadra pedagogiczna była na wysokim poziomie. Bo przecież na ogół na Sybir wywożeni byli głównie przedstawiciele inteligencji. Ci ludzie potrafili fantastycznie zaangażować młodzież nie tylko do nauki. Wspaniale organizowano wszystkie święta narodowe i kościelne – opowiada pokazując czarno–białe zdjęcia z tamtych lat.

CZYM BYŁ KAWAŁEK CHLEBA PO SYBERII?

W Koji można było normalnie pracować. Funkcjonowały zakłady szewskie, rymarskie, stolarnie, kuźnie. Była administracja. Ludzie dostawali jakąś sumę pieniędzy. Dostawało się też wyżywienie z magazynów – chleb, warzywa, ryby, co pewien czas mięso.

Artur Woźniakowski pokazuje mi zdjęcie wykonane przy kopcu termitów obok ich domu. W oddali widać właśnie taki magazyn. – Z początku nam się wydawało, że tego wszystkiego jest mało. Bo czym był kawałek chleba po Syberii? Jak się tam, na Syberii, tylko chleb jadło, to trzeba było go zjeść dużo. A tu już było różnie. Ale pamiętam, że i cukier, i kawę się wyrzucało, bo było tego w nadmiarze – mówi.

NIESAMOWITY BYŁ PĘD DO NAUKI

W Ugandzie doskonale rozwinęło się polskie szkolnictwo, choć – jak wspomina pan Artur – warunki były ciężkie. – Lekcje odrabialiśmy przy lampie naftowej. Nie było elektryczności czy radia, ale wszystkie lekcje i zabawy były świetnie zorganizowane – opowiada.

Danuta Sedlak zaznacza, że choć osiedle Tengeru w dawnej Tanganice, dzisiejszej Tanzanii, było większe od osiedla w Koji i w związku z tym szkolnictwo mogło się tam lepiej rozwinąć, to również w Koji można się było kształcić – w szkołach podstawowych, gimnazjach, liceach, szkołach zawodowych – krawieckich, budowlanych itd. I panował niesamowity pęd do nauki!

Stanisław Lula zachował nawet świadectwo ukończenia trzeciej klasy gimnazjum w Masindi. – Powstało kino, teatrzyki. Ja występowałem w jasełkach, byłem pastuszkiem. Pamiętam nawet swoją rolę: „Czy wam się chce spać, czy was dusi zmora?”. A kolega dopowiadał: „A możeście popili z wieczora?” – recytuje.

PATRIOTYZM BYŁ BEZ PRZERWY ROZBUDZANY

A święta na tym skrawku Polski w Afryce? – Dużo uciechy sprawiała nam Wielkanoc, gdyż w Afryce było bardzo ciepło. W śmigus-dyngus polewaliśmy się wodą od rana do wieczora – opowiada Stanisław Lula.

– Jeśli chodzi o Boże Narodzenie, to opłatek był, drzewka naturalnie nie było, choć ubierało się np. araukaria czy zbliżone w wyglądzie. Robiło się łańcuchy, wydmuszki z jajek, bombki. Poza Bożym Narodzeniem w wielką pompą obchodziło się zwłaszcza 3 Maja i Święto Niepodległości. Z deklamacjami, z przedstawieniami – wylicza pani Danuta.

– Ten patriotyzm był bez przerwy rozbudzany. Nas tak w tym duchu patriotycznym bardzo wychowywano – podkreśla pan Artur.

– W Afryce Polacy wracali do normalnego życia. Przede wszystkim chciano wykształcić dzieci, aby po powrocie do kraju miały jakąś tożsamość, wiedzę i potrzebne umiejętności. Znamy osoby, które przeszły szlak Syberii i nie pamiętają Polski przedwojennej, bo urodziły się tuż przed samą deportacją, albo na zsyłce i dlatego nie mają prawa pamiętać swojej ojczyzny. Często osoby, które nie wróciły po wojnie do kraju i na co dzień posługiwały się językiem angielskim, nigdy nie zapomniały ojczystego języka polskiego, którym posługują się w swoich domach bez żadnego angielskiego akcentu. Jest to dowód na to, że polskość, którą rodzice czy nauczyciele, lub ktokolwiek inny w te dzieci zaszczepił, jest czymś bardzo mocnym – podkreśla Mariusz Solarz, uczestnik wypraw podczas których odnowione zostały polskie cmentarze w Afryce.

Stanisław Lula przywołuje wspomnienie uroczystej mszy świętej w pierwszą rocznicę śmierci generała Władysława Sikorskiego, gdzie jako harcerze pełnili wartę honorową.

Do Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń UP dotarła niedawno z Londynu niezwykła przesyłka. Alicja Śmigielska pokazuje kronikę harcerską z Koji, z około 1947 roku. Pożółkłe kartki zapełnione są ozdobnym pismem, zdjęciami i rysunkami.

ZDERZENIE Z INNĄ KULTURĄ

Osiedla, w których mieszkali Polacy, były zamknięte. Każde z nich miało swojego angielskiego i polskiego zarządcę. Ale – jak wspominają moi rozmówcy – i tak utrzymywano kontakty z lokalną ludnością.

– Murzyni przychodzili do nas przy okazji świąt kościelnych, bo już tam wtedy docierały nasze misje. Jak były święta, to zjawili się z tymi swoimi instrumentami muzycznymi. A poza tym to nie było wszystko takie cywilizowane, jak dzisiaj. Murzynki były topless. Ruszały biodrami, co powodowało wielkie zgorszenie – wspomina z rozbawieniem Danuta Sedlak, dodając, że najbardziej zgorszone były polskie kobiety.

– To była zgroza, zgroza! (śmiech). Pamiętam, że Polki odpędzały dzieci od tych Murzynów, a oni się jeszcze bardziej popisywali – opowiada.

I choć kontakty z Murzynami nie były dobrze widziane przez Anglików, kwitł handel wymienny. Za parę starych butów można było na przykład dostać kurę. Lokalni widzieli, że Polacy są biali, ale nie kojarzyli ich z kolonizatorami. Uznawali, że Polacy należą do innej, lepszej kategorii ludzi.

Pasjonat historii polskich osiedli w Ugandzie, opiekun polskiego cmentarza w Koji, Edward Wakiku znalazł w lokalnej prasie z lat 40. minionego stulecia wzmianki o Polakach. Zapamiętano ich jako ludzi,

którzy nikogo nie dyskryminowali (za: „Z mrozów Syberii pod słońce Afryki”).

RONGAI DLA SIEROT I SCHOROWANYCH

Danuta Sedlak, jej mama i siostra wcześniej opuściły obóz w Koji – ze względu na czarną malarię. Zostały przeniesione do Rongai w Kenii. – To było osiedle sierot, leżące na znacznej wysokości. Kierowały nim zakonnice, nazaretanki, które też przeszły taką samą drogę, jak my – z Syberii do Afryki – opowiada pani Danuta.

Do tego samego osiedla trafił również w 1945 roku – jako 17-latek – Stanisław Lula. Wcześniej chorował na malarię. Jedynym ratunkiem było przewiezienie go do wysoko usytuowanego obozu, który słynął z dobrego powietrza. W Masindi zostawił przyjaciół i rodzinę.

W Rongai – poza polskimi sierotami, siostrami nazaretankami i wyjątkowo chorowitymi ludźmi – przebywali również włoscy jeńcy. Wśród wspomnień z tego miejsca, przywoływanych przez Stanisława Lulę, pojawia się... mecz z Włochami: „To było dla nas niejako wydarzenie międzynarodowe, graliśmy nie tylko dla rozrywki, ale i o honor. Na początek śpiewaliśmy ‘Jeszcze Polska nie zginęła” i staliśmy wtedy na baczność”.

JEDZIECIE DO TEJ CZERWONEJ POLSKI

Danuta Sedlak – wraz z mamą i siostrą – pożegnały się z Afryką w Wigilię. Nie było łez, raczej obawa, co będzie dalej. Mama nie miała informacji z Polski. Nie wiedziała, co się stało z jej mężem, który wcześniej trafił do Dachau. Okazało się, że przeżył i zaczął ich szukać przez Czerwony Krzyż.

Nadał wiadomość, że czeka. Od razu zapisała się na wyjazd do Polski z córkami.

– Ale nie za bardzo to się podobało ludziom. Przeszliśmy wszyscy piekło Sowietów, ale ci, co zostawali, zaczęli do nas mówić: „Ha, jedziecie do tej czerwonej Polski, to też jesteście komunistami”! No i nastąpiła izolacja w stosunku do tych, którzy zgłosili się do transportu do kraju – opowiada Danuta Sedlak.

Z podróży do Polski pamięta, że dymił Wezuwiusz i to, że po raz pierwszy od kilku lat zobaczyły w Bari śnieg.

Dojechały do Czechowic-Dziedzic. – Specjalnie uroczyście nas ta nasza polska ziemia nie witała... Nie witano nas chlebem i solą. Nie wyglądało to tak, jak powinno było wyglądać – ocenia Danuta Sedlak.

– Każdy chciał wrócić do Polski, ale do tej Polski, którą tak naprawdę opuścił, a przecież Kresy Wschodnie nie znalazły się w granicach Polski powojennej. W momencie, gdy tej starej Polski nie było, bali się wracać do „nowej”. Bali się kolejnych deportacji, tego, że będą szykanowani – podkreśla Mariusz Solarz.

Alicja Śmigielska z Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń UP przywołuje również postać Krystyny Pryjomko-Serafin, która właściwie całe swoje życie spędziła na emigracji. Afrykę zapamiętała jako „niebo na ziemi”. Dopiero kilka lat temu wróciła do Polski. Mówi, że to najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić w życiu, bo dopiero tutaj czuje się jak w domu.

ZATRZASNĘŁY SIĘ WROTA

Artur Woźniakowski przywołuje w pamięci ostatni dzień pobytu w Afryce. Rodzice się umówili. Pani Woźniakowska z synami wsiadła na statek

w Mombasie, a w Port Saidzie dosiadł się ojciec. Prosto z wojska – był jeszcze w mundurze.

Przyjazd do Polski był przykry. Arturowi Woźniakowskiemu zdawało się, że się za nim zatrzasnęły wrota, że nie ma powrotu. – Przecież to była komuna. Myśmy byli doświadczeni przez komunę i wracaliśmy do komuny. Rodzice się bali, ale jeszcze bardziej bali się niepewności.

Stanisław Lula dotarł do Polski 21 lipca 1948 r. Tymczasowe dokumenty i 500 zł zapomogi mógł odebrać dopiero 23 lipca, bo 22 lipca był już „najważniejszym polskim świętem państwowym" (ogłoszenie Manifestu PKWN – red.).

Z 18 tys. Polaków, którzy dotarli do Afryki Wschodniej z Syberii tylko 3 tys. wróciły do Polski. Pozostali wyjechali do innych krajów.

Polskie dzieci, które zamiast piekła Syberii zapamiętały afrykański raj, wielokrotnie wracają do tego „położonego najbliżej Polski" miejsca, które stało się domem dla wielu uciekających z Syberii Polaków

Gdy tylko mogą, pakują walizki i jadą na swój ukochany kontynent. Artur Woźniakowski po raz pierwszy wrócił tam w 1994 roku.

– To było przeżycie. Śniło mi się po nocach, że jestem w Afryce. I jak się obudziłem, to płakałem. Płakałem, że się obudziłem. Bo jeszcze bym chciał pospać, żeby się ta nasza Afryka pośniła.

Bracia Woźniakowscy po raz pierwszy - po wielu latach - pojechali do Ugandy w 1994 r. (Z archiwum Artura Woźniakowskiego)

Ewelina Karpińska-Morek

CZYTAJ WIĘCEJ

CASUS MARCHWICKI: JAK UPOLOWANO NAJWIĘKSZEGO DOMNIEMANEGO MORDERCĘ W PRL-U

AUTOR: DOMINIKA GŁOWACKA

LUTY 2016

Zdzisław Marchwicki został skazany na karę śmierci / YouTube

Zdzisław Marchwicki – skazany na karę śmierci za zabójstwa czternastu kobiet i usiłowanie doprowadzenia do kolejnych sześciu – zdecydowanie lepiej odnajdywał się w roli więziennego „białego misia" składającego autografy na darowanych milicjantom zdjęciach niż bezwzględnego mordercy, który z niezwykłą lekkością, pejczem wykonanym

ze stalowej liny, gruchotał czaszki swych ofiar. Sprawa zabrnęła jednak zbyt daleko, żeby chociaż próbować ją odkręcać. Musiał zostać Wampirem z Zagłębia nawet pomimo tego, że na jaw zaczęły wychodzić rażące przykłady topornego fabrykowania „dowodów" zbrodni na potrzeby toczącego się pokazowego procesu. Dziś można się tylko zastanawiać, czy aby na pewno powieszono właściwego człowieka.

Od samego początku było wiadomo, że wcześniej czy później jeden z najbardziej znanych przestępców PRL-u, czyli osławiony Wampir z Zagłębia, który przez siedem lat terroryzował Śląsk, musiał zostać wskazany i surowo osądzony. Stawka była zbyt wysoka. Chodziło nie tylko o bezpieczeństwo tkwiących w psychozie strachu obywateli, ale także, a może przede wszystkim, o skuteczność peerelowskich służb i ówczesnego wymiaru sprawiedliwości. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że wśród ofiar seryjnego mordercy znalazła się bratanica pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, Jolanta Gierek.

Jedną z ofiar była bratanica Edwarda Gierka, Jolanta Gierek / YouTube

NIEUCHWYTNY MORDERCA

Działalności specjalnie powołanej do rozpracowania sprawy bestii z Zagłębia grupy funkcjonującej najpierw pod kryptonimem „Zagłębie", a potem „Anna" nie można było jednak sprowadzić do pasma niekończących się sukcesów. Co prawda udało się przy okazji namierzyć sprawców wielu innych przestępstw – między innymi 58 gwałcicieli – ale ten konkretny pozostawał nieuchwytny. Mimo zaangażowania tysięcy milicjantów, którzy w dzień i w nocy tropili bezwzględnego mordercę kobiet, jak i wyznaczenia gigantycznej, bo sięgającej aż miliona złotych, nagrody za informacje.

Swoistym zwrotem w sprawie okazały się zeznania Zofii Marchwickiej. Ciężar wypowiedzianych słów wskazywał na ewidentną winę jej męża, a obraz, jaki wyłaniał się z mniej lub bardziej drobiazgowej relacji doskonale wkomponowywał w wersję wskazującą na to, że oto udało się wytypować bestię polującą o zmroku na wracające z pracy kobiety.

GWÓŹDŹ DO TRUMNY

Podporządkowany rzekomo swoim instynktom i znęcający się nad swoją żoną oraz dziećmi sadysta niemal jak ulał pasował do portretu psychologicznego „Wampira z Zagłębia" stworzonego dzięki współpracy „okazałego" grona specjalistów w dziedzinie psychiatrii i kryminalistyki. Konglomerat 75 cech jakoby zgodnych z profilem sprawcy stał się przysłowiowym gwoździem do trumny Zdzisława Marchwickiego. 6 stycznia 1972 roku, czyli dzień jego aresztowania, stał się nie tylko preludium do jednego z najgłośniejszych procesów w powojennej Polsce, ale jednocześnie – jak twierdzi wielu – dostarczył paliwa do stworzenia największej mistyfikacji komunistycznego wymiaru sprawiedliwości.

PROPAGANDOWY MAJSTERSZTYK

Od tego momentu peerelowska władza uporczywie tkała na potrzeby sytuacji i chwili własną wersję zdarzeń, która w wielu wypadkach do prawdy miała się nijak, za to stanowiła majstersztyk w dziedzinie propagandy. – Przed sądem dochodziło do bardzo dziwnych sytuacji. Często śmiałem się czytając protokoły, bo to wyglądało wręcz kuriozalnie. Wzywano przykładowo 550 świadków i nagle przychodził taki, który mówił: „Przepraszam, wysoki sądzie, ale ja nie wiem, o co chodzi. Nazywam się Jan Kowalski, ale przykładowo w Zabrzu, trzy ulice dalej też mieszka Jan Kowalski i wysokiemu sądowi chodziło właśnie o tamtego" – przekonuje w rozmowie Interią Przemysław Semczuk, autor książki „Wampir z Zagłębia".

„ZDZICHU TO DOBRY CZŁOWIEK"

– Co więcej, czasami nie byli w stanie stwierdzić, kogo mają do sądu przysłać i wzywali niewłaściwego człowieka albo przychodził na salę rozpraw inny i mówił: „Ale ja nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia". Pojawiła się też jedna z sąsiadek, która prosiła, żeby jej przypomniano zeznania i sąd jej je odczytał, na co ona stwierdziła: „Ale ja tego nie powiedziałam". „Jak to pani nie powiedziała?" – dopytywali sędziowie – „przecież pani je przeczytała i podpisała protokół". W odpowiedzi usłyszeli od kobiety, że jest analfabetką, co oznacza, że nie mogła przeczytać tego protokołu.

– Kuriozalnych sytuacji było tam więcej, jak choćby ta związana z jednym z sąsiadów, który stwierdził, że gdyby Zdzisław był Wampirem, to powinien zacząć od swojej żony, bo ona mogła uchodzić za „modelkę dla diabła". Zastanawiające zatem, że są to świadkowie, których powołał

prokurator, mający potwierdzić winę oskarżonego, a ci ludzie mówili coś wręcz odwrotnego, że Zdzichu to dobry człowiek i on tego nie zrobił – wylicza pisarz.

RAŻĄCA MANIPULACJA

Przypadków rażącej manipulacji świadkami, którym jeszcze przed składaniem zeznań okazywano podczas przesłuchać zdjęcia i filmy z udziałem głównego podejrzanego w sprawie, można mnożyć. – Skoro najpierw mi pokazano zdjęcia, potem film, a następnie przyprowadzono czterech ludzi i kazano wskazać, który to, to już nie było problemu. Wskażę i się nie pomylę. A już tym bardziej wtedy, jak jeden z nich będzie w ubraniu więziennym, a trzech pozostałych w cywilnych ciuchach – argumentuje nasz rozmówca.

Jako „dowód" w sprawie traktowano też relacje osób, które z niebywałą i trudną do uwierzenia precyzją wyliczały, w jakich okolicznościach natknęły się w przeszłości na sprawcę serii brutalnych zabójstw. – Byli i tacy, którzy zeznawali przed sądem: „Tak, to jest ten człowiek. Widziałem go osiem czy dziesięć lat temu z odległości dwustu metrów. To był marzec, godzina 21". Tymczasem ja na przykład za tydzień mogę spotkać cię na ulicy i nie rozpoznać, a ktoś twierdzi, że pamięta czyjąś twarz po dziesięciu latach. Nawet jeśli dochodzi do jakiegoś zdarzenia, które wywiera na danej osobie dosyć duże wrażenie, to po dziecięciu latach jest wręcz nieprawdopodobne, żeby ktoś z całym przekonaniem mógł stwierdzić, że to ten człowiek albo ten głos – przekonuje Przemysław Semczuk.

KARYKATURA PROCESU

Pociągającym za sznurki, czyli władzom, nie bardzo przeszkadzały te mało znaczące i nie pasujące do całości szczegóły. Spektakl musiał trwać. Zwłaszcza, że jego przebiegowi przyglądało się tak wielu i to nie tylko zwykłych mieszkańców Śląska – dla których na odbywający się w sali widowiskowej Domu Kultury przy Zakładach Cynkowych „Silesia" w Siemianowicach Śląskich proces przygotowano specjalne „bilety wstępu" – ale i przedstawicieli mediów.

– Podczas organizowanych konferencji prasowych mówiono o Zdzisławie Marchwickim już nie jako o podejrzanym czy oskarżonym, ale wskazywano: „Tak, to ten człowiek". Sędzia nie dostał jeszcze dokumentów, akt oskarżenia nie został napisany, a dziennikarzy już informowano o wszystkim i podawano im dowody ze śledztwa. Z dzisiejszego punktu widzenia to jakaś zupełna abstrakcja, albo złamanie i pogwałcenie prawa do obrony. Gdyby dziś towarzysz prokurator Gurgul wysłał taki akt oskarżenia, sąd by go po prostu wyśmiał – zwraca uwagę nasz rozmówca.

HURTOWNIA KŁAMSTWA

Sprawa „hurtownika zbrodni" – jak mówiło się o Wampirze z Zagłębia – dostarczyła solidnych fundamentów pod hurtownię kłamstwa. Ordynarne zabiegi uporczywego „dopasowywania" faktów sprawiły, że wątpliwości do winy Zdzisława Marchwickiego zaczęły nabierać osoby mocno zaangażowane w toczące się śledztwo. – Choćby sam prokurator Leszek Polański, który zrezygnował z prowadzenia tej sprawy, odszedł z prokuratury i został adwokatem. On dosyć wprost wskazał, że Marchwicki to nie ten człowiek i dlatego on nie będzie go oskarżał. Mamy

jego relację w książce Grażyny Starzak oraz w filmie Macieja Pieprzycy „Jestem mordercą". Zatem jeśli on mówi, że za dużo było tych wątpliwości, no to mamy prostą odpowiedź, prawda? – wskazuje Semczuk.

MISTERNA UKŁADANKA

Ludzi „małej wiary", podobnych do prokuratora Polańskiego, eliminowano jednak skutecznie i względnie szybko. Odsunięci od sprawy nie mieli już wpływu na jej przebieg, a ta toczyła się dalej wcześniej wyznaczonym torem. Dopasowywano poszczególne elementy układanki, nawet jeśli wciąż brakowało tego kluczowego z punktu widzenia widowiskowego procesu, czyli przyznania się do winy.

Marchwicki obstawał przy swoim i do zmiany zeznań nie zdołali go przekonać nawet podstawiani do jego celi i udający zatrzymanych milicjanci. Jego wersję podtrzymywali przed wszystkim, ci którzy znali Zofię Marchwicką i doskonale wiedzieli, że jej zeznania trudno uznać za wiarygodne. W ich pamięci to ona utrwaliła się jako osoba skłonna do przemocy, wymierzania mężowi dotkliwych razów i gotowa do bójek z milicją.

JAK ULEPIĆ MORDERCĘ?

Na „wysokim sądzie" takie deklaracje nie robiły jednak większego wrażenia, podobnie jak świadectwa pracowitości i łagodnego charakteru oskarżonego. Pech sprawił, że ten ostatni na bezlitosnego mordercę kobiet ze wszech miar się nie nadawał. Problemem okazywał się zatem nie tylko brak zgodności odcisków palców Marchwickiego z tymi, które

zidentyfikowano przy ofiarach, ale także brak symptomów zabójcy. Tego ostatniego z Marchwickiego dopiero trzeba było „ulepić".

Instrumentem do tego miał być pisany przez niego w celi pamiętnik. – W książce po prostu opisuję, jak on wyglądał i czytelnik bez dwóch zdań może się przekonać, że został on podyktowany. Bo jest w nim pewna niespójność, choćby pod względem stylu. Po drugie są też takie opinie, które wskazują na to, że jest to lektura straszna, mroczna i przerażająca. Nie miałem takiego odczucia, a przeczytałem go chyba trzykrotnie. Pierwszy raz siedząc w sądzie, zajęło mi to chyba godzinę i nie było to ani mroczne, ani ociekające krwią. Powiedziałbym, że raczej śmieszne, a chwilami wręcz groteskowe, bo te opisy dokonań mordów były żałosne – wyjaśnia Przemysław Semczuk.

POTWORNA PRECYZJA KATA

– Potem czytałem wspomnienia Joachima Knychały, kolejnego seryjnego mordercy i dopiero tamte wyznania są wstrząsające. Ten człowiek z potworną precyzją opisuje każdy swój ruch – jak planuje miejsce, sprawdza ulice, wybiera którędy się oddali i jak to zrobi. Nie ma jeszcze tylko ofiary, bo ona jest mu akurat obojętna. Kiedy dochodzi do momentu, w którym chce popełnić morderstwo, wybiera sobie przypadkową osobę i opisuje, co myśli. Wyobraża sobie, że zaraz to nastąpi, że będzie leżało mięso, a on sponiewiera i zdepcze tę godność. Dokonuje tego morderstwa i to jest lektura wstrząsająca. W odniesieniu do pamiętnika Zdzisława, napisanego rzekomo przez niego, to są dwie różne sprawy – dodaje.

Pisarz przekonuje, że lektura pamiętnika Marchwickiego pozwala wysnuć tezę, że w dużych częściach został on sfabrykowany na potrzeby

toczącego się procesu. – Moim zdaniem powiedziano: „Zdzisiu, napisz, my ci pomożemy, a jak sąd uzna, że jesteś wariatem, to cię nie powieszą". On wierząc, że tak będzie, napisał to. W pamiętniku opisuje dosyć dokładnie, jak się nagle dzieje, że trafia na przesłuchanie przed sądem. Nawet nie wie, że ono się będzie odbywać. Jest zaskoczony, że oni mają ten pamiętnik, że go czytali i że on staje się koronnym dowodem jego winy. Mało tego, tam jest mnóstwo takich niespodzianek. Na przykład wychodzi na jaw, że Sąd Najwyższy nie przeczytał właściwie akt sprawy, nie zapoznał się z nimi, a ten pamiętnik jest dla nich najistotniejszy. Przyznał się, no to wspaniale. Mamy sprawę zamkniętą – wyjaśnia Semczuk.

BRUTALNY MORD JAK PÓJŚCIE NA SPACER

Pisarz zestawia w swojej książce tytułowego Wampira, Zdzisława Marchwickiego z „władcą much", czyli Bogdanem Arnoldem, który z zimną krwią mordował prostytutki. Dzięki temu zabiegowi zostaje wyostrzona różnica pomiędzy potencjalnym materiałem na zabójcę, a tym, kto w dużej mierze być nim by nie mógł, a jeśli już, to nie tak poważnego kalibru. – Bogdan Arnold zgłosił się sam, bo już wiedział, że nie jest w stanie umknąć przed policją. On, podobnie jak Joachim Knychała, z niesamowitą precyzją opisywał to, co zrobił. Prawda jest taka, że w tym swoim mieszkanku na poddaszu zorganizował taką rzeźnię, że aż trudno to opowiedzieć. O ćwiartowaniu zwłok mówił tak, jak o pójściu na spacer. Jak do jego mieszkania weszli policjanci, którzy byli jednak zaprawieni, bo niejedno widzieli, to tam wytrzymywali po kilka minut i się zmieniali. Protokół pisali około 20 godzin, bo wychodzili i po prostu wymiotowali – precyzuje autor „Wampira z Zagłębia".

– Na Bogdanie Arnoldzie to, czego się dopuścił, nie robiło żadnego wrażenia. To był człowiek absolutnie pozbawiony uczuć. On atakował prostytutki, a Joachim Knychała, z tego co wiem, zupełnie przypadkowe kobiety. Dla niego sam akt morderstwa był spełnieniem, dawał mu satysfakcję – dodaje.

DOSKONAŁY W KAŻDYM CALU

Knychała, który chciał być we wszystkim doskonały i grał na nosie nawet samym milicjantom, nie mógł uwierzyć w to, że osławionym Wampirem z Zagłębia jest ktoś taki, jak Zdzisław Marchwicki. – On opisywał wręcz, bo był obecny na procesie Zdzisława, że czuł do niego odrazę, bo ten zaprzeczał. Dla Knychały nie do pomyślenia było to, że „takie coś" może być największym mordercą. Założył, że będzie w tym doskonalszy. Jego ostatnią ofiarą była szwagierka, a opis tego, jak doszło do tego zabójstwa, jest naprawdę wstrząsający. Powiedzielibyśmy: chore. Ale tak działa umysł chorego człowieka – konkluduje nasz rozmówca.

TEATR JEDNEGO AKTORA

Wycofany, niewiele mówiący Zdzisiu, „tracił" nie tylko w zestawieniu z seryjnymi mordercami kobiet, ale nawet ze swoim buntowniczym bratem Janem, który wyzwał na słowny pojedynek samego prokuratora Gurgula, za co ostatecznie przypłacił głową.

Swoistą kroplą, która przelała czarę, była – jak to przedstawiano w ówczesnej prasie – szeroko rozumiana patologia rodziny Marchwickich. Poza Zdzisławem na ławie oskarżonych zasiedli jego dwaj bracia, siostra i siostrzeniec. Jana, który był homoseksualistą, oskarżono o podżeganie

do morderstwa, przyjmowanie łapówek oraz demoralizowanie młodzieży przez nakłanianie do nierządu. Henrykowi zarzucono przygotowywanie morderstwa ostatniej ofiary Wampira, zacieranie śladów i wprowadzenie w błąd organów ścigania. Podobnie brzmiał akt oskarżenia wobec Jana Klimczaka, kochanka Jana Marchwickiego. Siostra Zdzisława była sądzona między innymi za przyjmowanie od brata przedmiotów zrabowanych ofiarom, a na jej synu ciążył zarzut kradzieży.

– Brat Zdzisława Marchwickiego załapał się przypadkiem. On na początku, co jest istotne, nie miał w akcie oskarżenia zarzutów, które były zagrożone karą śmierci. Dopiero to jego zachowanie na sali sądowej i bitwa z prokuratorem Gurgulem doprowadziła do tego, że zarzut mu się zmienił z podżegania do współsprawstwa i skończyło się na karze śmierci. Prawda jest jednak taka, że strasznie prowokował, wykrzykiwał rzeczy, które były bardzo niewygodne – wskazuje pisarz.

Chętnych do słuchania jednak nie brakowało, zdarzały się nawet brawa. – Jan wyjątkowo ubarwiał ten proces; był elementem, który przyciągał na każdą rozprawę. Ludzie wręcz zachwycali się tymi jego popisami. Jedni wrzeszczeli i domagali się, żeby go powiesić, a inni nagradzali go brawami, bo byli zaskoczeni, że można takie rzeczy opowiadać – dodaje.

Podczas gdy Jan na sali rozpraw urządzał prawdziwe show, Zdzisław pozwalał sobie co najwyżej na zdawkowe wypowiedzi. – Jak któraś pani odpowiadała: „Tak to jest ten człowiek”, to on mówił: „Niech ta pani opowie, co wczoraj na obiad jadła, a nie że mnie dziesięć lat temu widziała”. Tymczasem ta świadek z potworną precyzją podawała szczegóły. Relacjonowała nawet, ile wówczas w siatce litrów mleka niosła – precyzuje pisarz.

Wyrok był jednak przesądzony, a wszystko działało na niekorzyść oskarżonego: zawiłość – liczącej 141 tomów akt – sprawy, rozgłos, jaki pojawił się wokół procesu, pośpiech, z jakim go przygotowywano, zainteresowanie Warszawy, w tym samego Edwarda Gierka, jak i wyjątkowe zaangażowanie dowódcy specjalnej grupy pod kryptonimem „Anna", towarzysza Gruby, odpowiedzialnego za późniejszą masakrę w kopalni „Wujek".

PRANIE MÓZGU

Zastosowane podczas przesłuchań „pranie mózgu" i manipulacje w końcu przyniosły pożądany skutek. 10 maja 1972 roku Zdzisław Marchwicki potwierdził, że jest sprawcą. Jednak nawet wokół owego „przyznania się" pojawiają się wątpliwości. – Samo przeczytanie akt nic nie daje. Bo co innego jest w nich zawarte, a co innego pisały gazety. Przykładowo, ja czytając reportaż mam przekonanie, tak jak pisał dziennikarz, że oto stanął bezczelny morderca, który cynicznie stwierdził: „Tak przyznaję się, że zamordowałem". Ale po przeczytaniu zeznania okazuje się, że wcale tak nie było. On wcale tego tak nie powiedział. Ta wypowiedź była dosyć długa, bo trwała pół godziny, nie tak spójna i nie tak jasno określona i dopiero po jej przeczytaniu można nabrać wątpliwości – argumentuje pisarz.

PRZYZNANIE SIĘ DOWODEM NA NIEWINNOŚĆ

– Nawet w aktach był taki wątek, że ta jego wypowiedź – a były w sumie dwie: jedna na kilka dni przed końcem procesu, a druga na ostatniej rozprawie przed ogłoszeniem wyroku – została odtworzona z taśmy

jednemu z milicjantów i on powiedział, że dla niego to przyznanie się stanowi ewidentny dowód i przekonano go, że Marchwicki Wampirem nie jest – dodaje.

Marchwicki liczył mimo wszystko, że owo „przyznanie się do winy" sprawi, że wymiar sprawiedliwości obejdzie się z nim łagodniej i ostatecznie uniknie kary śmierci przez powieszenie. Tak się jednak nie stało. Pod koniec procesu szubienica stanowiła już rodzaj wybawienia, ucieczkę od zaszczucia. – On nawet nie bardzo miał świadomość, że jest apelacja, że jeszcze coś tam się toczy. Bo nawet w tym swoim pamiętniku wskazuje, że jak otwierali drzwi do celi, to myślał, że przychodzą po niego. Nie wiedział, że są jeszcze kolejne etapy, jak choćby akt łaski od Rady Państwa – wylicza pisarz.

ZAGADKOWA ŚMIERĆ

Proces dobiegł końca w 1975 roku. Dwa lata później wykonano wyrok śmierci na braciach Marchwickich – Zdzisławie i Janie. Trzeci z braci Henryk został skazany na 25 lat więzienia. Do końca swoich dni twierdził, że nie wierzy w to, żeby jego brat, Zdzisław, dobrowolnie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Próbował dowieść niewinności swojej i swoich braci. Zmarł nagle w 1997 roku, w trakcie realizacji filmu dokumentalnego Macieja Pieprzycy „Jestem Mordercą". Spadł ze schodów. W prokuraturze rejonowej w Katowicach prowadzono postępowanie w tej sprawie, ale z powodu niestwierdzenia przestępstwa szybko je umorzono.

Po latach na sprawę Wampira z Zagłębia patrzymy szerzej, ale to czego dopatrujemy się dzisiaj, współcześni Zdzisławowi Marchwickiemu zobaczyć w dużej mierze albo nie potrafili, albo nie mogli. Wszelkie ewentualne zgrzyty i niejasności przykryła propaganda, która

zaciemniała już i tak wystarczająco mroczny obraz. Pytanie o to, czy aby na pewno powieszono prawdziwego Wampira na zawsze pozostanie bez odpowiedzi, ale wciąż rozdziera ciszę.

Dominika Głowacka

CZYTAJ WIĘCEJ

PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ

DAWID PODSIADŁO: W MUZYCE NIE MA DLA MNIE KOMPROMISÓW

AUTOR: JUSTYNA GROCHAL

MARZEC 2016

Dawid Podsiadło / Łukasz Ziętek / materiały prasowe

Od momentu, kiedy wygrał drugą edycję „X Factora” minęły już prawie cztery lata. W tym czasie ukazały się trzy płyty z jego udziałem – dwie solowe i jedna z grupą Curly Heads. Nie sposób jednak zliczyć doświadczeń, przygód, ważnych decyzji, wyzwań, wzlotów i upadków, które wypełniły mu ten czas. Dawid Podsiadło wydał swój drugi album i znów pokazał, że

**nie jest tylko chłopakiem-marionetką z talent show,
a asertywnym i świadomym swoich muzycznych potrzeb
artystą.**

JUSTYNA GROCHAL, INTERIA: Tyle już opowiedziałeś o nowej płycie, że chyba powinniśmy teraz porozmawiać o twojej karierze w kabarecie. Fragment „Roastu Kuby Wojewódzkiego" z twoim udziałem podbił sieć...

DAWID PODSIADŁO: – Tak, dość popularny jest ten filmik z moim wystąpieniem. Przyjemne to uczucie, chociaż wydaje mi się, że wyrwane z kontekstu nie jest tak zabawne, jak w całej formule odcinka. To jednak dlatego miało taką siłę, że było kontrastem i wyłamaniem się z konwencji klasycznego roastu, gdzie nie używałem takich niskich, brutalnych, niecenzuralnych określeń w stosunku do gości i gwiazdy wieczoru, a po prostu starałem się być trochę miły, trochę niemiły.

Od kabaretu niedaleko do aktorstwa. Ciebie kręci odgrywanie ról, prawda? Grasz w swoich teledyskach. W nowym klipie, do singla „Forest", też się pojawiasz.

– Tak, dlatego się obciąłem i zgoliłem wąsa, bo właśnie kręciliśmy nowy teledysk. Trochę chcieliśmy Forresta Gumpa, więc chcieliśmy się nieco do niego upodobnić. Ja chciałem. Reżyser powiedział, żebym tego nie robił, że nie trzeba, a ja mówię: „Będzie super, golę wszystko».

Aktorstwo pełną parą i mocne zaangażowanie?

– Tak, liczę na Oscary! (śmiech)

Dawid Podsiadło / Łukasz Ziętek / materiały prasowe

Ale ty tak serio z tym aktorstwem?

– Tak, bardzo. Czuję, że mam potencjał, mimo że nie mam żadnego doświadczenia i żadnych umiejętności.

Ale muzyki nigdy na rzecz X muzy nie porzucisz?

– Na pewno nie! Ze wszystkich rzeczy, które robię, muzyka jest rzeczą, którą robię najlepiej. No, może równie dobrze gram w gry. (śmiech)

– Bardzo lubię kamerę, bardzo lubię odgrywać różnego rodzaju role. Wydaje mi się, że byłbym w tym dobry, jeśli miałbym okazję poćwiczyć i posłuchać jakichś rad i wskazówek. Jak ktoś mi powie, co mam zrobić, to wydaje mi się, że jestem w stanie to przedstawić wiarygodnie. Moi znajomi raczej by mi w to nie wierzyli, bo mnie znają, ale ludzie, którzy mnie nie znają, mogą w to uwierzyć.

– Przykładem i dowodem na to jest to, że bardzo wiele osób pytało mnie, czy w klipie „W dobrą stronę” pokazuję swój dzień, czy to jest

bohater. Ja mówię „To jest bohater! Ja nie robię takich rzeczy codziennie”. Zresztą kręcenie tego teledysku było dla mnie psychicznie ciężkim przeżyciem, bo cztery dni nagrywaliśmy tę drugą część, w tle w której leci „Projekt 19”. Mimo że był to teledysk, czyli forma sztuki rejestrowanej, źle się czułem, plując z wiaduktu na samochody, których kierowcy nie wiedzieli, że ja kręcę sobie teledysk.

Podobno ten materiał zaskoczył też twoją rodzinę...

– No jasne, dla nich było szokujące, że to jest tak inne od tego, jakim mnie znają. Mówili, że to jest odważne. Co ciekawe, najbardziej traumatycznym przeżyciem w odbiorze było to właśnie dla moich najbliższych. Długoletni znajomi, których cenię, byli tym rozbawieni, śmiali się z tych tekstów, a moja rodzina odebrała to bardzo poważnie, dla nich to było mocne. Zwłaszcza, że w pierwszej wersji teledysku, cała druga część nie była wyciszona, piosenka była cały czas w tle, a wszystkie dźwięki i dialogi były słyszalne. Dla dobrego smaku i poprawności politycznej stwierdziliśmy, że jednak wyciszymy większość teledysku. Wtedy to było mocniejsze i w dużej mierze kwestie, które tam padają, były kontrowersyjne. Ale też taki był zamysł, żeby pokazać dzień z życia człowieka, z którym nie mam nic wspólnego na co dzień. Ale właśnie dlatego bardzo lubię takie zadania.

A jak wspominasz zadania aktorskie w nowym klipie do utworu „Forest”?

– W nowym teledysku te zadania aktorskie były dość ograniczone, bo w całym klipie po prostu biegnę w różne strony. Są psy, które też biegają. To nie było takie łatwe, jak myśleliśmy – żeby w odpowiednim momencie zaczęły, skończyły, żeby wszystkie tego chciały. Był to jeden z cięższych klipów, które kręciliśmy, m.in. przez warunki pogodowe. Psychicznie i fizycznie bardzo męczące, chociaż bardziej fizycznie.

– Mnie się bardzo podoba. Jest to jest trochę inna konwencja robienia teledysku. Bo w teledysku „W dobrą stronę” mamy całą historię, całą przemianę, dwie części. Jest o tym, co się działo przed, dlaczego jest tak. Jest jakiś dramat, może nawet tragedia. A tutaj naszym zamysłem było to, żeby było estetycznie atrakcyjne. Żeby była przestrzeń taka, jaka jest w piosence „Forest” – masz czas, żeby pomyśleć, pooglądać piękne zwierzaki w slow motion. Nie ma trzech zwrotów akcji, a jest jedna, moim zdaniem piękna, impresja.

Powiedziałeś kiedyś w wywiadzie, że nagrywając z Curly Heads „odzyskałeś kontrolę nad swoim muzycznym życiem”. Czy to znaczy, że w przypadku debiutanckiej solowej płyty ta kontrola nie była tak duża?

– Chodziło mi chyba o to, że wróciłem do korzeni. Tam tak naprawdę powstało moje muzyczne „ja”. Oczywiście robiłem utwory wcześniej, ale raczej nie chciałbym, żeby ktoś je usłyszał (śmiech).

– W Curly Heads każdy z nas tak na serio uwierzył, że muzyka jest naszym powołaniem i, że powinniśmy to robić, bo w tym czujemy się najbardziej spełnieni. Z Bogdanem Kondrackim, z którym w duecie zrobiliśmy całą pierwszą płytę, czułem się bardzo pewien tego, co robię. Miałem ogromną kontrolę nad tym, co się dzieje. Zresztą zawsze mówiłem Bogdanowi, że jestem mu wdzięczny za to, że pozwolił mi na tyle. To jest producent, który spędził bardzo dużą część swojego życia w muzie i stoi za sukcesem wielkich nazwisk w naszym kraju. No więc, jak przyszedł do niego taki chłopak jak ja, z talent show, to mógł ze mną tak naprawdę zrobić, co chciał. Mógł powiedzieć: „Stary, twoje pomysły są spoko, ale ja mam takie pomysły i zróbmy coś z tym”. I ja pewnie bym to zrobił. A tak naprawdę z demo, które wysłałem do wytwórni i do niego, wzięliśmy chyba sześć utworów. Serio, wzięliśmy pomysły, które

nagrywałem mikrofonem używanym na co dzień do rozmów na Skype i który przyklejałem taśmą do – delikatnie mówiąc – tandetnego klawisza. Wzięliśmy takie rzeczy i zrobiliśmy z tego piosenki, które później okazały się bardzo przyjemnie przyjmowane. Tak więc miałem kontrolę i czuję się dobrze z tamtą płytą.

Taki obrót spraw był twoim zdaniem raczej kwestią zdrowego podejścia Bogdana, czy twojego charakteru, uporu i asertywności?

– Myślę, że trochę tego, trochę tego. W muzyce jestem asertywny. W życiu nie. W muzyce nie ma dla mnie kompromisów. Jak coś mi się nie podoba, to nie boję się powiedzieć, że to jest słabe. To jest od kilku lat najważniejsza sfera w moim życiu. Tu nie ma miejsca na udawanie, że coś jest w porządku. Tego się musiałem nauczyć, bo przecież brałem udział w powstawaniu utworu „Tu i teraz" nagranego z Tatianą Okupnik. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że nie zrobiłbym takiego utworu. To był wynik wdzięczności za to, jakim wsparciem Tatiana dla mnie była. Ale ten utwór jest zdecydowanie za prosty, jest po prostu przebojem. Chociaż „Tu i teraz" chyba nawet nie było popularne...

Szczerze? Przygotowując się do tego wywiadu, przypomniałam sobie ten utwór, o którym zupełnie zapomniałam w kontekście twojej kariery. Moim zdaniem on raczej przeszedł bez echa.

– To ekstra! Czyli był robiony na przebój, ale nie stał się przebojem. To mi daje dużą nadzieję i przeświadczenie, że muszę robić rzeczy, w które ja wierzę i które ja czuję. Tatianę oczywiście ogromnie szanuję i jestem jej bardzo wdzięczny za to, co razem przeżyliśmy w programie. Zresztą sam wyjazd do Londynu był wielkim wydarzeniem. To był mój pierwszy wylot w tamte strony, współpraca z zagranicznym producentem, rozmawianie w obcym języku na temat muzyki. To wszystko było takim ciekawym

doświadczeniem. Spotkanie z Troy'em Millerem, który grał jako perkusista z m.in. Amy Winehouse, było wielkim wydarzeniem dla mnie, jarałem się tym.

– Ale też pamiętam, że przed wyjazdem zastanawiałem się, czy chcę to robić i teraz kiedy mam w ogóle taką myśl, to po prostu tego nie robię. Bo jeżeli wątpię, że to może być dobre, to raczej czuję, że nie. Nie będzie dobre, jeżeli się zastanawiam. Zawsze się zastanawiasz, bo nigdy nie wiesz, czy to jest OK, czy nie. Ale czujesz…

Gdzie rozwiewasz te wątpliwości, jeśli się już pojawiają?

– Mam spore grono osób, którym ufam i których zdanie zawsze jest dla mnie istotne. Wiem, że nie jest ono motywowane jakimś interesem czy czymkolwiek. Oni, bazując na swoim filtrze osobowości, zastanawiają się czy to jest spoko, czy nie. Od początku wiem, co powinienem zrobić, ale ich zdanie pomaga mi się zdecydować.

Gdyby zastanowić się, co może wyróżnić polską muzykę na arenie międzynarodowej, to jednym z czynników jest na pewno nasz ojczysty język, który według mnie jest bardzo plastyczny i daje mnóstwo możliwości. Na swojej drugiej płycie postanowiłeś mieć tych polskich piosenek więcej, a dodatkowo zdecydowałeś się samodzielnie ulepić kilka tekstów po polsku. Dlaczego?

– Wcześniej chyba nie czułem, że to co próbowałem pisać po polsku, było dobre. Tym razem impulsem był film o Amy Winehouse, w którym powiedziała, że artysta ma pisać i śpiewać sam, a nie korzystać z pomocy, bo jak można ocenić kogoś, kto śpiewa cudzy tekst.

Ale mogłeś pisać po angielsku, z szansą na zakładaną przecież wcześniej zagraniczną karierę, a mimo to zdecydowałeś się na pisanie w naszym języku…

– Wydawało mi się, że to będzie jeszcze bardziej autentyczne. Zawsze pisałem po angielsku. Te teksty, które śpiewam po angielsku są moje. Ale też wiedziałem, że u nas teksty angielskie trafiają tylko do części osób. Procentowo powiedziałbym, że maksimum 10 proc. wszystkich ludzi, którzy kupili moją płytę, mocno analizuje to, co piszę. Na zasadzie wyzwania postanowiłem, że spróbuję napisać jak najwięcej utworów po polsku. Były też oczywiście takie, które miały predyspozycje do tego, żeby być polskimi utworami. Wybraliśmy cztery: „Pastempomat", „Bela", „W dobrą stronę" i „Where Did Your Love Go?", który nazywał się „Co tu się stało?".

– Jakoś mi się dobrze napisało te polskie teksty. Najpierw napisałem „Belę", zaraz po filmie o Winehouse. Spodobało mi się to i mówię: „OK, jeśli jestem w stanie napisać jeden tekst, który po kilku dniach mi się nie nudzi i nie uważam, że jest tandetny i żenujący, to znaczy, że muszę umieć napisać więcej".

Dawid Podsiadło / Łukasz Ziętek / materiały prasowe

Muszę przyznać, że już po pierwszym przesłuchaniu twojej płyty zostały mi w głowie te chwytliwe wersy czy zdania z polskich utworów. Jak wygląda u ciebie proces pisania słów? Najpierw wymyślasz temat, który chcesz poruszyć w utworze, potem nosisz go w sobie przez jakiś czas, a następnie zapisujesz, czy raczej łapiesz się konkretnych wersów i haseł, na których potem bazujesz i budujesz tekst?

– Improwizując po angielsku pojawiają mi się zdania, na których potem buduję resztę tekstu. A jeśli chodzi o polskie teksty, to konkretny temat miałem do singla „W dobrą stronę" i wiedziałem, że chcę o tym napisać. Tam bezpośrednim impulsem była ta wielokrotnie palona tęcza. [W tym momencie zza okna pokoju, w którym rozmawiamy, dobiegają chóralne głosy najpewniej nietrzeźwej grupy kibiców piłkarskich, na dźwięk których wybuchamy śmiechem – przyp. aut.]. No właśnie, to chyba bohaterowie mojego teledysku i mojej historii w utworze „W dobrą stronę", „Robert" i koledzy.

A pozostałe dwa polskie teksty jaką mają genezę?

– W przypadku „Beli" chciałem opisać moje otoczenie, miejsce, w którym się teraz znajduję i moje relacje z sąsiadami. W tym wersie „z góry, z balkonu woda leje się" chodzi mi o to, że moje sąsiadki z góry dwa razy postanowiły zatrzymać spotkanie towarzyskie w moim mieszkaniu i ich najlepszym sposobem na to nie było przyjście i jakiś dialog, tylko wylanie wiadra, mam nadzieję, wody z góry na nasz balkon albo ludzi, którzy na nim stali. Chciałem opisać po prostu to, co teraz się dzieje – że nie mam łóżka, tylko śpię na materacu, a w sumie mógłbym je mieć – ten etap w życiu. Jednocześnie to również taka prywatna historia, czyli relacja z moją narzeczoną, gdzie w refrenie śpiewam o tym, że mówi przez sen i to jest bardzo zabawne. Outro tego numeru to relacja tego, co widziałem z balkonu, czyli bezdomnego kota, który chodzi i jest w bliskiej relacji

z pewną panią. Obserwowałem to codziennie i jakoś mnie to wzruszyło i postanowiłem, że to będzie zakończenie. To było proste.

– Największy problem miałem z „Pastempomatem", bo w tym przypadku nie wiedziałem, o czym chcę pisać. Starałem się wymyślić temat. Jeszcze zanim ukradli mi samochód, to nim dużo jeździłem, zwłaszcza między Dąbrową a Warszawą, a bardzo to lubię. Jak jadę sam, to jest super, bo słucham sobie wtedy dobrej muzyki i to jest ekstra czas. Wtedy faktycznie dużo myślę, mijam inne samochody i myślę o tym, że w każdym tym samochodzie siedzi człowiek taki jak ja i też ma jakiś światopogląd, gdzieś jedzie i po coś. Ostatecznie stwierdziłem, że to może też być temat.

Czyli jednak zaczynałeś pisanie od znalezienia tematu.

– Tak, to był dla mnie przełom, że musiałem wymyślić temat utworu – to, o czym chcę napisać. Po angielsku zdania tworzą się przypadkowo. Później oczywiście do tego tworzę jakąś historię, ale początek jest bardzo intuicyjny i naturalnie sam się stwarza. Gramy jakiś utwór dziesięć razy z rzędu, śpiewam i nagle zauważam, że śpiewam w kółko cały czas to samo zdanie. No więc myślę, że OK, o to chodzi i cyk, leci raczej szybko.

Po polsku nie zdarza ci się improwizować?

– Zawsze miałem ten problem, że nigdy nie improwizuję po polsku, więc to zdanie nigdy samo się nie stworzy. Czasami zapisuję w notatniku jakieś przemyślenia, ale raczej rzadko z nich korzystam, bo ostatecznie są słabe. W końcu jednak udało mi się zrozumieć, że muszę mieć temat, nie mogę pisać o niczym i potem próbować nadać temu sens.

Słuchając „Annoyance & Disappoinment" odniosłam wrażenie, że muzycznie jesteś gdzieś w połowie drogi między pierwszą solową płytą a albumem Curly Heads. To

jest ta muzyczna sfera, w której zagrzejesz miejsce i w której jest ci najlepiej, czy raczej powinniśmy spodziewać się zmiany twórczego kierunku?

– Faktycznie czuję, że płyta z Curly Heads miała duży wpływ na to, co się stało z moją drugą płytą i utworami na niej. Czuję, że jest to wymieszany klimat, ale bardziej w stronę solowej twórczości. A myślę, że kolejna rzecz, którą zrobię będzie jeszcze inna. Będzie blisko solowych rzeczy, ale będzie się rozwijało, ewoluowało – mam nadzieję, że w dobrą stronę. Ale oczywiście będę się starał robić coś innego, żeby to nie było powtarzanie samego siebie.

Ewoluował też zdecydowanie twój głos. Nie dość, że się trochę zmienił, to jeszcze ty w inny sposób zacząłeś go używać. Na nowej płycie na więcej sobie pozwoliłeś, dużo eksperymentowałeś. Traktujesz wokal jako instrument, jak każdy inny? Czym jest dla ciebie wokal w piosence?

– Dla mnie wokal jest najważniejszą rzeczą, ale to wynika z tego, że śpiewam i lubię to robić najbardziej. Uważam to za moją najmocniejszą stronę w muzyce. Zdecydowanie postrzegam wokal jako instrument. Faktycznie na płycie słychać różne jego wersje i klimaty. To jest tak, jakbym zmieniał brzmienie gitary w zależności od utworu – czy ma być przester i ma być ostro, czy lirycznie i ma być delay, pogłos, przestrzeń, szept itd. O to chodzi.

– Bardziej wokal dopasowuję do tego, co się dzieje w muzyce i używam go tak, żeby się nie wybijał. Są takie utwory, jak na przykład „Focus", które bardzo trudno jest wykonać na koncercie tak, jak na płycie. To jest szybki, mocny i dynamiczny utwór, a w studiu zależało nam na tym, żeby zaśpiewać to bardzo subtelnie. To był jeden z niewielu utworów, które musieliśmy mocno szatkować. Nagrywałem kilka wersów i traciłem siłę, albo nie wyciągałem. Musiałem skupiać się na

poszczególnych fragmentach i zaśpiewać je doskonale, czyściutko, a jeszcze w tym subtelnym delikatnym sensie.

Jak więc dajesz radę na koncercie?

– Na koncercie nawet nie próbuję tego robić, bo nie dość, że bym się zmęczył trzy razy bardziej, to jeszcze nie byłbym w stanie później zaśpiewać dobrze innych piosenek. Żebym dał radę zaśpiewać wszystko na satysfakcjonującym poziomie podczas półtoragodzinnego koncertu, trzeba poszukać jakich wyjść i rozwiązań. Więc w „Focusie" śpiewam mocno.

– Natomiast kończąc temat wokalu, postrzegam go jako instrument i dla mnie to jest niesamowite, że można w tak różny sposób go używać. Nie tak, że to jest Podsiadło, a to Justyna Święs, a to Patrick the Pan i zawsze to słyszysz. Fajnie, żebyśmy jako wokaliści bawili się tym. Żebyśmy nie zawsze byli tacy sami. Chociaż są ludzie, którzy mają swój styl, na przykład Maria Peszek, i to zawsze jest zajebiste i nie chcesz, żeby było inne. Więc nie wiadomo o co chodzi w sumie…

Podkreślałeś to, że zależy ci, aby utwory na koncertach dostały nowe, inne niż na albumie, aranżacje. Chodzi raczej o poszukiwanie nowych emocji na żywo czy to przez wzgląd na szacunek dla słuchacza, który przychodzi na koncert?

– Generalnie chodzi nam o to, żeby uszanować to, że ludzie przychodzą na koncerty oraz żeby dostali coś innego niż odtworzenie płyty. Byłem ostatnio na koncercie Tame Impala w Berlinie i tam dostałem dokładnie to, co na płycie. Tylko, że akurat na płycie, która jest produkcyjnie bardzo skomplikowana i słychać, że oni robią jakieś magiczne rzeczy, więc odtworzenie tego na żywo to i tak jest sztuka. To było fascynujące i wystarczyło, ale u nas to wynikało z tego, że wszyscy razem

nagrywaliśmy płytę. Każdy z zespołu rejestrował swoją partię i nie chciało nam się grać tego tak samo, każdy chciał dodać coś więcej, zrobić inaczej.

– A odnośnie przearanżowań starych utworów, już od jakiegoś czasu je zmieniamy i to jest fajne. Są to utwory, które zostały zapamiętane, bo były często słyszane w radiu, reklamie czy gdziekolwiek, a nagle możemy je zagrać totalnie inaczej. Mnie się to bardzo podoba, że zmieniamy te rzeczy i wydaje mi się, że cały czas zmieniamy na lepsze.

Dawid Podsiadło / Łukasz Ziętek / materiały prasowe

A kiedy wykonujesz po raz kolejny jakiś utwór na żywo, wracasz do emocji, które towarzyszyły ci w trakcie jego powstawania, czy raczej szukasz wtedy nowych odczuć i doznań?

– Chyba nie jest to powrót do tych samych emocji. Chociaż, to też zależy. Są utwory, bardziej te ciche i spokojne, że kiedy je wykonujemy, myślę o tym, kiedy je pisałem i o czym to jest.

Trochę jak konkretny zapach, który przypomina nam jakiś okres w życiu, osobę lub sytuację?

– Tak. Widzisz konkretne sytuacje, wyświetla się coś... Chociaż podczas koncertu jest tyle różnych emocji i są one tak intensywne, że czasami nawet nie wiem, czy myślę. Patrzę na ludzi, śpiewam i skupiam się na tym, co wychodzi ze mnie, co słyszę od chłopaków, widzę ich miny – czy się uśmiechają, czy nie. Jest tyle bodźców, że chyba bym nie powiedział, że zawsze czuję to, co czułem, gdy nagrywałem. Zwłaszcza, że nagrywanie płyty wcale nie jest takie ekstra. Jest super, gdy wspominasz trzy tygodnie spędzone w studiu, ale sam proces nagrywania jest męczący. Zwłaszcza przy takich utworach jak „Focus", o którym mówiłem, w którym musisz zaśpiewać doskonale, a jest to trudne. No i śpiewasz jedną rzecz dwadzieścia razy z rzędu i w pewnym momencie zaczynasz nienawidzić tej piosenki. Nie chcesz jej słuchać, ale mija kilka godzin i mówisz: „OK, to jest ekstra".

– Wydaje mi się, że Dave Grohl powiedział, że najgorszą rzeczą, którą możesz zrobić nowemu kawałkowi, który lubisz, to nagrać go w studiu. Oczywiście później uwielbiasz ten utwór, ale sam proces rejestrowania – żeby to było dokładnie tak, jak sobie to wymarzyłeś – boli. Trzeba poświęcić dużo czasu i energii, żeby tak wyszło.

CZYTAJ WIĘCEJ

Z CZEGO TA BABA SIĘ TAK CIESZY? A Z ŻYCIA, CHOLERA!

AUTOR: GABRIELA KURCZ

KWIECIEŃ 2016

Paweł Łęczuk, DJ Wika i Jakub Jabłonka - autorzy książki "DJ Wika. Jest moc!" / materiały prasowe

Jest drobna i niezwykle kobieca. Czarny kolor tylko pogłębia to wrażenie, a DJ Wika lubi nosić się na czarno. Czerwone usta i jasne włosy, błysk w oku i spory zapas energii. Skąd ta moc?

GABRIELA KURCZ: Muszę, po prostu muszę zacząć od tego koncertu. Sierpień 2015, Gdańsk, Targ Węglowy. Trafiam tam przypadkiem i nieprzypadkowo zostaję na cały koncert.

DJ WIKA: – Była tam pani? Pod sceną prawda? To ja panią pamiętam!

Ja pamiętam tę wyjątkową atmosferę, która udzieliła się wszystkim, niezależnie od wieku, płci i sprawności.

– To jest cudowna impreza, głównie dla osób upośledzonych, tych pokonanych przez życie, ale nie pokonanych przez siebie. Dostałam wtedy symboliczny klucz do Gdańska, więc znowu się tam może zobaczymy.

Przybywa tych odznaczeń..

– Już 20 lat pracuję z seniorami, zostałam „Człowiekiem, który czyni dobro", dostałam dyplom i odkurzacz. Kocham ludzi, więc czuję się trochę misjonarzem dobra, kocham zwierzęta, wspieram schroniska. Mam ogromną potrzebę czynienia dobra – młodym, starym, zwierzakom, młodzieży upośledzonej i niepełnosprawnej. Choroby to przecież nie kara boska, to tylko smutne przypadki. W mojej naturze leży edukacja i chcę o tym mówić.

To bardzo ciekawy wątek w pani biografii – praca z tzw. trudną młodzieżą, w ośrodku dla chłopców.

– Przeżyłam już 77 lat, nie jestem teoretykiem, ale praktykiem. Nigdy nie zgadzałam się z tym, że skoro jestem pedagogiem, nie mogę np. nadużywać słownictwa. Ja w ośrodku zwrotu „k... mać" używałam na co dzień!

Bo chyba pani musiała?

– Inaczej nie mogłam się porozumieć z chłopakami, musiałam mówić ich językiem, wejść w ich skórę oraz środowisko, nie bluzgać bez sensu, ale nieraz musiałam użyć wulgaryzmów. Tylko tak można dotrzeć do człowieka.

DJ Wika to muzyk, „Jest moc" powinna być więc książką o muzyce, ale z każdą kolejną kartką utwierdzałam się w przekonaniu, że to nie muzyka jest głównym bohaterem tej książki. Jest nim człowiek!

– Bałam się tej książki, tak jak teraz z trudem, choć i wielką pokorą znoszę jej upublicznienie. Tak, ta książka jest o człowieku. Ja nie jestem muzykiem, muzyka jest moją pasją, może teraz mogłabym napisać coś więcej, chociażby o tym jak niektóre gatunki działają na człowieka. Ja tą muzyką łączę pokolenia, zacieram różnice między jednymi a drugimi, ale nigdy nie wypowiadam się na tematy, na których się nie znam, a na muzyce się nie znam.

– Człowiek może mówić o tym, na czym się zna. To jest książka o tym, jaka jestem, o moim sposobie patrzenia na życie, mojej tolerancji oraz umiłowaniu człowieka, życia, przyrody. Człowiek jest dla mnie wartością samą w sobie nie ze względu na jego przekonania, orientację. Ważne jest to, co on robi dla innych, a czy on jest czarny, żółty czy gej, to mnie nie interesuje!

Z dużym zaskoczeniem przeczytałam o tym, że często nie interesuje to również seniorów! Gdy zaprosiła pani do nich przedstawicieli Kościoła, ale również różnych partii politycznych, homoseksualistów, działaczy, ta konserwatywna zazwyczaj grupa społeczna okazała się niezwykle otwarta!

– Gdy do klubu seniora zaproszeni zostali zarówno ludzie z Radia Maryja, jak i z PO, ludzie różnych wyznań i orientacji, okazało się, że ci nasi seniorzy są wyjątkowo otwarci. Zresztą czy wśród seniorów nie ma osób innej orientacji? Oczywiście, że są!

– Wie pani, gdyby to była choroba, to już dawno wynaleziono by na nią lek. Seniorzy z założenia są konserwatywni i tak się kojarzą, ale oni potrafią się otworzyć! Oczywiście, kluby seniora współpracują z Kościołem. Często kościoły mają np. przewodników, z których wiedzy korzystamy. Jeśli ktoś jest związany z Kościołem, to proszę bardzo, niech mu Bóg daje zdrowie i łaski!

Wróćmy do muzyki. Jak to się wszystko zaczęło? Skąd wzięła się DJ Wika?

– Nie robiłam nic, żeby się pchać, nie miałam parcia na szkło, na radio. Przez wiele lat prowadziłam kabarety, pisałam scenariusze, byłam pełnym zaangażowania pracownikiem. Zakładałam filie domu kultury z przedszkolami, miejscami dla młodzieży. Z biegiem czasu przeszłam do fundacji, tam założyłam salon literacki, pracowałam z literatami warszawskimi. Żuchowski akompaniował, salon cieszył się popularnością, to było naprawdę piękne miejsce! Niestety, gdy podnieśli czynsz, nie było już za co płacić, a ja jestem do roboty, nie do robienia pieniędzy. Nikt nie mógł nas wtedy wesprzeć. Zresztą, komu dziś jest potrzebna poezja?

– Fundacja mieściła się w pubie, zaproponowano więc, bym w tym pubie została. Ja już prowadząc dom seniorów zaczęłam dla nich grać. Muzyka, zabawa – to jednoczy ludzi. Zamawiając DJ-a musiałam za niego zapłacić. Mogłam sobie na niego pozwolić raz na pół roku, bo pieniędzy na to nie było. Pewnego dnia usłyszałam: „Pani Wika, jak pani chce, żeby

seniorzy sobie tańczyli i skakali, to niech pani sama gra". No to dobrze! Możemy grać.

– Kupiłam płyty, gramofon, odtwarzacze... Tyle rzeczy robię, dlaczego mam się nie nauczyć grać? Tak zaczęła się moja przygoda! Stopniowo zaczęli przychodzić dziennikarze, popatrzeć, jak starsza pani za konsoletą gra. Seniorzy tańczą, podłogi śmigają, dla młodych to był szok! Pojawili się dziennikarze z Anglii, Stanów, zaczęli mówić, że Polska nie jest już klęcząca, ale tańcząca! Grałam w Berlinie, Budapeszcie – czy to nie jest ciekawe życie w tym wieku? Lat 20 rozumiem, ale ja teraz mam 77!

DJ Wika - ten rok należy do niej! / materiały prasowe

Cel został osiągnięty?

– Z Hong Kongu przyjechała cała ekipa, specjalnie do mnie, żeby zrobić ze mną wywiad. Powiedzieli, że w Polsce są tylko dwie rzeczy godne zobaczenia: Kraków i pani Wika. Chwilę później Piotr Małecki zrobił o mnie film.

Teraz zrobi się jeszcze głośniej!

– Już się bardzo dużo dzieje, ja muszę też trochę ochłonąć. Wie pani, bardzo boję się jednego, takiego przedawkowania. Ludzie tę moją popularność wiążą z kokosami, biznesami, a ta książka pokazuje przecież, że nie leżałam na brzuchu, że zarobiłam na to, co mam, na swoją emeryturę. Uchyliłam rąbka tajemnicy. To nie było lekkie życie, a na to, co dziś mam, pracowałam ciężko. Ludzie patrzą i pytają sami siebie, z czego ta baba się tak cieszy – a z życia, cholera!

A to nie jest tak, że DJ Wika pojawiła się nagle, nie wiadomo jak i skąd, a ludzie pomyśleli – kolejny produkt popkultury, nie było DJ-ki emerytki, to nam ją dali?

– Na to, że gram, że jestem dziś tu, gdzie jestem, złożyło się całe moje życie. Po przejściu na emeryturę pomyślałam, że chciałabym być jeszcze aktywna, że chciałabym jeszcze coś zrobić dla ludzi, dla mojego pokolenia. Ja jestem przedstawicielką grupy seniorów, tą, której udało się przedrzeć, tyle!

– To moje granie to taki protest. Nam, osobom starszym, wyznaczono role – masz emeryturę, to teraz idź robić pierogi dzieciom, z różańcem i książeczką do kościoła albo na cmentarz, więcej nie wypada. Ja uważam, że wypada wszystko! Niestety nie umiem szyć, nie umiem haftować, nie znoszę lepić pierogów. To co mi zostało?

Mówią, że starość w Polsce śmierdzi moczem i cebulą... Trudno przekonać młodych, że jest w niej coś atrakcyjnego.

– Nie godzę się ze starością w Polsce, my tu tę starość poniewieramy. Starość może jedynie przygarnąć Kościół. Nie ma nic dla starości, nawet jak są ludzie, którzy coś robią, nikt się tym nie interesuje.

– Wie pani, są przeglądy amatorskiej twórczości seniorów – oni pięknie malują, rysują, piszą. Ale kto to będzie oglądał? Więc nie ma radia, telewizji… A ja jestem w tej grupie i mnie trafia szlag! My się nie liczymy, a jest nas 10 milionów! Dlaczego? Bo lepiej inspirować się botoksem! Bo dziś wszystkie musimy być wypchane, wymalowane i chude, to jest idiotyzm!

Mimo wszystko lubi pani młodość.

– Kocham! Moje pokoleniowe zabawy cieszą się popularnością, jestem zapraszana do klubów, gram ich coraz więcej. Jest chętny młody DJ? Super, to ja z nim zagram! On za dekami 10 godzin i ja tyle samo. On całą noc i ja całą noc na nogach, a przecież też jestem chora, przeszłam dwie operacje, ale mnie się chce! Na tych potańcówkach jesteśmy wszyscy razem, to jest piękny obrazek! To wizerunek tej różnorodności. Tu młodzi napędzają starszych, a starzy z uśmiechem patrzą na młodych.

10 godzin na nogach? Nie ma taryfy ulgowej!

– Gramy razem, ręka w rękę, wracam o 5. czy 6. rano do domu i jeszcze koty karmię, do piwnicy wchodzę nocą, bo na mnie czekają. Muszę mieć więc dla nich puszki, choć sąsiadki mówią czasem, że jestem nienormalna. Ja tam mogę sobie żyć z tą swoją nienormalnością. Kocham koty, a jak coś kocham, to z tego nie rezygnuję!

W temacie kochania... Piękną miała pani miłość, tę drugą, prawdziwą, która czaiła się tuż za rogiem, w sąsiedztwie.

– Miałam wielką miłość, druga mi się nie zdarzy, na szczęście może. Nie chcę psuć jej smaku, dziś już bałabym się odrzucenia, braku akceptacji, tego, że się już nie przyzwyczaję oraz utraty wolności przede wszystkim. Wolność jest najważniejsza. Ale można zaszaleć! Znam panią, która w wieku 82 lat wzięła ślub z panem młodszym o 12 lat! To się zdarza od czasu do czasu, bo na miłość nie jest za późno, nigdy.

– Ładną ma pani tę kurteczkę.

Dziękuję. Wyglądamy dziś całkiem podobnie. Zaraża pani swoje seniorki tą potrzebą dobrego wyglądu, świetnej fryzury i czerwonej szminki, niezależnie od wieku?

– Bardzo dużo osób tym zarażam! Moje seniorki mówią wtedy: „O, kupiłam sobie takie same spodnie, taką samą bluzkę!”... Bo wie pani, taka jest ta nasza starość biedna i niedomyta. Często ci ludzie nie mają wody, nawyku nawet mycia, to są ludzie schorowani. Mnie też wszystko boli, jestem po wielu operacjach, ale bez umytej głowy nawet do Biedronki nie wyjdę!

– A seniorki modelki? To dopiero rewelacja! Był taki pokaz mody we Wrocławiu, seniorki prezentowały się ubrane w piękne kreacje, umalowane – nie te kobiety, naprawdę! Takiej kreacji z pokazu na co dzień nie założy, ale włosy może przecież umyć...

DJ Wika - gra, udziela się społecznie i walczy o godne życie seniorów w Polsce / materiały prasowe

Cel został osiągnięty?

Jest pani ambasadorką Parady Seniorów; ta ostatnia odbiła się w całym kraju szerokim echem. Będą kolejne?

– Będą kolejne parady! W tym roku spotykamy się 25 czerwca, to ostatnia sobota miesiąca. Mamy nadzieję, że nowy rząd z szacunku dla starości pozwoli na tę paradę! Ona jednoczy wszystkich, w niej idą wszyscy. Idą seniorzy, niezależnie od przekonań religijnych, politycznych oraz seksualnych. Wiek i szacunek do życia łączy. Wie pani, życie to największa

wartość. Ja kocham życie na ziemi, co tam będzie dalej, nie wiem, wolę mieć ten raj tutaj! Ale jeśli stanę tam kiedyś po prawej stronie, to będę tam karmiła koty, wszystkie moje bezdomne koty!

– Ma pani narzeczonego?

Ktoś się pojawił..

– Nie ufa się mężczyznom, którzy nie kochają zwierząt. Taki test niech mu pani zrobi...

Rozmawiała Gabriela Kurcz

CZYTAJ WIĘCEJ

PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ

NAJGORSZA JEST PRZEMOC PSYCHICZNA

AUTOR: ANNA PIĄTKOWSKA

KWIECIEŃ 2016

Nie reagując na przemoc współuczestniczymy w niej /©123RF/PICSEL

Jeśli kobieta cyklicznie słyszy, że jest idiotką, dziwką, że jest gruba, chuda, brzydka, jeśli ktoś porównuje ją do innych, krytykuje, to musi wiedzieć, że to już jest przemoc psychiczna – mówi Iwona A. Wiśniewska, dyrektor krakowskiego Ośrodka dla Osób Dotkniętych Przemocą.

ANNA PIĄTKOWSKA, STYL.PL: Przypadek sprzed kilku miesięcy: wieloletnia ofiara przemocy, Francuzka Jacqueline Sauvage, zabiła męża. Prezydent Francji Francois Holland zastosował wobec niej prawo łaski. Kobieta i jej dzieci przez wiele lat byli poddawani przemocy. Takich kobiet są tysiące. Dlaczego latami trwają w toksycznych związkach, nie odchodząc po pierwszym akcie przemocy?

IWONA A. WIŚNIEWSKA: – Ani Jacqueline Sauvage, ani podobne jej kobiety nie mogą odejść po pierwszym razie, to jest stereotypowe myślenie. Każda osoba uwikłana w przemoc, ofiara przemocy, tkwi w niej. Jeżeli mogłaby odejść, miałaby takie możliwości, wiedzę, nie miałaby robionego prania mózgu, a po jakimś czasie także wyuczonego poczucia bezradności, na pewno by odeszła. Ogromnym nadużyciem jest także mówienie, że kobieta jest sama sobie winna, albo że lubi być bita. Nikt nie lubi być bity. Kobiety tkwiące w takich związkach nie są masochistkami, ale stres i cykliczność przemocy powodują, że zostają.

– Wielki ukłon w stronę prezydenta Francji, że uniewinnił Jacqueline Sauvage, bo w naszych więzieniach siedzi wiele kobiet, które „zadźgały" męża w desperacji. Wiele innych tego nie zrobiło tylko dlatego, że nie miały siły. Najczęściej, kiedy kobieta zabija, to w kuchni, nożem. Zazwyczaj jest to jeden cios. Po prostu nie wytrzymuje. I gdyby wcześniej ludzie reagowali, może nie dochodziłoby do tragedii.

Panuje przekonanie, że w sprawy rodzinne nie należy się wtrącać. Sąsiedzi zazwyczaj nic nie słyszą, nic nie widzą…

– Rodzina także. A do tego dochodzą komentarze w stylu: „Widziały gały, co brały". Mówimy tak, bo nie rozumiemy mechanizmu przemocy. Przemoc jest cykliczna, eskaluje. Coraz więcej się o tym mówi, ale wciąż myślimy stereotypowo, że żeby była przemoc, to musi być alkohol, tzw. patologia, sińce na ciele, krwawe wybroczyny. Nieprawda. Przerażały

mnie billboardy „Bo zupa była za słona”, które wisiały pod koniec lat 90. na polskich ulicach, bo z jednej strony dzięki nim zaczęliśmy mówić o przemocy w rodzinie, a z drugiej strony wciąż stygmatyzowaliśmy: żeby była przemoc, musi być kobieta.

– I statystycznie rzeczywiście jest to kobieta – w ponad 90 proc. przypadków, ale coraz więcej mężczyzn doznaje nie tylko przemocy psychicznej, ale i fizycznej. W naszym ośrodku mieszkali także mężczyźni. Największe spustoszenie wywołuje przemoc psychiczna. Rany na ciele znikną, nawet kiepowania, nacięcia skóry – ten ból zniknie, rana się zabliźni. Natomiast ślady przemocy psychicznej zostają.

Trudno jednak oczekiwać od kobiety, której partner codziennie powtarza, np. że jest głupia i brzydka, i do niczego się nie nadaje, żeby poszła z tym na policję. A to przecież już przemoc.

– Oczywiście, że tak, ale większość z nas nie ma świadomości, że to jest przemoc. Jeśli kobieta cyklicznie słyszy, że jest idiotką, dziwką, że jest gruba, chuda, brzydka, ktoś porównuje ją do innych, krytykuje, to musi wiedzieć, że to już jest przemoc psychiczna.

Wiele kobiet pewnie słyszy, że się godzą na taką sytuację.

– Godzą się, bo są tysiące okoliczności: bo nie mają gdzie odejść, bo po wielu tzw. praniach mózgu po prostu uwierzyły, że są głupie – na tym to właśnie polega. Wystarczy, że przez kilka tygodni ktoś będzie pani powtarzał, że jest głupia, żeby pani w to uwierzyła. To jest bagaż doświadczeń, który wynosimy z dzieciństwa.

– Jeśli rodzic mówił nam „jesteś beznadziejna”, porównywał nas do rodzeństwa, krytykował, poniżał, to potem przez całe życie do kogoś się porównujemy. Jeśli ktoś mówi, że jest pani nic nie warta, to nawet gdyby

była pani w czymś doskonała, nie potrafi w to uwierzyć. Grupa terapeutyczna, psychoedukacyjna pomagają wyjść z takich sytuacji, powiedzieć: „Stop, możesz zbudować swoje życie na nowo. To nie będzie łatwe, ale krok po kroku i się uda”.

Czym zatem różni się konflikt w związku od aktu przemocy?

– Konflikt w związku jest rzeczą naturalną – powiemy coś przykrego, pokłócimy się, ale potem przepraszamy i analizujemy nasze zachowanie. Konflikt nierozwiązywany powoduje eskalację. Niezatrzymana przemoc przybiera na sile. Toczy się w wymiarze dominacja – uległość. Tkwi w tym wstyd, zażenowanie. Tym bardziej, że myślimy stereotypowo: nie ma alkoholu, nie ma biedy, są trzy samochody, nie bije, nie wykorzystuje seksualnie, no to nie ma przemocy. Ale są też przypadki, kiedy zmusza do seksu, zdradza, kiedy krzywdzi lub poniża ją przy dzieciach, mówi im, że ich matka jest idiotką. Kiedy ją ignoruje, jest oziębły – tak również wygląda przemoc w związku.

– Definicji przemocy jest wiele, ale najłatwiej powiedzieć, że to jest zniewolenie człowieka, niemoc. Sprawca również nie jest ciągle okrutny. Można powiedzieć obrazowo, że wystarczy, że na 365 dni w roku on będzie 65 dni dobry i ofiara będzie pamiętać tylko te dobre chwile.

To znaczy, że ofiara tego rodzaju przemocy jest bezsilna?

– Nie, wystarczy zareagować. Nie reagując na przemoc, współuczestniczymy w niej. Czasami zachowanie ofiary przemocy wydaje się irracjonalne, głupie wręcz, ale takie są mechanizmy stosowania przemocy.

Nieraz ofiara wprost mówi, że kocha sprawcę przemocy.

– Ależ tak! Oczywiście, że kocha, i tym bardziej utrzymuje ją to w przekonaniu, że powinna zostać. Pytanie: kocha czy jest zależna? Może boi się samotności? Dlatego nigdy nie można mówić: „Ja na twoim miejscu odeszłabym po pierwszym razie”.

Co jest kluczowe w podjęciu decyzji o odejściu z przemocowego związku? Ekonomiczna niezależność?

– Można sobie poradzić bez ekonomicznej niezależności, najważniejsza jest siła psychiczna. Podziwiam kobiety, bo czasami z kilkorgiem dzieci potrafiły powiedzieć dość, odejść. Mamy teraz w ośrodku trzy kobiety z trójką dzieci. Czasem kobiety mówią, że tkwią w takiej sytuacji dla dobra dziecka, ale to tak nie działa. Dziecko przede wszystkim potrzebuje miłości. Często też, kiedy poproszą o pomoc znajomych, rodzinę, słyszą: „Gdzie odejdziesz, bez niego nie miałabyś nic” – i tkwią w takim układzie dla dobra dzieci, rodziny. Obiecują sobie – komunia, bierzmowanie, ślub – potem odejdę. Ale potem nie są w stanie. Często nawet jeśli odejdą do matki, do rodziny, będą stygmatyzowane. Nierzadko więc wracają do sprawcy, na zewnątrz udają, że wszystko jest w porządku, uciekają w pracę, pomagają wszystkim dokoła, tylko sobie nie potrafią pomóc. Nie dopuszczają do siebie nikogo, bo wstyd.

– Ale też każdy, kto mówi: „Na jej miejscu odeszłabym po pierwszym razie”, po prostu kłamie, nigdy nie był na tym miejscu. Jestem bardzo ostrożna z osądzaniem, ale pełna podziwu dla kobiet. Jedna z kobiet, która trafiła do naszego ośrodka, była wielokrotnie gwałcona, ale gdy sprawca zrobił to przy dziecku, nie wytrzymała i dopiero odeszła. Jej problem jednak polegał na tym, że wcześniej nie zgłaszała nigdzie przemocy, nie miała Niebieskiej Karty, bo się wstydziła.

– Sąsiedzi, oczywiście, nic nie słyszeli. Wszyscy sąsiedzi, którzy w takiej sytuacji nic nie słyszą, współuczestniczą w przestępstwie. A przecież mogą to zgłosić anonimowo. Nawet jeśli policjant zapyta o dane, można odmówić ich podania. Można również zadzwonić do kuratora, do pracownika społecznego w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej. Apeluję: zgłaszajmy, wtrącajmy się, bo niepowstrzymana przemoc przybiera na sile!

– Warto mówić także o tym, że mężczyźni doznają przemocy – nie tylko psychicznej, także fizycznej czy seksualnej.

To częsty zarzut, że kobiety przez lata nie zgłaszają aktów przemocy, nie mówią o nich, a nawet ukrywają.

– Znam przypadek, że kobieta nie mówiła o przemocy, jakiej doznawała w domu prawie 40 lat. Bo nie wypadało, bo nikt by nie uwierzył, bo chodzili do kościoła, bo byli bogaci... Dziś ona nie ma nic, on ma wszystko. Znam też sytuację, że w domu dostatek, ale jej nic nie wolno. I ona ma wszystko, ludzie jej zazdroszczą, ale to złota klatka, bo nic nie może, o wszystko musi błagać. Bardzo chciała pracować, jest anglistką, ale żona biznesmena nie może pracować za „psie pieniądze". Po latach ona myśli, że się do niczego nie nadaje. To jest przemoc psychiczna, ekonomiczna, izolowanie od rodziny, od ludzi. Takie zachowania wynikają oczywiście z jego niskiej samooceny, bo normalny mężczyzna chwaliłby się piękną i mądrą żoną, zamiast ją ukrywać...

– Te osoby, które zdecydowały się odejść, nawet jeśli jest im bardzo trudno, mówią, że dopiero po odejściu z przemocowego związku zaczęły oddychać, chce im się żyć. Krok po kroku uczą się być kobietą, matką, a przede wszystkim człowiekiem, który myśli o sobie. Często się mówi, że to egoizm, ale tylko kiedy pokocha się i zaakceptuje siebie, można być

szczęśliwym. Proszę nie mylić tego z egocentryzmem. Egocentryk ignoruje innych myśląc tylko o sobie.

Spotyka się pani z zarzutem, że rozbiła małżeństwa?

– Oczywiście! I to często mówią matki tych ofiar, np. że ich córka powinna być przy mężu. Są też takie kobiety, które po pobycie u nas wróciły do domu, do sprawcy i przestają przychodzić na terapię, na nowo wchodzą w fazy przemocy. Rekordzistka wracała do nas osiem razy. Nigdy nie oceniamy jej decyzji, tylko przyjmujemy i nadal wspólnie pracujemy nad jej zasobami. Należy jednak pamiętać, że niezatrzymana przemoc przybiera na sile, za przemoc zawsze odpowiedzialny jest sprawca, niezależnie od tego, co czyni ofiara.

– Mamy prawo się źle zachowywać, mamy prawo być krnąbrni i jeżeli komuś się to nie podoba, to albo trzaska drzwiami i wychodzi, albo rozwiązuje to w inny sposób. Oczywiście, łatwiej jest być agresywnym, bo to przynosi szybkie efekty, sprawca rozładowuje napięcie. Ale sprawca musi mieć świadomość jednego: wyrządzając krzywdę innej osobie, tak naprawdę wyrządza krzywdę sobie. Odkrycie tego jest drogą do wolności. Tak, jak z alkoholikiem.

Czy z doświadczenia może pani powiedzieć, co sprawia, że kobiety mają świadomość, że doznają przemocy?

– Ofiary naprawdę często tego nie wiedzą, uważają to za konflikt. Najczęściej jest to impuls, informacja od pracownika socjalnego, policjanta, księdza, że to czego doświadczają w domu to przemoc. Czasami nie wytrzymują psychicznie, zwłaszcza gdy przemoc zaczyna dotykać dzieci. Informacja ze szkoły, że coś się dzieje z dzieckiem, czasem sugestia psychologa, psychiatry uświadamia im, że problemy, z którymi

zgłasza się pacjentka – stany depresyjne, lękowe, wycofanie, choroby psychosomatyczne mogą mieć związek z doznawaną przemocą.

Czy ustawa antyprzemocowa coś zmieniła?

– Wszystko, co się robi dla ludzi uwikłanych w przemoc jest dobre. Ktoś, kto się buntuje przeciwko ustawom, konwencjom jest po prostu ignorantem. Nawet te nagonki i dyskusje wokół ustawy antyprzemocowej przyniosły coś dobrego, gdyż zaczęła się dyskusja, bo coraz więcej osób uwikłanych w przemoc jest uświadomionych, coś się zaczyna dziać i to może być impuls do zauważenia, że to nie są sprawy rodzinne, w które nie należy się wtrącać. To może być bodziec. Niepokoi mnie jednak, że niektóre osoby, które działają przeciwko tej konwencji czy ustawie same przyznają, że doznawały przemocy. Mówią: „Ja wytrwałam w rodzinie dla dobra dzieci, ty też wytrwasz".

Co powinna zrobić osoba, która uświadomi sobie, że jest ofiarą przemocy?

– Taka świadomość jest pierwszym krokiem do wolności. Nie trzeba od razu zgłaszać się na policję czy wyprowadzać, bo czasami nie ma takiej możliwości. Natomiast warto pójść do specjalisty – pracownika socjalnego, psychologa, pedagoga, policjanta. Pracownicy Niebieskiej Linii również pokierują do odpowiednich instytucji.

Na co mogą liczyć ofiary przemocy, które trafią do prowadzonego przez panią Ośrodka dla Osób Dotkniętych Przemocą?

– Osoby, które trafiają do nas, są tu kierowane przez pracownika socjalnego albo przywożone przez policję przez 24 godziny na dobę. Jest tu wachlarz pomocy nieodpłatnej. Każda osoba ma tu w ośrodku do dyspozycji grupy wsparcia, rozmowy z pracownikami, terapię indywidualną, grupy terapeutyczne i psychoedukacyjne, terapię

pedagogiczną, pracę socjalną, doradztwo zawodowe i pomoc prawną. Jeśli trzeba, uczestniczymy w mediacjach z rodziną. I najważniejsze – trzymiesięczne schronienie, również z dziećmi – żeby nabrać siły. Bo przez ten czas – nie oszukujmy się – życia się nie zmieni, ale można podjąć pierwsze kroki do usamodzielnienia się.

Rozmawiała Anna Piątkowska

CZYTAJ WIĘCEJ

ZAPACH JEST TYM, CO W NAS NAJBARDZIEJ ZWIERZĘCE

AUTOR: MAGDALENA TYRAŁA

MAJ 2016

Zapach jest tym, co w nas najbardziej zwierzęce /©123RF/PICSEL

Z jednej strony ludzie oddalają się od biologii w stronę kultury, bardzo modyfikują swoje ciało i dotyczy to również jego zapachów, ale jednak pewnych granic biologicznych nie jesteśmy w stanie przeskoczyć – przekonuje filozof kultury z Wydziału Humanistycznego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, dr Jowita Guja.

Dr Jowita Guja pracuje nad filozoficzną tradycją krytyki religii. Zajmuje się także tematem kulturowej roli zapachu i perfum.

MAGDALENA TYRAŁA, STYL.PL: Czym jest zapach i po co nam on?

JOWITA GUJA, ADIUNKT W PRACOWNI BADAŃ WSPÓŁCZESNYCH FORM DUCHOWOŚCI WH AGH: – Zapach jest zestawem chemicznych molekuł, które składają się na specyficzny profil danej osoby, czyli takich, które wydziela każdy organizm i rzecz. Obecnie jesteśmy w stanie prawie każdą taką substancję zidentyfikować. Wszystko dzięki urządzeniu wynalezionemu w 1955r., które nazywa się chromatograf gazowy, a który umożliwia zidentyfikowanie tych substancji chemicznych. Natomiast nie oznacza to, że są one dla nas wyczuwalne. Wąchamy je – owszem, one na nas w jakiś sposób działają, ale nie jesteśmy ich w stanie wyczuć świadomie.

– Powołam się na przykład kawy, która według chromatografu gazowego połączonego ze spektrometrem mas, składa się z 800 substancji zapachowych – z 800 molekuł. Tymczasem my jesteśmy w stanie wyczuć jedynie 27 z nich.

– To, co odczuwamy jako zapachy, jest efektem działania pewnych kategorii naszego mózgu, czyli nie istnieje w przyrodzie, jest obiektywnie i niezależnie od nas, tylko częściowo jest kreacją naszego mózgu.

To ile zapach ma odmian? Obiektywnie.

– Z zapachem sytuacja jest o wiele trudniejsza, niż z innymi zmysłami, bo w przeciwieństwie do, np. pięciu smaków, które czujemy, konkretnych dźwięków, które słyszymy czy barw, które widzimy w kilku odcieniach, jest zdecydowanie słabiej zbadany. Do tej pory nie wiadomo, ile dokładnie jest zapachów. Kiedyś mówiło się, że jest 500 tys., potem, że jednak o 30 tys. Obecnie przyjmuje się, że jesteśmy w stanie wyczuć od 800 do tysiąca poszczególnych molekuł, czyli one mają dla nas zapach,

który jesteśmy w stanie rozpoznać. Jednak ta wiedza jest dużo mniejsza, niż ta dotycząca innych zmysłów.

Do czego te zapachy nam się przydają?

– Możemy na to popatrzeć z perspektywy świata zwierząt. Zwierzęta za pośrednictwem węchu rozpoznają swój strach czy też podniecenie. Na nasz zmysł zapachu w ogromny sposób wpłynęła kultura. Bardzo zmodyfikowaliśmy to, co w nas było naturalne. Ale ciągle pewne rzeczy nam pachną i przez to wydają się bezpieczne, a pewne nam śmierdzą i chronią nas tym samym przed niebezpieczeństwem. To chyba najsilniej w nas jeszcze tkwi.

A jakie społeczne funkcje pełni zapach?

– Zapach, obok zmysłu dotyku, jest czymś niezwykle atawistycznym, nad czym do końca nie mamy władzy. Pewne zapachy, na przykład które pamiętamy z dzieciństwa: zapach kuchni babci, zapach mamy – w określony sposób na nas działają, gdy spotkamy je później w życiu dorosłym.

To swego rodzaju pamięć zapachu?

– Tak. Działa na nas w niezwykły sposób, zupełnie podprogowo. Są ludzie, którzy dla nas ładnie pachną, i tacy, których zapach nas odrzuca i tego nie jesteśmy w stanie przeskoczyć. Nieważne jest, jakie kanony piękna kultura w nas wykreuje – jeżeli ktoś nas odpycha swoim zapachem, to to, że ładnie się ubierze czy będzie mieć fajną figurę niczego nie zmieni. Pod tym względem wciąż jesteśmy zwierzęcy. Oczywiście to, jak odbieramy zapachy ciągle się zmienia, jednak jest pewna granica, której nie pokonamy.

Od kiedy się człowiek perfumuje i po co?

– Pierwsze informacje na temat użycia czegoś w rodzaju perfum mamy już na rysunkach w piramidach z czasów starożytnego Egiptu. Wiemy, że używano ich także w Grecji i Rzymie.

– W naszej kulturze od początku używało się substancji zapachowych do różnych rzeczy, np. okadzania ołtarza przy religijnych obrzędach, ale użycie zapachu, jako czegoś, co ma spotęgować doznania estetyczne widzimy już nawet w kulturach pierwotnych. Wszystko dzięki badaniom antropologów, w których co prawda perfum jako takich nie ma, ale są podania o nacieraniu skóry różnymi olejkami czy ozdabianiu ciała pachnącymi kwiatami. To, że chcemy ładnie pachnieć wydaje się być dla nas, jako gatunku, czymś zupełnie naturalnym.

Po to, by zwiększyć swoją atrakcyjność?

– Różnie to wyglądało. W Egipcie środków zapachowych używano do balsamowania zwłok. W starożytnym Rzymie bardzo modny był irys, a konkretnie jego kłącze. Nacierano nim skórę, a nawet perfumowano wino.

– W historii perfum w naszym rozumieniu tego słowa, są dwa ważne momenty: X wiek, kiedy po raz pierwszy pojawia się kompozycja oparta na alkoholu i XIV wiek, gdy pojawiają się Eau de Hongrie skomponowane specjalnie dla Elżbiety Węgierskiej. Ciekawostką jest to, że ciągle są produkowane i można je powąchać. Przywróciła je do życia polska marka Pollena Aroma.

– Oczywiście perfumy nie muszą być oparte na alkoholu. W Indiach czy w krajach arabskich używa się olejków. Niektóre marki robią także perfumy oparte po prostu na wodzie (np. marka CB I Hate Perfume).

Jakie są zależności między zapachem a płcią? Czym różni się damski zapach od męskiego?

– Są tutaj dwie zasadnicze kwestie. Po pierwsze, jak pachnie dana płeć. Zapach mężczyzn i kobiet ma nieco inny skład. Są zapachy, które pachną nam kobieco lub męsko i to jest wykorzystywane w perfumach. Słynny akord męski to fougere, paprociowy, oparty na lawendzie i mchu dębowym. To jest woń, która pachnie nam mężczyzną. Natomiast w perfumach kobiecych tradycyjnym akordem jest szypr. W bazie ma również mech dębowy, ale oparty jest na paczuli, labdanum, na przyprawach i elementach zwierzęcych – ambra, piżma, cybetu czy kastoreum. W nucie głowy na cytrusach, natomiast w sercu albo na owocach, albo kwiatach.

– Teraz coraz bardziej wydaje się, że ten podział jest kwestią konwencjonalną, kwestią ustaleń, że dany zapach jest kobiecy bądź męski. Ale kobiety coraz częściej sięgają po zapachy męskie, zdarza się także na odwrót. Druga sprawa to fakt, że perfumiarstwo staje się coraz bardziej androgeniczne. W latach 90. coraz częściej zaczęto używać wanilii i słodkich nut jadalnych w perfumach męskich, co wcześniej było nie do pomyślenia.

Stało się tak, bo kobietom te zapachy coraz ładniej pachniały na mężczyznach?

– Nie. Koniec XX wieku to czas łamania pewnych schematów. Celem było stworzenie nowych zapachów, zaczęto je zwyczajnie mieszać. Warto wspomnieć też o perfumiarstwie niszowym, które spowodowało odrodzenie się perfumiarstwa dawnego typu. Perfumiarstwo niszowe to kategoria, za pomocą której często wyróżnia się gałąź perfumiarstwa, może nie opozycyjną, ale uzupełniającą względem mainstreamu – perfumiarstwa nastawionego na sprzedaż masową.

– To ostatnie zaczęło się od Coco Chanel. To ona spopularyzowała połączenie przemysłu modowego z rynkiem perfum i kosmetyków. Sygnowanie kompozycji zapachowej logiem Chanel, czy Dior, to sprytny zabieg marketingowy, który znacznie podnosi ich sprzedaż, a przy tym przynosi ogromne zyski marce, która od tej pory nie musi być już zależna od chwiejnego rynku hot couture. Perfumiarstwo niszowe natomiast zasadniczo nastawione jest raczej na koneserów perfum, więcej uwagi poświęcając jakości samej kompozycji, niż kreacji marketingowej. Oczywiście różnie to bywa, bo czasem producenci perfum niszowych potrafią tworzyć prawdziwe legendy, które mają na celu zwiększenie sprzedaży perfum.

– Nisza porusza się w dwóch kierunkach. Z jednej strony robi się zapachowe dziwadła, czyli zapachy, które są zaskakujące, które idą zupełnie na przekór modzie mainstreamowej. Z drugiej jednak strony powraca się do naturalnych składników. Przykładem jest marka Carthusia tworząca perfumy według dawnych, klasztornych receptur. Jedno i drugie mieści się w rynku niszowym – królestwie miłośników zapachów. Często niszowe marki tworzą wyłącznie uniseksy, zapachy skierowane i do mężczyzn, i do kobiet. De facto zapach nie ma płci. Efekt końcowy jest mieszanką naszego zapachu i tego, który na siebie nałożymy.

Jedną z funkcji zapachu było i jest wzbudzenie pożądania u płci przeciwnej. Kiedyś gwarantował to naturalny zapach ciała, który pozwalał selekcjonować partnerów i dobierać ich w taki sposób, by potencjalnie byli w stanie spłodzić zdrowe potomstwo. Zapach, jeśli się podobał, sugerował zgodność genetyczną, jeśli odrzucał – pozaświadomie zapowiadał kłopoty natury genetycznej. Czy sztucznie skomponowane zapachy nie tuszują ważnych informacji biologicznych?

– Z pewnością te naturalne zapachy nie są dla nas już tak jednoznacznym sygnałem, jakim są dla zwierzęcia, bo możemy je stłumić sztucznymi, ale to na dłuższą metę nie będzie działać. Oczywiście może się zdarzyć, że kogoś podnieca zapach kadzidła, albo róży i będzie na niego działać w sposób zmysłowy. Jednak są, moim zdaniem, bariery nie do przeskoczenia i jedną z nich może stać naturalny zapach partnera, który w końcu poczujemy. Z jednej strony ludzie oddalają się od biologii w stronę kultury, modyfikują swoje ciało i zapachy, ale pewnych granic biologicznych nie są w stanie przeskoczyć. Tak jak już wcześniej powiedziałam, zapach jest czymś niezwykle atawistycznym w nas, czyli tym, co w nas jest najbardziej zwierzęce.

Skoro jesteśmy już przy kulturze i silnym jej wpływie – jakie ona ma znaczenie dla naszych preferencji zapachowych?

– To jest naprawdę bardzo ciekawe zagadnienie. Tym bardziej, że gdy powąchamy teraz perfumy, które powstały w latach 20., dla większości z nas one zwyczajnie śmierdzą. Szczerze mówiąc nie wiem dlaczego tak jest. Robiłam badania dając do powąchania te dawne mieszanki dzieciom i te perfumy pachną im – mimo, że nie pamiętają czy ich babcia pachniała Chanel No.5 – starością. Oczywiście moda oddziałuje na nasze zmysły wielorako, również na zmysł węchu. Bardzo wyraźnie widać te przemiany w kulturze, bo w pierwszej połowie XX wieku używano głównie zapachów szyprowych i aldehydowych i skojarzenie ze starością jest tu dość uniwersalne.

– Osobiście cenię sobie zapachy, które powstawały w latach 80. i 90., a w zasadzie do końca wieku. One były bardzo interesujące, ale też zupełnie inaczej komponowane niż dzisiaj. Poison Diora, czy Obsession Kleina to są zapachy bardzo krzykliwe, ocierające się o wulgarność,

w których jest wszystkiego pełno – mnóstwo mocnych białych kwiatów, przypraw i elementów zwierzęcych. Są to jednak mieszanki bardzo głębokie. I nawet te zapachy sprzed 20–30 lat kojarzą się ludziom z czymś bardziej wulgarnym niż zmysłowym. Niezbyt często spotyka się koneserów zapachów z lat 80.

– Współcześnie to, co się dzieje w perfumiarstwie współgra z tym, co się dzieje w modzie – idziemy w stronę french style czy normcore. Perfumy, pomijając niszę, są bardziej skromne i niestety są do siebie bardzo podobne, co jest rozczarowujące dla osoby zajmującej się nimi. Są nawet perfumy, które zawsze dobrze się sprzedają – mamy w nich połączenie owoców w nucie głowy, wyraźnych nut kwiatowych w sercu i słodyczy (np. pralinek, karmelu, wanilii) w bazie. Drugi typ, który dobrze się komponuje ze współczesną modą i który również zawsze się sprzedaje to połączenie delikatnych kwiatów i białego piżma. Są to zapachy mało kontrowersyjne, ale uważane dziś za zmysłowe.

A jest jakiś uniwersalny zapach, który zawsze będzie nam się podobał?

– Wydaje mi się, że nie, że nasze preferencje wciąż ulegają i będą ulegać zmianie.

A co może zapach powiedzieć o człowieku?

– Chyba to samo, co jego ubranie. Jeżeli ktoś ma silny charakter, lubi się wyróżniać, zwykle sięga po jakąś mocniejszą kompozycję. Niezbyt często spotyka się skromne, nieśmiałe osoby wybierające krzykliwe, sensualne zapachy. Z drugiej strony czasami ludzie nas zaskakują i gusta zapachowe bywają bardzo różne, jednak wciąż uważam, że przemysłem zapachowym rządzą te same prawa, co całą modą.

A na przykład moje ulubione perfumy Chanel Chance?

– To są perfumy paczulowe, ale jedne z tych, w których paczula pachnie nieco inaczej niż w tradycyjnym perfumiarstwie. Nie pachnie tak słodko i odurzająco, tylko odrobinę metalicznie, bardzo nowocześnie. Chanel Chance możemy nazwać perfumami wykrzyknikami. Jest to zapach z charakterem, który na pewno wyznaczył nową ścieżkę w przemyśle perfumiarskim. Z jednej strony mocno podkreśla kobiecość, z drugiej ma w sobie coś androgenicznego.

Czy wiedza na temat perfum daje ci możliwość poznania osoby innym zmysłem niż na ogół przez zmysł słuchu, wzroku czy rozum?

– Ludzie czasem używają perfum bardzo przypadkowych, to znaczy nie wiedzą, co do nich pasuje i czym chcieliby pachnieć. Używają perfum prezentów, albo tych, które pani w perfumerii im podsunęła, bo się nimi zwyczajnie nie interesują, więc perfumy nie są ich świadomym wyborem. Myślę jednak, że mimo to między naszym stylem ubioru, charakterem, zachowaniem, a tym co ostatecznie wybierzemy, istnieje jakaś zależność. Tylko na ten wybór trzeba poświęcić trochę czasu.

– Jestem zwolennikiem autentyczności w wyrażaniu siebie, dlatego nieufnie podchodzę do poradników radzących coś w stylu, jesteś panią manager, to powinnaś pachnieć tym i tym, bo wtedy będziesz robić wrażenie profesjonalistki. Uważam, że najlepiej dobierać perfumy pod kątem naszych faktycznych upodobań, tego, czy czujemy się z danym zapachem sobą, czy nie jesteśmy w nim „przebrani” za kogoś innego, sztuczni. Właściwie dobrany zapach jest jak udana kreacja – czujemy się w nim pięknie, ale jednocześnie bardzo swobodnie. Na pewno te perfumy, które są „nasze”, które wybraliśmy świadomie i czujemy, że oddają to, kim naprawdę jesteśmy, dają też komunikat otoczeniu. Mało

kto wydaje nam się tak atrakcyjny, jak ten, kto po prostu dobrze czuje się w swojej skórze.

Rozmawiała Magdalena Tyrała

CZYTAJ WIĘCEJ

BP GRZEGORZ RYŚ: NIGDY NIE POWIEM, NA KOGO GŁOSUJĘ

AUTOR: JUSTYNA KACZMARCZYK

CZERWIEC 2016

Bp Grzegorz Ryś /Beata Zawrzel / Reporter

Nie można wnosić podziałów politycznych do Kościoła. Tak samo jak nie można robić podziałów politycznych w imię religii – podkreśla biskup Grzegorz Ryś. W rozmowie z Justyną Tomaszewską porusza też problem tzw. religii obywatelskiej, komentuje manifestacje KOD i narodowców, a także zdradza, dlaczego nikomu nie powie, na kogo głosuje.

JUSTYNA KACZMARCZYK, INTERIA: Jakie powinny być związki Kościoła z polityką?

BP GRZEGORZ RYŚ: – Na takie pytanie trudno odpowiedzieć nie sięgając po zdania, które łatwo można uznać za banalne. Po pierwsze, polityka w najszerszym rozumieniu oznacza wspólną troskę o dobro wspólne. Tu jest obszar do współdziałania dla każdego. Po drugie, politycy – jak wszyscy – powinni być ludźmi sumienia, bo inaczej przestają być ludźmi, a Kościół jest tym, co formuje sumienie. Co ważne – jak napisał papież Franciszek w ostatniej adhortacji – jesteśmy wezwani to tego, żeby ludziom formować sumienie, a nie je zastępować. To bardzo cenne stwierdzenie papieża.

– Po trzecie, jest jeden zasadniczy związek Kościoła z polityką, który wynika z definicji Kościoła podanej przez sobór watykański II: Kościół jest „sakramentem jedności całego rodzaju ludzkiego". Czyli społeczny wymiar Kościoła to budowanie jedności wśród ludzi. Powiedziałbym, że różnie nam to wychodzi. Czasami prawie w ogóle nam nie wychodzi.

W sobotę 7 maja ulicami Warszawy przeszły trzy manifestacje: Parada Schumana, marsz KOD i opozycji oraz pochód zwolenników m.in. Ruchu Narodowego i członków Krucjaty Różańcowej. Ci ostatni szli z modlitwą na ustach i jednocześnie w akcie sprzeciwu wobec tych drugich. Coś co powinno łączyć, dzieliło.

– Z każdym z tych ludzi trzeba by było osobno porozmawiać, jak to się wyraża w nim samym. Nie czuję się wezwany do wystawiania ocen. Problem jest gdzie indziej. Spór, który jest polityczny – a taki właśnie jest spór między KOD-em a narodowcami – może się okazać w mentalności ludzi czymś, co przesłania im fundamentalną jedność, która wynika z faktu, że i jedni, i drudzy są ochrzczeni. Wtedy właśnie mamy do czynienia – nie boję się tego powiedzieć – z bałwochwalstwem. To oznacza, że jest jakaś wartość, bo zaangażowanie polityczne samo

w sobie jest wartością, stawiana wyżej niż ta fundamentalna relacja z Bogiem i między ludźmi, która jest zainicjowana poprzez chrzest.

– Musimy wiedzieć, co w hierarchii wartości jest pierwsze, co jest drugie, a co dziesiąte. Gdyby poglądy polityczne uniemożliwiały nam stanięcie razem przy ołtarzu na wspólnej Eucharystii i przystępowanie do Komunii, to taką postawą stawiamy się totalnie obok Kościoła. To jest coś niepojętego.

Z punktu widzenia Kościoła w tamtą sobotę coś poszło nie tak?

– Nie czuję się wezwany, żeby w tej rozmowie kogokolwiek recenzować i bawić się w etykietowanie i pogłębianie podziałów między ludźmi. Mogę się poczuć wezwany do tego, żeby każdego z uczestników wszystkich tych manifestacji zapytać, czy pamiętają, że są wspólnotą, która wynika z faktu, że są ochrzczeni. I że w chrzcie Chrystus nas sobie nawzajem zadaje. Jeśli tego nie rozumiemy, to używamy religii jako sztandaru do zupełnie różnych, niereligijnych celów.

– Na synodzie biskupów o nowej ewangelizacji jedno z pytań, jakie zadali ojcowie synodalni wszystkim Kościołom lokalnym, a więc też Kościołowi w Polsce, brzmiało: co zrobiono, żeby uniknąć wszelkich pokus religii obywatelskiej?

Religii obywatelskiej?

– Użyto właśnie takiego określenia, które pokazuje, że religię można traktować jako legitymację polityczną, a ona nią z definicji nie jest. Z religią świetnie współgra patriotyzm, który jest wpisany w czwarte z przykazanie Dekalogu, czyli miłość do rodziców. W języku polskim to ładnie brzmi, że ojczyzna jest matką. Nie jesteśmy urodzeni w jakiejś abstrakcji, ale w konkretnym miejscu, w konkretnej wspólnocie ludzkiej,

i dojrzewamy, czerpiąc wartości z języka, historii, dziedzictwa, z zakorzenienia.

– Bycie Polakiem to przecudowna sprawa. Ksiądz Tischner mawiał, że to przepiękna propozycja etyczna. Tak, polskość jest taką propozycją. Zobowiązania wobec niej są jak zobowiązania wobec ojca i matki. To się ma świetnie do religii. Natomiast robienie z religii sztandaru albo tarana, którym się kogoś rozjeżdża, nie ma z jej istotą nic wspólnego. To nie nowa pokusa – w dziejach Kościoła było ich wiele i o każdej z nich po jakimś czasie myślimy bez żadnego sentymentu. Byłoby dobrze, żebyśmy się czegoś nauczyli na własnych błędach.

Może zabrakło takiego apelu o jedność – przypomnienia, jakie padło w tej rozmowie, ale wypowiedzianego głośno przez przedstawiciela Kościoła?

– Najważniejsze, to nie dać się wprowadzić na ten poziom dyskursu, który toczy się obecnie. Nie wolno. Albo jako Kościół zaproponujemy ludziom w Polsce zupełnie inny dyskurs, na innym poziomie, albo lepiej w tym obecnym nie uczestniczyć. Póki co przypomina on bardziej wojny plemienne. Włączenie się w to – choćby z apelem o pojednanie – będzie odebrane jako opowiedzenie się po jakiejś stronie. Nawet jeśli ktoś nie ustawia się po którejś stronie, to zostanie ustawiony. Musi być propozycja dyskursu na innym poziomie.

Musi być, czyli teraz nie ma?

– A czym były obchody 1050-lecia Chrztu Polski na stadionie w Poznaniu, jak nie odkrywaniem, co tak naprawdę jest istotne w tej rocznicy? Właśnie chrzest, odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych. Siedem Kościołów w Polsce odczytywało deklarację z 2000 roku o wzajemnym szacunku, wzajemnym uznaniu chrztu. To jest nasz język, język Kościoła. Pytanie jest takie: czy ten wymiar naszego życia ma przełożenie na to, jak

funkcjonujemy w gospodarce, kulturze, polityce? Jeśli nie ma, to trzeba go ciągle pogłębiać i pogłębiać, aż będzie wreszcie miał to przełożenie.

Zacytował ksiądz biskup papieża Franciszka: „formować, a nie zastępować sumienie". Ostatnio znów głośno było o kwestii aborcji w kontekście projektu ustawy antyaborcyjnej. Co powinien robić Kościół w momencie, kiedy polityka ściera się z kwestiami światopoglądowymi – przypominać, stawiać warunki, nakazywać, zakazywać, a może zostawić sprawy własnemu biegowi?

– Kościół nie jest od tego, żeby pisać prawo w Polsce. Zależy też, co się ma na myśli mówiąc „Kościół". Jeśli występuje grono ludzi świeckich z inicjatywą legislacyjną i mówią, że robią to także w imię swojej wiary, to dokładnie tak jest: konkretni ludzie robią coś w imię swojej wiary. Jedyne miejsce, gdzie Kościół wypowiada się na tematy, które mają charakter polityczny, jest określone w tradycji ratione peccati, czyli: z racji na wymiar moralny zagadnienia. I basta. Więcej nic.

W kwestii aborcji wzięto ten argument pod uwagę? Myślę o komunikacie Konferencji Episkopatu Polski.

– Kościół mówi, że aborcja, kiedy – co ważne, żeby nie iść na skróty – jest dokonywana świadomie i dobrowolnie, jest grzechem ciężkim i pociąga za sobą ekskomunikę. Na tym się kończy głos Kościoła. To nie oznacza, że kogoś się odrzuca, bo kary w Kościele mają charakter leczniczy. Każdy, kto choć trochę interesuje się życiem Kościoła, wie też, że aborcja jest grzechem odpuszczalnym i są określone drogi, by to odpuszczenie uzyskać.

– Oczywiście, mówimy jeszcze o czymś, co jest prawem naturalnym – niezbywalnym prawem człowieka do życia. Prawo człowieka od poczęcia do śmierci powinno być szanowane także w przepisach i kodeksach

prawnych. Ale kiedy mówimy „Kościół” w sensie „hierarchia”, to żaden ksiądz nie zasiada w parlamencie ani nie pisze ustaw, to nie jest nasza funkcja.

Mamy w Polsce kapłanów kojarzonych z określoną frakcją polityczną. Na przykład o. Tadeusz Rydzyk z Prawem i Sprawiedliwością, a ks. Kazimierz Sowa z Platformą Obywatelską. Czy to coś, do czego duchowni powinni dążyć, czy raczej się tego wystrzegać?

– Jeśli mowa o skojarzeniach, to każdy budzi różne...

Publiczne popieranie konkretnego kandydata, zapraszanie wybranych polityków na organizowane przez siebie wydarzenia...

– Ani jeden, ani drugi nie robi tego w imieniu Kościoła – i to jest istotne. Z tego, co wiem, obydwaj mówią o tym, że nie czynią tego w imieniu Kościoła. Ja też chodzę do wyborów, na kogoś głosuję. Różnię się tym, że nikomu nie mówię, na kogo. I tyle. A dlaczego nigdy nikomu nie powiem, na kogo głosuję? Dlatego, że chcę, żeby ci, którzy głosują odwrotnie, mogli spokojnie uczestniczyć w odprawianej przeze mnie eucharystii.

– Nie może być tak – i tu byłby kłopot – żeby moje wyraźne deklaracje polityczne miały sprawiać dyskomfort w wierze komuś, kto przychodzi na mszę, którą sprawuję. Nie można wnosić podziałów politycznych do Kościoła. Tak samo jak nie można robić podziałów politycznych w imię religii.

„Ani wiara, ani niewiara nie jest murem. Murem jest wrogość” – to słowa ks. biskupa powiedziane podczas homilii na mszy pogrzebowej Władysława Bartoszewskiego.

– To czysta ewangelia.

Jaka jest więc recepta na ten mur? Na to, by go nie budować?

– Są dwa sposoby, które – mam nadzieję – sprawdzają się w przypadku Kościoła, i mam wrażenie, że mogłyby się sprawdzić także w wymiarze społecznym. Pierwszy to powrót do źródła. W ten sposób dzisiaj działa ekumenizm. Kościoły się zbliżają do siebie wtedy, kiedy każdy z nich zbliża się do Chrystusa, czyli do tego, co jest fundamentalne. Jeśli jako społeczeństwo mamy się jednoczyć, musimy wracać do tego, co dla Polaków jest źródłowe. Nie czuję się kompetentny, żeby mówić, co to jest. Natomiast refleksje nad tym, co jest dla nas fundamentalne, źródłowe, co stanowi najistotniejsze wartości, dla których jesteśmy wspólnotą, to refleksja, która nas może odbudowywać.

– Po drugie, ktoś musi pierwszy powiedzieć: „przepraszam". Myślę, że Jan Paweł II wprowadził Kościół w zupełnie nowy etap dialogu ze światem właśnie wtedy, kiedy jako papież w imieniu Kościoła powiedział: „przepraszam". Relacje Kościoła ze światem byłyby znacznie trudniejsze, gdyby to nie miało miejsca. Na przykład wobec Żydów – bez tego „przepraszam" jaki dialog? O czym? Wszyscy mówią o jedności... Dokąd nie padnie słowo: „przepraszam", dotąd będzie trwał spór w poczuciu, że „tylko ja mam rację", a „on jest winien". Nigdzie na świecie, gdzie powstają mury, ani w żadnych relacjach międzyludzkich, wina nie leży tylko i wyłącznie po jednej stronie.

Rozmawiała Justyna Kaczmarczyk

CZYTAJ WIĘCEJ

BRACIA MINKIEWICZOWIE: W WILQ NIGDY NIE PRZESADZILIŚMY

AUTOR: MICHAŁ OSTASZ

LIPIEC 2016

Bracia Minkiewiczowie - twórcy komiksu Wilq /materiały prasowe

Stworzyli „jedną z pięciu najśmieszniejszych rzeczy na świecie”, ale stronią od pokazywania twarzy. Na całe szczęście udało mi się ich namówić na więcej niż kilka słów. Z Bartkiem i Tomkiem Minkiewiczami porozmawiałem nie tylko o ich najsłynniejszym dziele – komiksie „Wilq” – ale także o branży, zwariowanym poczuciu humoru, żółwiu Maciusiu

i nadchodzącym wielkimi krokami serialu o superbohaterze z Opola.

Nowy Jork ma drużynę Avengers, fikcyjne Gotham City Batmana, a Opole... Wilqa – kurduplowatego herosa, który nie zawsze czerpie przyjemność z ratowania swojego miasta. Stworzony przez braci Minkiewiczów superbohater doczekał się aż 23 albumów o swoich przygodach i od lat cieszy się nieustającą popularnością wśród polskich czytelników. Komiks ten charakteryzuje nie tylko postać głównego bohatera, ale również specyficzna kreska, absurdalny humor i przekleństwa. Dużo, dużo przekleństw.

MICHAŁ OSTASZ, INTERIA: Dlaczego Wilqu nie może być normalnym superbohaterem?

BARTEK MINKIEWICZ: – Jakby był normalny, to nie miałby racji bytu. Tych normalnych herosów jest całe mnóstwo. To pastisz. Im mniej jest normalny, tym jest to ciekawszy. Zakładamy, że ludzie znają konwencję komiksów superbohaterskich. Nasze żarty budujemy na przewracaniu rządzących nimi reguł do góry nogami.

Jak zaczęła się wasza przygoda z komiksem?

TOMEK MINKIEWICZ: – Jak wszystkich ludzi, którzy mają tyle samo lat co my – Kajko i Kokosze, Tytusy, Thorgale.

BARTEK: – Mama kupiła nam kiedyś „Świat Młodych”. Tam na ostatniej stronie był fragment przygód Kajko i Kokosza, dosłownie jedna strona i to zupełnie wyrwana z kontekstu. Pamiętam, że czytałem to w kółko. Zupełnie nie rozumiałem o co tam chodziło, ale ta zagadka mnie

fascynowała. A potem jak powiedział Tomek – Tytusy, Thorgale, komiksy Baranowskiego.

TOMEK: – Te ostatnie okazały się bardzo inspirujące!

BARTEK: – Komiksy wciągały przez przygodę. W świecie Thorgala aż chciało się zanurzyć, a w dziełach Baranowskiego była ta dodatkowa warstwa humoru.

A jak zaczęliście rysować własne plansze? Pamiętacie?

BARTEK: – Dużo rysowaliśmy. Zaczęliśmy naśladować komiksy zapełniając podobnymi rysunkami szkolne zeszyty. Było to odtwórcze, ale ta zabawa nas rozwinęła. Komiks w ogóle pozostał zabawą. Tak naprawdę ta faza nigdy się nie dla nas nie skończyła. Nie jest tak, że wstajemy rano i idziemy pracować przy komiksie. To hobby robione po godzinach.

Kiedy zapadła decyzja o tym, aby spróbować opublikować wasze prace?

TOMEK: – W momencie, w którym wybraliśmy krakowską Akademię Sztuk Pięknych wiedzieliśmy, że będziemy mieli coś wspólnego z szeroko pojętą działalnością artystyczną, ale chyba obaj nie sądziliśmy, że kiedyś będziemy na komiksach zarabiać pieniądze.

BARTEK: – Na roku spotkałem Krzysztofa Tkaczyka, który był jedną z ważniejszych osób w krakowskim światku komiksowym i to właśnie on rozpalił we mnie miłość do komiksu na nowo. Myślałem, że na ASP odpocznę sobie od tej formy, zajmę się wysoką sztuką. Tak mi przynajmniej poradzili na egzaminie wstępnym. Stało się jednak inaczej. Razem z Krzyśkiem rysowaliśmy i zawoziliśmy prace na konkursy i wystawy na konwentach. Pierwsze publikacje pojawiły się właśnie w pismach okołokonwentowych. Próbowaliśmy też wysyłać je do gazet – z lepszym i gorszym skutkiem.

– Wilqa robiłem dla jaj, a sam próbowałem iść w kierunku realistycznego komiksu, bogato rysowanego i w kolorze. To miały być poważne historie. Jednakże to właśnie dwie lub trzy historie o Wilqu wysłaliśmy do „Produktu” (kultowego magazynu komiksowego wydawanego w latach 1999–2004 r. – red.). Byliśmy zadowoleni, że trafiły na jego łamy, a jak już dostaliśmy odzew, że się podobają, to już w ogóle wpadliśmy w szał. To był pretekst, aby rysować go dalej. Wilqu na dobre zadomowił się w „Produkcie”. Zaczęliśmy myśleć o własnym wydawnictwie... W ogóle to zapomniałem dodać, że „Wilq” powstał w liceum. Były to rysunkowe żarty, często chamskie i grubiańskie, z naszych szkolnych koleżanek i kolegów. Wilqu na początku nie był superbohaterem. Na ten pomysł wpadliśmy dopiero później.

Jak teraz pracujecie nad waszym komiksem? Wymyślacie wszystko razem?

BARTEK: – Nigdy się nie widujemy. W ogóle to z bratem widzę się na żywo pierwszy raz od 5 lat. (śmiech)

TOMEK: – Ja mam najfajniejszą robotę. Spisuję pomysły – często w formie scenariuszy, ale raczej w postaci „okołoscenariuszowej” jako luźne wątki. Wysyłam je Bartkowi i... mam spokój. Przynajmniej do momentu aż komiks będzie wydrukowany, a ja go będę mógł przeczytać. W międzyczasie oczywiście wymieniamy się pomysłami...

BARTEK: – ...przez telefon!

TOMEK: – Tak, przez telefon. Ale nie ma raczej jednej koncepcji. Rozwijamy je osobno.

BARTEK: – Tomek wysyła mi swoje scenariusze, a ja je interpretuję rysunkami. Często dodaję coś od siebie. Wymyślanie i rysowanie „Wilqa” jest bardzo intuicyjne. Założyliśmy sobie, że ten komiks będzie miał taką „chuligańską” strukturę. Pozwalamy sobie na anarchię.

TOMEK: – Sami też wydajemy te historie. Mając własne wydawnictwo mamy ogromną swobodę. Nie musimy wydawać kolejnego albumu na określony termin.

BARTEK: – Komiksy leżą u mnie w garażu. Często sam robię wysyłkę idąc po prostu na pocztę. Kręci się to bardzo... XIX-wiecznie.

Od samego początku robicie „Wilqa" razem?

TOMEK: – Zaczęło się od wspomnianych rysunków Bartka z czasów licealnych. Dopiero kiedy wszystko zaczęło się rozrastać, brat zaproponował mi, abym od czasu do czasu rzucił jakimś pomysłem. Ja mam do niego pełne zaufanie – żadna z jego decyzji odnośnie komiksu nie była zła. Bartek ma też ostatnie słowo odnośnie zawartości każdego albumu. Zdarzyło się tak, że bodajże w numerze 16. nie było nic mojego...

BARTEK: – Ale za to ten z Gondorem (album numer 20, który mieliśmy przyjemność recenzować – red.) był cały twój!

Często pojawiają się w sieci wasze humorystyczne obrazki. Co jest dla was łatwiejsze do wymyślenia: przygody Wilqa, czy też „shorty" oparte na jednym żarcie?

TOMEK: – Ja mam spostrzeżenie, że łatwiej wymyśla mi się dłuższe historie. Często mam pomysł na żart, którego nie mam jak skrócić. Często muszę czytelnika podprowadzić do śmiesznej puenty.

BARTEK: – „Wilqa" się rysuje wtedy, kiedy ma się pomysł. Te krótkie rzeczy robimy na termin. Mamy kilku klientów, którzy zamawiają u nas rysunki. Na dzień, dwa przed deadlinem – o ile nic się nie wymyśliło – zaczyna pojawiać się stres. Trudno jest wymyślić coś śmiesznego na zawołanie. Raz w tygodniu wysyłam żarty do Tygodnika Powszechnego. Strasznie się z tym morduję i prawie zawsze robię to na minuty przed końcowym

terminem. „Wilq” jest z kolei samą przyjemnością. Jak mam wolną chwilę to rysuję.

Wilqu nie ma żadnych hamulców i nie uznaje żadnych świętości. Czy nie mieliście kiedyś refleksji, że z czymś przesadziliście?

BARTEK: – Nie. Ktoś tylko zwrócił mi uwagę, że przegiąłem, ale się z nim nie zgodziłem. W 7. numerze dodawaliśmy vlepki, które można było gdzieś sobie przykleić. Było na nich hasło „Jak często puszczałaby się twoja matka, gdyby mogła? Raz w tygodniu, dwa razy w tygodniu, trzy razy w tygodniu.” Mój znajomy stwierdził, że przesadziliśmy. Wyprzedziliśmy swoje czasy, teraz przeszłoby to bez echa.

TOMEK: – Ostrzegamy, że w komiksie jest sporo żartów tylko dla dorosłych i że jest on wypchany po brzegi wulgaryzmami. Chociaż zdarzyło się tak, że odezwali się do nas jacyś miłośnicy zwierząt. Nie pamiętam o co chodziło dokładnie, ale dotyczyło to albumu, w którym ginęły dzieci i były najazdy nazistów oraz orgie. Chyba zginął też jakiś pies – i to wkurzyło tych ludzi najbardziej.

BARTEK: – Ktoś nas też oskarżył, że Wilq to komiks homofobiczny, bo bohaterowie wyzywali się od „pedałów”. A po odcinku, w którym pojawił się Carotino – Marchewkowy Pederasta tylko się zaogniło.

TOMEK: – Ale to była bardzo sympatyczna postać...

BARTEK: – ...tyle, że na końcu zostaje zastrzelony. (śmiech) Jedno oskarżenie na tyle zeszytów – chyba nie jest tak źle.

Powiedzieliście kiedyś, że główne postacie występujące w komiksach z serii „Wilq” są wzorowane na waszych znajomych. Naprawdę znacie prawdziwego Wilqa i Alc-Mana?

BARTEK: – To są moi koledzy i koleżanki ze szkoły, z II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Opolu. Wszyscy byli bardzo sympatyczni i niesamowicie się zżyliśmy. Ja w ogóle funkcjonowałem w szkole jako dyżurny szyderca. Kiedy „Wilq" dostał drugie życie pod koniec studiów, to zdecydowałem się przenieść cały ten inwentarz. Nie zmieniałem postaci, stwierdziłem, że będą dla czytelników jeszcze bardziej interesujące. Tak jak śmieszyły kiedyś jedną grupę, tak teraz bawią tych nieznających pierwotnego kontekstu. Udało się.

TOMEK: – Chyba wszyscy cieszą się, że unieśmiertelniłeś ich na łamach komiksu.

BARTEK: – Postacie zaczęły trochę żyć własnym życiem, wyszły już tych licealnych ram.

Muszę o to zapytać – czy żółw Maciuś, którego ma komiksowy Wilq też istniał naprawdę?

BARTEK: – Tak, mój kolega Michał – który jest pierwowzorem postaci Wilqa – miał żółwia o takim imieniu.

A samo Opole, które przedstawiacie w komiksie?

TOMEK: – Używamy prawdziwych nazw. Górka śmierci, osiedle ZWM i tak dalej. Ale to tylko ozdoby, tła dla opowiadanych historii.

BARTEK: – Dodatkowo nazwy ościennych miejscowości: Osowiec, Ozimek, Chmielowice – kojarzą się z tą Polską lokalną. Wszyscy superbohaterowie działają w kosmosie, albo jakichś megalopolis. W najgorszym razie w Nowym Jorku. A Wilqu musi jechać do Mysłowic – takie jest jego życie.

Skąd bierze się wasza skromność? Działacie nie tylko na polu komiksowym, samego „Wilqa" wydajecie z powodzeniem od ponad dekady. Przychodząc na spotkanie

z wami musiałem się domyślać który z was to Tomek, a który to Bartek.

TOMEK: – Niektórzy promują swoje dzieła własną osobą, ale my nie czulibyśmy się z tym dobrze.

BARTEK: – Jak ktoś nie ma jakiegoś waloru, to maskuje to samym sobą. My mamy takie walory...

TOMEK: – ...że nie pokazujemy siebie! (śmiech)

BARTEK: – No nie lubimy tego po prostu. Nawet unikamy jeżdżenia na spotkania. Oczywiście są one megasympatyczne, ale raczej od nich stronimy. Nie dajemy też naszych zdjęć, tak się umówiliśmy z bratem. Naszą wizytówką jest „Wilq" lub coś, co jest rysowane moją kreską. To taka nasza identyfikacja wizualna.

TOMEK: – I to działa. Ludzie wiedzą, że za żarty obrazkowe na Facebooku jesteśmy odpowiedzialni właśnie my, nawet jeśli nie ma na nich Wilqa.

BARTEK: – Może to mało nowoczesne, ale ma sens i jest skuteczne.

Powiedzieliście, że „Wilqa" robicie w wolnym czasie, dla zabawy. A czy z tworzenia komiksów da się w Polsce wyżyć?

TOMEK: – Jeśli myśli się o tym, aby wydawać je tylko w Polsce, to nie. Chcąc robić karierę w tej branży trzeba pracować na Zachodzie. Teraz da się robić wszystko zdalnie, więc jest to możliwe.

BARTEK: – Może student mógłby się utrzymać, ale też nie bardzo.

TOMEK: – Rozwiązaniem jest wyjście poza komiks, na przykład zrobienie animacji. W naszym przypadku bez pracy w reklamie strasznie byśmy biedowali.

Obaj pracujecie w tej branży?

BARTEK: – Dla mnie to podstawowa praca.

TOMEK: – Ja trochę z doskoku. Wcześniej tak, ale teraz wciągnąłem się z ilustratorstwo. Moim dziełem jest między innymi Mapa Przyszłości – graficzna książka dla dzieci, którą zrobiłem dla wydawnictwa Nasza Księgarnia. Zacząłem też więcej pisać – oczywiście mowa o literaturze dla najmłodszych.

„Wilq" nie jest dla ciebie sposobem na ucieczkę?

TOMEK: – Przy „Wilq" mogę bawić się konwencjami. Na akademii robiłem dyplom z książek dla dzieci. Potem od tego odszedłem. Wróciłem dopiero wtedy, kiedy urodziła mi się córka. Uwielbiam to, że jednego dnia siedzę nad bajkami (więcej prac autora możesz zobaczyć na jego blogu – red.), a drugiego zamykam drzwi i mam prawdziwą jazdę bez trzymanki, bo wymyślam „Wilqa". (śmiech)

Jak oceniacie współczesny rynek komiksowy w Polsce? Z jednej strony półki uginają się od przeróżnych wydawnictw, ale z drugiej nie ma już czasopism branżowych, a mainstream dalej zdaje się mieć komiksowych twórców gdzieś.

BARTEK: – Wydaje mi się, że to dalej nisza.

TOMEK: – Trochę tak, trochę nie. Komiks ostał się w księgarniach. Młodzi ludzie sięgają po komiksy, a sama branża się profesjonalizuje. Wcześniej wszystko było na wariackich papierach. Ludzie nie znali się na ich wydawaniu i sprzedaży. Teraz jest wydawnictw, które komiks traktują serio. Raczej idzie to w dobrą stronę, chociaż nigdy nie będzie to tak popularne jak na zachodzie, na przykład we Francji.

BARTEK: – Może się profesjonalizuje, ale nie będzie powszechne. Dawno temu usłyszałem, że kiedyś dzieci sięgały po komiksy. Dzisiaj sięgają po iPada. Jak ktoś się wciągnie, to raczej przypadkiem. Ale to dosłownie ułamek.

TOMEK: – Moim zdaniem komiksy zastępują książki. Zobaczcie, że w sklepach są całe półki zawalone mangą.

BARTEK: – Ale manga to zupełnie inna bajka. Jak ktoś czyta mangi, to czyta mangi. Nie przechodzi na „normalne” komiksy. Tyle. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie.

Co z waszym wielkim projektem, czyli serialem o przygodach Wilqa? W temacie panuje podejrzana cisza...

BARTEK: – Dzieje się! Ale strasznie było dużo przy tym roboty. Umowy, finanse, producenci...

TOMEK: – Wolimy mówić o tym, co jest, nie o tym, co będzie. Nauczeni doświadczeniem ze świata komiksu, gdzie często przesuwaliśmy premiery albumów, wolimy działać w ten sposób.

BARTEK: – Niektórzy aż huczeli na temat projektów, z których ostatecznie nic nie wyszło. Dla nas byłby to wstyd.

TOMEK: – Trwają zaawansowane prace. W tym roku oddajemy odcinki producentowi. Jednakże nie wiemy, kiedy zostaną one wyemitowane.

BARTEK: – Producent trzyma nas krótko za mordę – i to dobrze. Sam zespół też jest świetny. Leszek Nowicki, który jest drugim reżyserem i osobą odpowiedzialną za animacje, jest genialny.

TOMEK: – Jest to cały sztab ludzi, którzy mają niesamowicie dużo roboty. To coś innego niż nasza dwójka siedząca nad pojedynczym albumem.

BARTEK: – Od czasów pierwszej krótkometrażówki z Wilqiem w roli głównej sporo się nauczyliśmy. Teraz wiemy jak dobrze przenieść ten klimat z plansz komiksu do animacji. Z Leszkiem współpracowaliśmy zresztą przy kilku innych produkcjach – o dziwo dla dzieci – i to dobrze

wróży na przyszłość. Mamy już opracowane pewne mechanizmy i sobie ufamy.

TOMEK: – Leszek zresztą „siedzi” w tym humorze. Możemy mu zaufać, bo czuje klimat.

Czy scenariusze poszczególnych odcinków serialu będą zupełnie świeże, czy to adaptacje historii z wydanych już albumów?

BARTEK: – To rodzaj adaptacji. Będą oczywiście odpowiednio wzbogacone.

TOMEK: – Nie będą to adaptacje 1:1.

BARTEK: – Chcemy, aby były autonomiczne. Chcieliśmy wykorzystać żarty i pomysły, z których byliśmy wyjątkowo zadowoleni. Tak jak mówiłem – komiks to nisza. Teraz mamy szansę dotrzeć do znacznie większej liczby odbiorców.

Serial to obecnie wasze oczko w głowie, ale chyba nie rezygnujecie z papierowego „Wilqa”?

BARTEK: – Nie! Teraz wydaliśmy numer 23. (przeczytaj naszą recenzję – red.), ale serial zaczyna pożerać coraz więcej czasu. Chcemy w tym roku wydać jeszcze jeden album zbiorczy i to w kolorze. Niedawno ukazał się taki z historiami z numerów 9–11, teraz wypadałoby zrobić kompilację 12–15. Celujemy w grudzień, ale nie wiemy jak będzie wyglądała sytuacja z serialem. Może okazać się, że po prostu zabraknie nam czasu. Na kolejny numer w tym roku raczej nie ma co liczyć. Mamy scenariusze – i to nawet na cały zeszyt. Tyle, że zrobienie albumu pochłania masę czasu. To jest XIX w. Najpierw rysuje się ołówkiem, poprawia pisakiem, potem się gumuje i wreszcie skanuje. Tak to chyba człowiek pierwotny rysował komiksy! (śmiech)

Czyli na spin-offy poświęcone bohaterom Wilqa raczej nie ma co liczyć?

TOMEK: – My tak w ogóle nie myślimy o komiksie. U nas dana postać pojawia się, bo jest potrzebna do konkretnego żartu.

BARTEK: – Tworzymy od szczegółu do ogółu. Wymyślamy bohatera, zastanawiamy się, czy będzie on z Opola, czy też z innego miasta i co ma wspólnego z Wilqiem. Nie piszemy na zasadzie „w przyszłym roku wprowadzimy do komiksu nową postać". To tak nie działa. Czasami postacie poboczne dostają historie, w których to one grają pierwsze skrzypce. Tak na przykład było z komisarzem Gondorem w numerze 20. Ale „Wilq" to nie komiks formatu Batmana, który ma miliony fanów na całym świecie i można do niego dokładać wieloodcinkowe historie innych bohaterów.

TOMEK: – Zbiór postaci występujących w „Wilq" jest tak ze sobą związany, że one właściwie nie działają w pojedynkę.

BARTEK: – To de facto jeden bohater. Bez siebie byliby mało ciekawi.

TOMEK:– Wilqu najchętniej siedziałby cały dzień na kanapie. To Alc-Man napędza całą akcję.

BARTEK: – Nawet przy pracy nad serialem okazało się, że najważniejsze jest znalezienie odpowiedniego aktora, który podłoży głos Alc-Manowi. Ta postać właściwie jest narratorem i ma najwięcej kwestii.

TOMEK: – Ma właściwie tyle tekstu, ile wszystkie inne postacie razem wzięte!

Wasze prace są regularnie publikowane w sieci. Czy Facebook i inne portale internetowe przysłużyły się do popularności Wilqa?

TOMEK: – Samego „Wilqa" nie, autorów też nie. Ale samej kreski jak najbardziej.

BARTEK: – Przysłużyło się też finansowo.

TOMEK: – Zauważyli nas potencjalni zleceniodawcy.

BARTEK: – Raz na tydzień, raz na dwa tygodnie jesteśmy pytani o to, czy czegoś byśmy nie narysowali i za ile. Bez Facebooka by tego nie było. Ale sprzedaż „Wilq”a pozostaje na tym samym poziomie, twardo się trzyma na tej samej pozycji.

Macie jakiś projekt marzeń?

TOMEK: – Dla mnie realizacja serialu już jest spełnieniem marzeń. Pamiętam jak przy 5. lub 6. numerze marzyliśmy o realizacji filmu. To było oderwane od rzeczywistości, a jednak się spełniło.

BARTEK: – Następny poziom to już chyba Hollywood. Produkcja filmowa z aktorami. Mógłbym „narysować” kolejnego Bonda, albo zrobić serial – taki amerykański, z prawdziwego zdarzenia. Wszystko jest możliwe – może to kwestia paru lat.

Chyba spodobała wam się ta branża...

BARTEK: – Nie sama branża, ale sposób na opowiadanie historii.

TOMEK: – Zasięg. Byliśmy przyzwyczajeni, że dotrzemy maksymalnie do 6 tysięcy osób. Teraz będzie to znacznie więcej osób.

BARTEK: – Komiks to trochę film dla ubogich. Nie potrzebuje oświetleniowca, scenografa, wózkarzy i kamer. Autor robi wszystko sam. Ma to urok po przejściu na drugą stronę, czyli pracę nad filmem. Dla mnie było to spełnienie marzeń. I fajna zabawa.

Czegoś życzyć komiksiarzom?

BARTEK: – My jesteśmy specyficznymi komiksiarzami. Chyba czasu... O, potrzebuję opiekunki do dziecka z prawem jazdy! Jak ktoś zna kogoś

takiego, niech się do mnie zgłosi. W ten sposób zaoszczędziłbym 2–3 godziny z każdej doby. Na razie oszczędzam je na spaniu...

TOMEK: – A mi możesz życzyć Cywilizacji VI. W grudniu premiera. Wmawiam sobie, że poczekam na przecenę, ale nie ma szans – muszę w nią zagrać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Tak wyglądała rozmowa z braćmi M. Naprawdę! /materiały prasowe

Rozmawiał Michał Ostasz

CZYTAJ WIĘCEJ

WSZYSCY OD RAZU JAK STARZY ZNAJOMI

AUTOR: ALEKSANDRA GIERACKA

CZERWIEC 2016

O. Leon Knabit / Robert Krawczyk

O tym, co łączy uczestników Światowych Dni Młodzieży z partyjnymi młodzieżówkami, w czym tkwi fenomen wydarzenia, które przyciąga w jedno miejsce tak wielu

młodych ludzi z całego świata, i co z tym wszystkim ma wspólnego „500+”, opowiada zakonnik o. Leon Knabit.

Z ojcem Leonem Knabitem spotykam się w czwartek. Mamy rozmawiać o Światowych Dniach Młodzieży, które za kilka dni rozpoczną się w Krakowie.

Miasto już wystrojone, odświętne, trwają ostatnie przygotowania. Na razie jest spokojnie, jak w zwykły, wakacyjny poranek. Studenci wyjechali, życie toczy się wolniej. Ale już za kilka godzin na ulicach pojawią się pierwsze, póki co niewielkie grupki wolontariuszy i pielgrzymów.

Za to za kilka dni Kraków po brzegi wypełnią uśmiechnięci, rozradowani młodzi ludzie. Przyjadą z bliska i z bardzo daleka, wszyscy w jednym celu. By spotkać się z rówieśnikami z odległych zakątków, by zobaczyć i posłuchać papieża Franciszka, by wspólnie się modlić.

W drodze do Tyńca, gdzie od lat mieszka ojciec Leon, spotykam pierwszą grupę. Zmierzają do Opactwa Benedyktynów radośni, zadowoleni. Po drodze przystają, robią zdjęcia, chcą uwiecznić każdy moment, zapamiętać wszystko, co zobaczą.

MŁODOŚĆ TO NIE WIEK

Ojciec Leon dopiero co wrócił z wakacyjnego odpoczynku. Odpisze jeszcze tylko na jednego maila i możemy rozmawiać.

86-letni benedyktyn odbiega od stereotypowych wyobrażeń o staruszkach. Ma komórkę, komputer. Pisze bloga, ma fanpage na Facebooku. Choć w klasztorze nie sprawuje już funkcji administracyjnych,

to ma co robić. – Piszę książki, spotkań bardzo dużo. Ktoś chce podpisać książkę, schodzę. Zobaczyli Leona i jeszcze, jeszcze – żartuje zakonnik.

Ma sporo na głowie, ale mówi, że to nie obowiązki, a przyjemność.

UŚMIECH ZAMIAST ZAPŁATY

Ojciec Leon został twarzą kampanii promującej Małopolskę przed ŚDM. W czarnym habicie z kapturem i czerwonych koralach na szyi przekonuje ze spotów, billboardów i przystanków, że „Młodość to nie tylko wiek, młodość to stan ducha".

Pomysł się spodobał. Przechodnie reagują z uśmiechem, robią sobie selfie z benedyktynem na plakacie.

Dzień przed naszą rozmową ojciec Leon wcielił się na kilka godzin w taksówkarza. Co prawda sam pojazdu nie prowadził, ale jeździł jako pasażer przez kilka godzin po mieście. Można było się dosiąść, porozmawiać. Zamiast opłaty – jeden uśmiech.

– Spotkaliśmy bardzo wielu młodych ludzi. Wszyscy od razu jak starzy znajomi. Po francusku, po angielsku, po hiszpańsku. Szeroko otwarte ramiona, uściski – cieszy się ojciec Leon.

– Przyjaźnie tam się między nimi zawiązują. Od kiedy się znacie, pytam. Od wczoraj, mówią. Razem chodzą papużki-nierozłączki – nie kryje radości zakonnik.

Nowe przyjaźnie, tworzące się od razu, bez oporów, to ważny element spotkania młodych. Socjologiczny.

MŁODZIEŻÓWKA PRZYSZŁOŚCIĄ KOŚCIOŁA

W czym tkwi fenomen Światowych Dni Młodzieży? Benedyktyn wraca pamięcią do początków i przypomina zasługi papieża Polaka. – To jest fenomen zaszczepiony przez Jana Pawła II. On swoją wiarę chciał przeszczepić na najmłodszych. „Jesteście przyszłością Kościoła" – mówił.

– Młodzieżówka to jest przyszłość każdej partii. Tak samo i tutaj, młodzieżówka Kościoła – bardziej obrazowo wyjaśnić już się nie da.

– Papież jest okazją, żeby gromadzić ludzi. Chodzi o Jezusa. Papież Benedykt powiedział: „Kto wierzy w Boga, nie jest sam". Należy pogłębić swoją wiarę. To jest główny motyw, religijny przecież – wyjaśnia ojciec Leon.

Przy nim wszystkie inne: organizacyjny, logistyczny, finansowy zostają w tyle. – Tu nikt nie mówi o wydatkach. Lubisz jeździć na saneczkach, to ktoś musi ciągnąć te sanki – żartuje zakonnik.

DOSKONAŁOŚĆ JEST NA KOŃCU

Mówiąc o religijnym wymiarze Światowych Dni Młodzieży, między słowami duchowny przemyca uniwersalną prawdę katolików. – Nie jesteśmy doskonali. Doskonałość to jest na końcu, a nie na początku. Jak nie ma wiary, to można pięknie iść, ale ta droga donikąd nie prowadzi. No bo jaka alternatywa? Skończyć w piachu? Albo robaczki zjedzą, albo spalić w krematorium. Ewentualnie jeśli jestem buddystą to mogę wejść w ciało jakiegoś innego człowieka, albo w chomika się zamienić... „Kto żyje, wierzy we mnie, nie umrze na wieki" – wyjaśnia prosto.

– Wszystko jest na wierze oparte. Jedni wierzą, że nic nie ma, inni wierzą, że jest. Tylko że mamy lepsze podstawy do wiary w to, że jest –

dodaje.

FRANCISZEK Z CZARNĄ TECZKĄ

Światowe Dni Młodzieży to też dowód na fenomen papieża. Ojciec Leon opowiada, jak pytano kardynała Angelo Sodano, bliskiego współpracownika Jana Pawła II, dlaczego ludzie tak lgną do Ojca Świętego.

– Odpowiedział: „Bo on jest ojcem”. To był taki ojciec, który zapewnia bezpieczeństwo, który kocha – tłumaczy zakonnik.

Rozmowa schodzi na papieża Franciszka, dla którego to będzie pierwsza wizyta w Polsce. – Zobaczymy jak będzie wysiadał, czy będzie miał czarną teczkę. W niej kosmetyki, brewiarz i książkę – śmieje się ojciec Leon.

A na poważnie: „Franciszek nie boi się ludzi. Skraca nawet nabożeństwa, oczywiście nie odwala, ale skraca, głosi krótsze homilie, żeby być z ludźmi”.

PAPIEŻ „500+”

Pielgrzymkom papieża Polaka towarzyszyły niezwykłe emocje. Jak zostanie przywitany Franciszek?

– Bali się jak to będzie po Janie Pawle II, jak przyjedzie Benedykt. A okazało się, że papież był witany tak jak papież. A jak papież był „nasz”, to było jeszcze coś dodane, takie „500+”. Prawdziwy entuzjazm – przekonuje ojciec Leon.

„JEDNO Z NAJWIĘKSZYCH PRZEŻYĆ W ŻYCIU”

Jaka jest atmosfera w czasie Światowych Dni Młodzieży, Polacy przekonali się już w 1991 r. Wtedy, 25 lat temu, w Częstochowie zgromadziło się ponad półtora miliona młodych katolików. Ojciec Leon pamięta pogodę ducha i rozradowanie na ich twarzach.

Wspominając tamte czasy, zwraca uwagę na szczególny moment, w którym odbyło się spotkanie. Dwa lata po przełomowym 1989 roku, gdy zasadniczo zmienił się w Polsce klimat.

– Wtedy po raz pierwszy młodzież zza wschodniej granicy mogła brać udział. Były problemy z transportem, nie było tak łatwo z komunikacją, komórki były w powijakach, problemy z ulokowaniem, z wyżywieniem. A wszystko wyszło nadzwyczajnie – wspomina ojciec Leon.

Ze Światowymi Dniami Młodzieży w Częstochowie benedyktyn ma też niezwykłe, osobiste wspomnienia. – Wiadomo, że nie należę do wczesnej młodzieży, a młodość ducha bardzo się liczy przy słabym ciele, to byłem na wieczornym apelu w przeddzień zakończenia. To było wielkie przeżycie – ojciec Leon wraca pamięcią do tamtych wydarzeń.

Na drugi dzień rano był na mszy rozesłania. – Nasz przełożony nie mógł uczestniczyć, zrezygnował i dał mi swoją kartę vipowską. Byłem bardzo blisko papieża – opowiada.

Msza rozesłania była dla ojca Leona „jednym z największych przeżyć w życiu”. – Cały świat zgromadzony. Plac pełniusieńki, papież był wzruszony, gdy wymieniał poszczególne kraje. Brawa, sztandary. Klimat, atmosfera, wiara, która zwłaszcza na wschodzie była bardzo tłamszona. Zebrani mogli zobaczyć, ilu ludzi wierzy i okazać swoją wiarę swobodnie, bez żadnych KGB – wspomina.

WIERZĘ I NIE BOJĘ SIĘ

– Nie było jeszcze wtedy lęku przed terrorystami – zauważa ojciec Leon. Nie to co teraz. Po zamachach w Paryżu, Brukseli, czy ostatnio w Nicei, temat sam powraca. Ale i w tym przypadku ojciec Leon nie pozwala sobie na pesymizm.

– Na Woodstocku nic nie było, na Euro nic nie było, na szczycie NATO nic nie było – wylicza. – Może być zamach, to najwyżej będzie. A my ufamy, że nie będzie – mówi stanowczo.

Ojciec Leon jest przekonany, że przyjęcie właściwej postawy w obliczu pewnej nerwowości, że coś złego może się wydarzyć, która próbuje przysłonić radość, to egzamin z wiary. I cytuje słowa psalmu: „Choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo ty jesteś ze mną”.

– Jeśli mocno wierzę, nie boję się. Wierzę, że nie będzie. Czy chcesz nas uratować i wszystko będzie w porządku, czy chcesz nas postawić przed pewną próbą, zgadzam się na wszystko. Ale wierzę, bo mi zależy na opinii kraju, na życiu tych ludzi, żeby spotkanie młodzieży nie było zakłócone żadnymi awanturami, wierzę, że będzie wszystko w porządku – tłumaczy ojciec Leon.

– To jest akt odwagi. Ale wyjść na ulicę to też jest akt odwagi, a co dopiero wieczorem – dodaje z uśmiechem.

O. Leon Knabit / Robert Krawczyk

MŁODOŚĆ TO STAN DUCHA

Dopytuję skąd u ojca Leona taka pogoda ducha. – Może stąd, że trafiłem na swoje miejsce – odpowiada.

86–letni benedyktyn zadowolony jest z tego, gdzie żyje, i ze sposobu, jaki wybrał na życie. – To tak jak w małżeństwie. Jeśli trafią na siebie, to po 65 latach on ją wciąż kocha. A jak nie bardzo, to czwarta żona, piąty mąż – żartuje zakonnik.

– Tak samo z pracą, doskonale trafiamy: klimat, ludzie i warunki. A czasem: „Ojej!”. Wtedy człowiek nie będzie uśmiechnięty ani szczęśliwy, nie będzie pogodny.

– Mam to po mamusi. Mamusia zawsze była radosna – przyznaje ojciec Leon.

Aleksandra Gieracka

CZYTAJ WIĘCEJ

GÓRSKI KARABACH. KRAINA ŻYJĄCA WOJNĄ

AUTOR: SŁAWEK ZAGÓRSKI

SIERPIEŃ 2016

Opuszczony diabelski młyn - ślad poprzedniej wojny /S. Zagórski /INTERIA.PL

W Górskim Karabachu wszyscy żyją wojnami. Tymi minionymi, po których pamiątki widnieją jeszcze w miastach i na poboczach dróg, jak i obecną, która toczy się po cichu

w górach. Reporter Interii odwiedził obszary od lat objęte wojną.

Spór o Górski Karabach pomiędzy Azerami i Ormianami toczy się od ponad 100 lat. Zwykle głównym argumentem w tej wojennej dyskusji jest karabin i artyleria. Do pierwszych walk doszło podczas rewolucji w 1905 roku. Konflikt eskalował po upadku caratu, gdy na początku lat 20. XX wieku, zamieszkana w większości przez katolickich Ormian, kraina została włączona do zdobytego przez bolszewików islamskiego Azerbejdżanu. Wszystko to w imię dobrych stosunków z Turcją, która zawsze patrzyła łaskawym okiem na Azerów.

Było to nie do pomyślenia dla Ormian, którzy darzyli Azerów i Turków szczerą nienawiścią. Jednak decyzją Moskwy Górski Karabach pozostał w granicach Azerbejdżanu. Dzięki temu władze ZSRR mogły odgrywać rolę arbitra w kolejnych konfliktach, a przede wszystkim stawiać się na pozycji suwerena.

Od połowy lat 60. władze Armeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej rozpoczęły starania o włączenie Karabachu w jej skład. Moskwa kolejny raz odmówiła. Tymczasem w górskiej enklawie sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. W grudniu 1987 roku doszło do pierwszych zamieszek na tle etnicznym.

Kulminacyjnym momentem krwawych porachunków była masakra w Sumgaicie, do której doszło 27 lutego 1988 roku. Zginęło wówczas 32 Ormian zadźganych zaostrzonymi prętami bądź zatłuczonych metalowymi pałkami. Do dziś nie wiadomo, kto sprowokował masakrę. Podejrzewano m.in. miejscowego ormiańskiego przestępcę Eduarda Grigoriana, a także służby specjalne ZSRR. Zamieszki trwały do 2 marca.

W wyniku starć – między grudniem 1987, a końcem 1988 roku – zginęło 220 osób, 1154 zostało rannych. Mimo to władze w Moskwie ponownie odmówiły włączenia Górskiego Karabachu w granice Armenii.

KRWAWA WOJNA

Po upadku ZSRR Azerowie odebrali Karabachowi status obwodu autonomicznego, co wywołało gorące protesty mieszkających tam Ormian. Politycy karabachscy ogłosili niepodległość. Azerowie postanowili spacyfikować dążenia wolnościowe budzące się w Górskim Karabachu. W styczniu 1992 roku wybuchła krwawa wojna, która pochłonęła ponad 17 tysięcy ofiar. Do dziś w praktycznie każdej miejscowości znaleźć można cmentarze wojenne, na których pochowani są Ormianie polegli podczas walk.

Podczas wojny doszło do masakry ludności Azerskiej pod Chodżałą (Xocali), która miała miejsce w nocy z 25 na 26 lutego 1992 roku. Armeńskie wojska przy wsparciu rosyjskiego 366. pułku piechoty zmotoryzowanej rozstrzelały 613 osób, w tym 106 kobiet i 83 dzieci, które uciekały z oblężonego miasta.

Zwaśnione strony pod naciskiem USA, Francji i Rosji podpisały w maju 1994 roku rozejm, który jest regularnie naruszany. Właściwie każdego dnia dochodzi do starć. Najpoważniejsze w ostatnim czasie miały miejsce w kwietniu 2016 roku. Zginęło wówczas 18 żołnierzy armeńskich i 12 azerskich, a także dwóch-trzech cywilów.

Do dziś jeszcze wiele pól minowych z lat 90. nie zostało rozminowanych. Wzdłuż granicy z Azerbejdżanem pojawiają się kolejne /S. Zagórski /INTERIA.PL

GRANICA, KTÓREJ NIE MA

Górski Karabach ogłosił niepodległość, której nie uznaje żadne państwo na świecie. Mimo to karabachscy Ormianie regularnie wybierają swoje władze, posiadają dobrze zorganizowaną administrację terenową i są niezwykle dumni ze swego państwa. Bezpieczeństwa strzeże jednak armeńskie wojsko, które posiada swoje garnizony właściwie w każdej miejscowości.

Tak też jest na granicy, która nie wygląda jak granica, a raczej jak dworzec autobusowy w niewielkim mieście: niepokaźny budynek pośrodku niczego, z herbem Górskiego Karabachu naklejonym na szybę. Szlabanu również nie ma. Na asfalcie wymalowano jedynie koślawy napis STOP i ciągłą linię w poprzek jezdni. Na poboczu stoją dwa maszty

z flagami Armenii i Górskiego Karabachu. Nie ma żadnej kolejki. Samochody stają na poboczu, na jezdni. Za i przed znakiem stopu.

Podchodzimy z paszportami do pierwszego z brzegu żołnierza. Ten, widząc nasze zmieszanie, bierze je od nas. – Poczekajcie chwilę. Zaraz wrócę – mówi, zabierając paszporty do budynku.

Obowiązuje całkowity zakaz fotografowania. Robimy zdjęcia budynku z ukrycia. Żołnierz wraca.

– Nie róbcie tak zdjęć – rzuca. – Ale jak chcecie, to możemy zrobić sobie zdjęcie. Tylko nie wrzucajcie na Facebooka – mówi z uśmiechem i zaczyna pozować. Chwilę później wyjaśnia, że musimy udać się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Stepanakercie po wizę. Tutaj tylko nas zarejestrowano w systemie.

Ruszamy. Około 100 metrów za przejściem granicznym leżą na poboczu zapory przeciwczołgowe. Pierwszy znak, że wjechaliśmy do państwa objętego wojną. Niedługo później mija nas pędząca w przeciwną stronę kolumna pojazdów ONZ i Czerwonego Krzyża. W połowie drogi do Stepanakertu widzimy tablicę informującą, że pole minowe zostało rozminowane przy pomocy międzynarodowej społeczności.

Przejście graniczne pomiędzy Armenią i Górskim Karabachem wygląda jak niewielki dworzec autobusowy /S. Zagórski /INTERIA.PL

TURYSTYKA WOJENNA

W stolicy Karabachu, Stepanakercie, życie toczy się normalnie, mimo że na rogatkach stoją znane nam już zapory przeciwczołgowe, a wszędzie widać wojsko. Na ulicach bawią się dzieci. Starsi panowie siedzą na ławce obserwując spacerujące pary zakochanych czy kobiety niosące zakupy. Jeździ komunikacja miejska, sklepy są pełne jedzenia, zabawek i ubrań. Jedynie pamiątek znanych z turystycznych kurortów nie można dostać. Linia frontu jest niespełna 30 km dalej.

W ministerstwie wizy dostajemy od ręki, po wypisaniu druczka i wniesieniu opłaty. Prócz nas jest tu jeszcze trójka Polaków, kilku Amerykanów i Japończyków. Tego dnia do Górskiego Karabachu przyjechało prawie 20 turystów.

Urzędnik, widząc nasz plan wyjazdu, patrzy na nas ze zdziwieniem. – Do Agdam nie jedźcie. Do Hatsi też nie – radzi. I wymienia kolejne miejscowości, do których wjazd dla przyjezdnych został ograniczony lub zabroniony.

– No to powodzenia – dodaje z uśmiechem oddając nam paszporty z wklejoną wizą państwa, którego oficjalnie nie ma.

ROSJA SPRZEDAJE KAŻDEMU

Ruszamy w kierunku zrównanego z ziemią miasta Agdam. Co chwilę mijają nas ciężarówki wojskowe wypełnione sprzętem, żołnierzami, zaopatrzeniem. Na każdym kroku widać plakaty propagandowe, rodem

z głębokiej komuny. Patrzą z nich żołnierze broniący ojczyzny, kobiety zajmujące się domem i dziećmi, pielęgniarki, policjanci. Wszyscy szczęśliwi, pracujący dla dobra społeczeństwa. Na poboczach ważniejszych skrzyżowań leżą gwiazdobloki, z których w każdej chwili można postawić zagrodę przeciwczołgową.

W każdej mijanej wiosce przejeżdżamy obok niewielkich cmentarzy ofiar wojny z początku lat 90. Im dalej na wschód, tym więcej śladów starć. Tych dawnych, jak i obecnych. Zaczyna się od niewielkich wgłębień w ścianach – śladach po pociskach karabinowych. Czasem trafią się jakieś opuszczone budynki. Później coraz częściej widać zniszczone domy, niektóre przebudowane na stajnie, inne pozostawione swojemu losowi.

Pod Chodżałą mija nas wóz dowodzenia z brygady wojsk rakietowo-artyleryjskich, której oficjalnie na terenie Górskiego Karabachu nie ma. Tak przynajmniej twierdzi rząd w Erywaniu. Systemy rakietowe OTR-21 Toczka i BM-30 Smiercz znalazły się tutaj w kwietniu wraz z kolejnymi śmigłowcami Mi-24.

Sprzęt obu stronom dostarcza Rosja. Azerom sprzedaje za gotówkę. Ormianom na kredyt. Rosjanie tłumaczą, że w ten sposób starają się utrzymać równowagę w regionie. Dzięki temu w Karabachu ma zapanować pokój. Problem w tym, że na linii demarkacyjnej nikt tego rozejmu nie pilnuje.

1 kwietnia 2016 roku Ministerstwo Obrony Armenii poinformowało, że „wróg, wykorzystując czołgi, artylerię i lotnictwo próbował przekroczyć linie obrony armii Górskiego Karabachu i zająć pozycje taktyczne”. Według Ormian wróg został odparty. Azerowie z kolei poinformowali, że „wyzwolono strategiczne wzgórza i osady”. Jaka jest prawda? Nie wiadomo. Przedstawiciele OBWE wyrazili zaniepokojenie. Inspektorzy

ONZ zajmują się pomocą humanitarną, a dziennikarzy obie strony nie wpuszczają w rejon niedawnych walk.

Mimo to wystarczy pojechać w jakikolwiek inny rejon granicy, żeby przekonać się, że walki nadal się toczą.

KAREN

Na wąskiej, wyboistej drodze po środku wąwozu mijamy niewielką kolumnę samochodów. Z każdej strony otaczają nas wysokie skalne ściany, które widać jedynie dzięki mdłym światłom rozsypujących się Ład i Opli. Jeden z pojazdów się zatrzymuje, z wnętrza wychyla się zmęczona twarz pokryta kilkudniowym zarostem. – Przepraszam, droga na Agdam jest przejezdna? – pyta wyraźnie zaniepokojony kierowca.

– Jest – zgodnie odpowiadamy. Życzymy sobie szczęścia i każdy jedzie w swoją stronę. Chwilę później mija nas policyjna łada na sygnale. W oddali widać błyski.

Choć wojsko turystów nie przepuszcza, to jednak miejscowi mogą poruszać się praktycznie bez przeszkód po całym Górskim Karabachu. Wojna im niestraszna. W pobliżu granicy bardzo często dochodzi do wymiany ogniowej. Kiedyś strzelano tylko z broni ręcznej. W ostatnich miesiącach pojedynki toczy artyleria. Na wschodzie Karabachu pobocza dróg poznaczone są świeżymi lejami po pociskach moździerzowych i artyleryjskich.

Kilka kilometrów za wąwozem zatrzymuje nas łapiący stopa żołnierz. Przedstawia się jako Karen i pyta, czy jedziemy do Erywania. Niestety nie, ale część trasy w tym kierunku może z nami pojechać.

– Na długo tu przyjechaliście? – zagaja dyskusję.

– Na kilka dni. Chcieliśmy zobaczyć jak wygląda Karabach – mówię.

– Ja jadę do żony. Dostałem dwa dni przepustki. Za trzy miesiące urodzi mi się syn, a mam już dwie córki – opowiada z dumą. Jest zmęczony, nie spał ponad dobę, ale chce jak najszybciej dotrzeć do żony, która została sama z dziećmi. W Górskim Karabachu służy już ponad pięć miesięcy.

– Kiedyś tu mieszkali wszyscy: Ormianie, Azerowie, Kazachowie, Rosjanie. Jeszcze przed upadkiem Sojuza zaczęli do siebie strzelać – zaczyna opowiadać. – Oni (Azerowie – przyp. autora) chcą ziemi, na której żyją w większości Ormianie. Teraz już nawet nie wiadomo, kto to wszystko zaczął.

Pytam się o sytuację w rejonie Agdamu. Wiedzieliśmy, że nadal toczą się tam walki choć obie strony twierdzą, że dochodzi jedynie do lokalnych wymian ognia.

– Do Agdamu nie ma po co jechać. Tam od zimy cały czas strzelają. Wszystko poniszczone. Nic nie ma. Turystów nie puszczają.

– A tutaj zajmujemy pozycje na 3200 m. Nawet teraz tam śnieg leży. Kiedy zejdzie mgła nie widać nic. Ani kto strzela, ani skąd. My też strzelamy na ślepo – dodaje.

– Przecież oficjalnie Rosja i Unia Europejska naciskają na przestrzeganie rozejmu – mówię udając zdziwienie.

– Rozejm? Chyba tylko w telewizji o nim mówią. Widziałeś leje po pociskach?

Przytakuję.

– Tutaj rozejmu nie ma. Raz jedni wystrzelą „przez przypadek”, raz drudzy. I tak się to napędza. Nie ma spokoju. Dziś też strzelaliśmy – dodaje spuszczając głowę.

Międzynarodowa społeczność nie naciska zbyt mocno na walczące strony. Władimir Putin w kwietniu apelował „o natychmiastowe

zaprzestanie walk i powściągliwość, aby uniknąć dalszych ofiar". W tym samym czasie rosyjskie fabryki sprzedawały do Azerbejdżanu i Armenii systemy artyleryjskie, głowice optoelektroniczne i amunicję.

Federica Mogherini, szefowa dyplomacji Unii Europejskiej wystosowała apel o powściągliwość. Tak samo postąpił Sekretarz Stanu USA John Kerry. Tymczasem w Górskim Karabachu przybywa wraków czołgów, wozów bojowych i lejów po pociskach.

Wraki pojazdów bojowych znaczą pobocza wielu dróg w Górskim Karabachu /S. Zagórski /INTERIA.PL

WOJENNE ROSZADY

Wojciech Górecki, znawca Kaukazu i pisarz, w kwietniu 2016 roku mówił w wywiadzie dla IAR: „Rosja nigdy nie przestała uważać Kaukazu Południowego za swoją wyłączną strefę wpływów i niechętnie odnosiła

się do prób ustanowienia w tym regionie jakiejkolwiek obcej obecności. Niewykluczone, że zaproponuje teraz posłanie do Karabachu swoich wojsk jako rozjemców i będzie chciała przejąć całą inicjatywę w karabaskim sporze".

Na razie rosyjskiego wojska w Górskim Karabachu nie ma, jednak jest rosyjski sprzęt i przede wszystkim pieniądze. Armenia znajduje się pod ogromnym wpływem Rosji. Rząd w Erywaniu jest właściwie przedstawicielem Moskwy na region. W Górskim Karabachu na każdym kroku widać wpływ rubla: buduje się drogi lepsze niż w samej Armenii czy Gruzji wspieranej przez USA, inwestuje się w przemysł, usługi. Inwestycje byłyby jeszcze bardziej widoczne, gdyby nie korupcja wszechobecna w pierwszym na świecie chrześcijańskim kraju.

Jest to tajemnica poliszynela. Łapówki w Armenii biorą wszyscy. A że to rząd w Erywaniu decyduje kto i jak inwestuje w Karabachu, to miliony rubli zostają właśnie tam.

Na niewielkiej stacji benzynowej tuż za iluzoryczną granicą pomiędzy Armenią i Górskim Karabachem wlewa nam do baku paliwo Zadur. Starszy, wąsaty pan w niebieskiej czapce z daszkiem na głowie.

– U nas jest Armeńska Republika Korupcyjna. Każdy bierze. Inwestują w Karabach, dzięki pieniądzom Rosji. Putin dobrze to robi, ale nasz rząd jest głupi – twierdzi z przekonaniem.

Kiedy dowiaduje się, że jesteśmy dziennikarzami z Polski dodaje: „U was podobnie. Macie głupi rząd teraz. Po co pomagacie Ukrainie? Oni was wykorzystują, a potem będzie jak kiedyś. Już nie pamiętacie co wam zrobili?".

Twierdzi, że tylko Rosja może dać gwarancje bezpieczeństwa w regionie. I na Ukrainie i tutaj, na Kaukazie. Dlatego też Armenia przystąpiła do stworzonych przez Rosję Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej

i Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Teraz, kiedy także Turcja, największy sojusznik Azerbejdżanu, zwraca się ku Moskwie, również Baku będzie musiało zbliżyć się do Rosji. Co z kolei jest nie w smak Gruzji wpieranej przez USA i dążącej do integracji z NATO.

Wszystko wskazuje na to, że konflikt na Kaukazie nie tylko się nie zakończy, ale będzie się rozszerzał. Zbliżenie Rosji i Turcji wywoła kolejne napięcia, zwłaszcza w relacjach z Gruzją. Rosja ponownie chce udowodnić, że Kaukaz leży w jej wyłącznej strefie wpływów.

Sławek Zagórski

CZYTAJ WIĘCEJ

TRADYCJE BALI: TAŃCE, ZĘBY I PORWANIA

AUTOR: AGNIESZKA ŁOPATOWSKA

SIERPIEŃ 2016

Taniec i duchy są na Bali nierozerwalnie związane /©123RF/PICSEL

Jeśli uznają, że wstąpiły w kogoś złe duchy, spiłowują mu zęby. Jeśli przyszłej pannie młodej nie odpowiada wybrany dla niej kandydat na męża, ukochany może ją porwać. A podczas pogrzebu cała wioska i liczni goście mają się jak najlepiej bawić. Mieszkańcy Bali, jednej z najpiękniejszych wysp świata, od wielu wieków kierują się w życiu własnymi zasadami.

Zwiedzanie Bali zaczęliśmy od... utknięcia w długim korku. Szybko okazało się, że po prostu tego dnia w kalendarzu balijskim jest znakomity dzień na pogrzeby. Nie wypada on tak często, jakby się wydawało – czasami ciała zmarłych leżą w domach nawet trzy tygodnie. Ważne jest, by odwiedzać zmarłego jak najczęściej. Usiąść, pogadać, wypić herbatę. Podobno do pięciu dni nie stanowi to problemu, po tym czasie ciało należy zabalsamować, albo złożyć w tymczasowym grobie, bo zapach staje się nie do wytrzymania. To pozwala zaoszczędzić również czas na dotarcie na pogrzeb krewnych i znajomych nawet z najodleglejszych wysp Indonezji.

POGRZEBY TO WIELKA FETA

Skąd te korki w dniu pogrzebu? Bo to wielka feta! Balijczycy nie rozpaczają po śmierci swoich bliskich wierząc, że właśnie udali się w drogę ku kolejnemu wcieleniu. Zaraz wrócą jako swoja kolejna inkarnacja. Należy więc świętować. Ponieważ ciała są kremowane, przygotowuje się do ich transportu specjalne lektyki – wadah, w których dokonuje się rytualnego spalenia. Są bogato zdobione, często ze zdjęciem zmarłego. Mogą mieć różną wysokość – czym mają więcej pięter – tym do wyższej kasty należał nieboszczyk. Najwyższa w historii liczyła 21 metrów.

Od przynależności rodowej zależy też kształt trumny. Ciała braminów, czyli kapłanów (którzy na Bali zakładają rodziny, nie żyją w celibacie) składane są w trumnach w kształcie słonia, ryby lub białej krowy. Wojownicy z warny ksatrya i kupcy z wesya mają trumny w kształcie czarnej lub czerwonej krowy. Rolnikom (sudra) również przysługują czarne krowy, ale ich wadah musi mieć mniej dachów i być niższe.

W dniu pogrzebu lektyki stoją przed wejściem do domu. Wokół nich gromadzą się goście (trudno nazwać ich żałobnikami), którzy składają ofiary bogom, aby zaopiekowały się zmarłym w ostatniej drodze. Tutaj nie obłaskawia się jedynie dobrych duchów. Na Bali wierzy się, że twoje życie jest kompletne, kiedy znajdujesz balans między dobrem a złem. Dary należą się więc i złym mocom. Później można już uformować roześmiany korowód, koniecznie z wesoło przygrywającą kapelą i podążyć za lektyką nieboszczyka w miejsce, w którym ostatecznie uwolni się jego duszę od ciała.

ŚWIĄTYNIE SĄ WSZĘDZIE

Balijczycy składają ofiary nie tylko od święta. Każdego dnia swój pokarm muszą otrzymać duchy w świątyniach rodzinnych (przy każdym domu), terytorialnych (przeznaczonych dla mieszkańców danej miejscowości), publicznych (ogólnodostępnych) i funkcyjnych, na przykład wodnych, w których wierni dokonują oczyszczenia. Są też świątynie dla poszczególnych grup zawodowych – jedne mają kowale, inne rzeźbiarze. Jest tu jeszcze matka wszystkich świątyń – położona na stoku wulkanu Pura Besakih.

Jedną z najciekawszych świątyń na Bali jest Tanah Lot. Zbudowana na skale, która zanurzona jest w morzu. Jednak gdy przychodzi odpływ, można po okolicy przejść suchą stopą, a jej kapłani w – zazwyczaj podwodnych – jaskiniach udzielają wiernym błogosławieństwa. Mają też jeszcze jedno ważne zadanie – muszą złapać i uwięzić w swoistym kurhanie niebezpiecznego dla ludzi węża morskiego, który zawsze kryje się w jednej z jaskiń. Legenda uznaje węża za świętego i mówi, że on też jest kapłanem Tanah Lot. Przy okazji stanowi dodatkowe źródło

utrzymania dla mieszkańców świątyni – za opłatą jednego dolara opiekun węża odgarnia trochę ziemi, którą przysypane jest zwierzę i pozwala turystom dotknąć jego skóry. Tanah Lot najpiękniej wygląda o zachodzie słońca.

W Goa Gaja – świątyni z jaskinią słonia, w której znajduje się statua boga Ganeshi, święte źródła biją z łon posągów kobiet datowanych na XI wiek, a rytualne kąpiele w Tirta Empul mają wręcz intymny charakter. W basenach w obu tych miejscach tryska po kilka fontann, z których należy wypić wodę – z każdej po kolei. To ma zapewnić zdrowie i wieczną młodość.

Rytualne kąpiele w świętych źródłach / Agnieszka Łopatowska / Styl.pl

Przydomową świątynię można urządzić wedle gustu, choć oczywiście z zachowaniem odpowiednich zasad. Najważniejszą z nich jest położenie – wszystkie muszą być leżeć w jednej linii: północ – południe. Podobnie

stoją również łóżka domowników, którzy śpią z głowami skierowanymi w stronę wulkanów.

Elementy wyposażenia domowych świątyń kupuje się w warsztatach kamieniarskich czy u rzeźbiarzy, albo w miejscach przypominających nasze składy budowlane. Można w nich wybrać sobie odpowiedniej wielkości kapliczki, gigantyczne głowy Buddy, posągi jego i innych bóstw, a także strzeżących wejścia na teren domostwa postaci dobrych i złych duchów. Tam też w sprzedaży są sarongi – pareo, które Balijczycy noszą na co dzień, a turyści w świątyniach na wyspie. Te do domowych świątyń, zazwyczaj w czarno-białą szachownicę ze złotą lamówką, są dostępne w znacznie większym rozmiarze, aby opasać wielkie posągi czy wiekowe drzewa.

Podczas odpływu można podejść pod - zazwyczaj oblaną wodą - świątynię Tanah Lot / Agnieszka Łopatowska / Styl.pl

ŚWIĘTA A FAZY KSIĘŻYCA

Kalendarz balijski liczy 210 dni i jest oparty na kalendarzu lunarnym. Podczas pełni wierni modlą się w świątyniach publicznych. Odpowiednie fazy księżyca mówią im, kiedy wypada dobry dzień na pogrzeb, na ślub, zasianie ryżu, czy rozpoczęcie budowy domu. Nieprzestrzeganie tych dat może sprowadzić nieszczęście, łącznie ze śmiercią. W kalendarzu tym znajdziemy też dwie daty przeklęte. To titi buuk – bardzo zły dzień i kala tamach – jeszcze gorszy od titi buuk.

Rocznicę poświęcenia danej świątyni, czyli zamieszkania w niej bogów, obchodzi się co 12 księżycowych miesięcy. Przypada wtedy odolan, na którego uczczenie Balijczycy mają od jednego do czternastu dni (w zależności od typu świątyni). Są one wolne od pracy i nauki. Podobno trochę przeszkadza to w prowadzeniu na przykład zakładów produkcyjnych, bo zdarza się, że termin odolanu może się nałożyć kilku czy kilkunastu pracownikom naraz.

Kiedy przypada odolan świątyni w danej wiosce, zaczynają się przygotowania do wielkiej fety. Mężczyźni budują trybuny dla gości, ustawiają wielkie stoły, na których pojawią się ofiary przygotowywane przez kobiety. Do koszyczków z liści palmowych wkładają kwiaty, owoce i inne ofiarowania, sprzątają świątynię i szyją nowe sarongi. – Pozytywne moce prosimy o dobre dni, negatywne przekupujemy, żeby nam nie przeszkadzały – tłumaczy przewodnik Oka Antara. – Niech wezmą ofiarę ze świątyni, a nie z naszego życia.

Kiedy wypada balijski nowy rok? Podobno mądre głowy poświęcają na obliczenie tej daty pięć dni. Świętowanie nastania 1939 roku balijskiego rozpocznie się 25 marca 2017 roku. 27 marca podczas wielkich parad zostaną złożone najważniejszą tego święta: statuy Ogoh-Ogoh symbolizujące złe demony. Jedne przypominają trochę Shreka, inne są

gigantycznymi gołymi babami. Częściej śmieszne niż straszne. Buduje się je na bambusowych podestach, dzięki którym można je zanieść na plażę i spalić. Ten rytuał ma oczyścić wyspę ze złych mocy. Ponieważ coraz częściej Ogoh-Ogoh zostają przed domami na cały rok (w ramach atrakcji turystycznych) tradycjonaliści martwią się, że wraz z nimi na Bali ostaje się coraz więcej demonów.

28 marca przypadnie pierwszy dzień roku, nazywany Dniem Ciszy – Hari Raya Nyepi. Przez 24 godziny na wyspie zapanuje całkowita cisza, która obowiązuje również turystów. Tej doby nie przylatują samoloty, nie można opuszczać hoteli, nie rozmawia się ze sobą, nie słucha muzyki i nie zapala świateł po zmroku. Stacje telewizyjne przerywają nadawanie. Za złamanie ciszy grożą przyjezdnym srogie kary, włącznie z relegowaniem z wyspy.

PIŁOWANIE ZĘBÓW

Najbardziej charakterystycznym atrybutem przedstawicieli ciemnych mocy na Bali są krzywe i wielkie zęby. To po nich poznacie posągi negatywnych bożków, ale też... opętane dzieci. Balijczycy wierzą, że jeśli ich potomek jest niegrzeczny, a do tego ma krzywy i nierówny zgryz – zawładnęły nim złe siły. Żeby wszystko wróciło do normy, trzeba po prostu spiłować mu zęby. To trochę tak, jakby kierować się zasadą: ortodonta zamiast psychologa.

Niegdyś kapłan faktycznie rytualnie piłował krnąbrnym dzieciom kły i inne odbiegające od normy fragmenty przedniego uzębienia. Teraz to bardziej symboliczne przedstawienie, a korekcją zębów zajmuje się specjalista. Coraz częściej wykonuje się te zabiegi nastolatkom

i dorosłym, a wielu mieszkańcom wyspy w ogóle udaje się uniknąć tych swoistych egzorcyzmów.

PIERWORODNY? WAYAN!

Kiedy na zatłoczonym targu zawołasz: „Wayan", jest szansa, że odwróci się kilkunastu mężczyzn. Takie imię otrzymuje pierwszy męski potomek w rodzinie. Dalej też nie jest oryginalnie: drugi to Made, trzeci Nyoman, a czwarty Ketut. Co, jeśli urodzi się piąty? Odliczamy od nowa: Wayan. Nazwiska pochodzą od kast. Wielkiej różnorodności nie ma, często więc Balijczycy zwracają się do siebie przydomkami.

Kiedy rodzą się dzieci, w wierzeniach religii hindu bali są niewinne i czyste i tak ma pozostać, dopóki nie urosną im włosy. Przez ten czas nie kładzie się ich bezpośrednio na podłodze – jedynie na kocach. Są ograniczane klatką trochę większą od tych, w której trzyma się koguty – żeby nie wyszły poza materiał.

ŚLUBY

Przyszłą matkę swoich dzieci balijscy mężczyźni mogą pojąć za żonę trójnasób. Przedstawić im ją mogą rodzice lub wykwalifikowane swatki – ślub będzie aranżowany. To czysty interes, zresztą często rodziny młodych są powiązane biznesowo. Koniecznym warunkiem jest pochodzenie z tej samej kasty, najczęściej kupców – jak się można domyślić. W wersji minimalnej para może się zobaczyć przed ślubem raz – w dniu legalizowania aranżu. Ślub odbywa się miesiąc – dwa później.

Można się też po prostu zakochać i bez przeszkód zawrzeć związek małżeński. Przed ślubem obie rodziny muszą się spotkać w obecności

kapłana, spędzić ze sobą miło czas. W dniu ceremonii pannie młodej przy świadkach tłumaczy się reguły panujące w domu jej wybranka i kapłan łączy tych dwoje w obliczu bogów i dobrych duchów. Rytuał trwa cały dzień.

Problem pojawia się, kiedy młodzi są zakochani, a kobieta wyswatana już z kimś innym, pochodzi z wyższej kasty, albo jest w ciąży. Wtedy trzeba ją po prostu... porwać. Podobno to wcale nie takie niespotykane zjawisko. Rapty są przebiegle planowane, choć podobno na sam koniec młodzi uciekają już na oczach rozgniewanego ojca panny młodej i całej – kibicującej im – wioski. To już też bardziej spektakl niż romantyczna historia. Często w wielkim finale porywający przywozi porwaną pod dom jej rodziców twierdząc, że ją znalazł. A jak znalazł, to może ją sobie zatrzymać.

RYŻOWE TARASY

Młodzieńcy którzy ukończyli 18. rok życia otrzymują wydzieloną część rodzinnego pola ryżowego. Stają się tym samym osobnym podmiotem w wiosce, niezależnym od swojego klanu. Wchodzą do rady wioski i mogą kandydować do zaszczytnej funkcji administratora tarasów ryżowych. To stanowisko szalenie odpowiedzialne, bo od niego zależy status materialny całej wioski. Administrator zajmuje pole położone na najniższej kondygnacji tarasów – powyższe oczywiście zajęte są zgodnie ze statusem społecznym ich właścicieli. To najniższe pole jest „próbką” dla całego systemu – pokazuje czy dobrze działa nawadnianie (wodę zlewa się od góry do dołu – w zależności od potrzeb), rośliny są zdrowe i plony będą dobre. Jeśli coś jest nie tak, trzeba wybrać się w górę,

znaleźć źródło problemu i ewentualnie zdyscyplinować zarządcę pola, na którym on wystąpił.

Ciekawym narzędziem do nadzoru upraw jest czarny latawiec. Jeśli lata wysoko, znaczy że będzie dobra pogoda, która przyniesie obfite plony. Latawce w innych kolorach są po prostu zabawkami. Nie byle jakimi, bo Balijczycy specjalizują się w ich budowie i ozdabianiu. W lutym w Denpasar odbywa się Janggan – największy na świecie festiwal latawców.

Kiedy młode małżeństwo prowadza się do domu rodzinnego pana młodego, następuje wielkie przeszeregowanie. Bo w domostwie, jak zresztą w prawie wszystkich aspektach balijskiego życia, rządzi gradacja. Ten z rodzeństwa, który pierwszy się ożeni, zajmuje lepsze pomieszczenia – w wysokich warnach największe domki w obejściu, nierzadko nawet te dotychczas zajmowane przez rodziców. Kobiety mogą dołączyć do rady wioski tylko w jednym przypadku: śmierci męża.

KECAK I WALKI KOGUTÓW

Nie samą pracą Balijczycy żyją, choć trzeba przyznać, że większość z nich pracuje ciężko. Wieczorami oddają się rozrywkom, z których najbardziej popularną są walki kogutów. Turyści nie są jednak na nich mile widziani, przewodnicy raczej nie chcą wskazywać miejsc, w których się odbywają. Niemniej w większości gospodarstw widać klatki z kogutami szkolonymi do walki. Czym są lepiej wytrenowane i silniejsze, tym wystawiają lepsze świadectwo męstwa swoich właścicieli.

Inną tradycyjną rozrywką, na której pokazy chętnie zaprasza się turystów, jest kecak, zwany też tańcem małp. Jest elementem spektaklu będącego połączeniem starożytnego rytuału, tańca, teatru, ognia

i zachodu słońca. Jego fabułę tworzą wybrane fragmenty hinduistycznego eposu – Ramajany.

Kecak to odgłos wydawany przez kilkudziesięciu mężczyzn, naśladujący szum drzew w dżungli. Tworzą oni wrażenie jakby greckiego chóru komentującego sytuację na scenie tym jednym, wielokrotnie powtarzanym słowem oraz klaskaniem i wybijaniem rytmu uderzaniem o klatkę piersiową. Inaczej intonują, gdy scena jest romantyczna, inaczej ilustrują walkę, a jeszcze inaczej tworzą tło do rozterek bohaterów.

Główne role w tym spektaklu, rozpoczynającym się dokładnie o zmierzchu, odgrywają tancerki. Każdy wyraz ich twarzy i gest symbolizuje odpowiednie emocje i słowa. Dość powiedzieć, że odpowiednie ułożenie głowy, szyi i oczu mogą wyrazić ponad 70 różnych znaczeń. Rękami, dłońmi i palcami można pokazać około 160 symboli. W ten sposób przedstawiają życiorys księcia Ramy i innych starożytnych bohaterów. Towarzyszą im akrobaci wcielający się w role herosów: Króla Małp i Białej Małpy.

Taniec to wynik naturalnej ewolucji wielowiekowej tradycji teatrów cieni i lalkowego.

Kecak - tradycyjny taniec Bali / Agnieszka Łopatowska / Styl.pl

NIE WYŻEJ, NIŻ PALMA

Jest jeszcze jedna zasada, która od wieków obowiązuje na terenie całej wyspy. Co ważne, jako jedna z nielicznych nie poddała się nowoczesności i dyktaturze turystyki. Na Bali nie można zbudować niczego wyższego od najwyższej palmy w okolicy.

Agnieszka Łopatowska

CZYTAJ WIĘCEJ

WIERNI SKALE. HISTORIA ŚCIŚLE TAJNA

AUTOR: DARIUSZ JAROŃ

PAŹDZIERNIK 2016

Jakub i Maria Bujakowie na wycieczce, ok 1938 r. / archiwum Magdaleny Bujak-Lenczowskiej

Po wojnie przyjechaliśmy z mamą i bratem do Zakopanego. Miałam 10 lat. Wyobrażałam sobie, że gdy będę wracała ze szkoły, zaczepi mnie wysoki pan i zapyta: gdzie mieszka pani Bujakowa? I to będzie mój tata.

Dworzec Główny w Warszawie, wiosna 1939 roku. Podróżni niecierpliwie czekają na odjazd pociągu do Wiednia. Pożegnania z bliskimi, w niejednym oku kręci się łza.

Dziennik Jakuba Bujaka, wpis z 23 kwietnia 1939 r.: „Patrzę na uśmiechniętą twarz żony; obiecała uroczyście, że wytrzyma odważnie do końca i słowa dotrzymuje. Niech by wreszcie pociąg ruszył, po co to przedłużać! (...) Ruszył w końcu. Wymieniamy ostatnie okrzyki pożegnalne; szereg znajomych twarzy przesuwa się przed oknem wagonu, a wśród nich jedna – najbardziej znajoma, najbardziej bliska. Przy niej mała czteroletnia figurka macha drobną rączką. Do widzenia, czy zobaczymy się jeszcze i kiedy?”.

Tego dnia Magdalena Bujak-Lenczowska widziała tatę po raz ostatni.

SEGREGATORY PAMIĘCI

Kościelisko, 77 lat później. Rześkie powietrze dociera do płuc. Z okien niewielkiego drewnianego domu widok na majestatyczną panoramę Tatr. Leniwie siąpi deszcz. Mógłbym tak stać godzinami, zahipnotyzowany wpatrywać się w góry. Dzielę się tą oczywistą uwagą, pewnie jak każdy gość państwa Lenczowskich, a pan Adam – były taternik – parzy wyborną kawę i zaczyna opowiadać.

– Przeprowadziliśmy się do Kościeliska na emeryturze. Wcześniej mieszkała tu teściowa. Jak zmarła, domek stał pusty. Niszczał, baliśmy się, że ktoś się włamie. Zapraszaliśmy znajomych, w lecie i zimie chętnych nie brakowało, gorzej późną jesienią. Ta tkanina na ścianie to dzieło teściowej. Projektowała i wykonywała wiele tkanin, wystawianych w kraju i za granicą. Odłożyła trochę pieniędzy i kupiła ten domek – gospodarz spełnia się w roli przewodnika.

Na piętrze są dwa pokoje. Na dole kuchnia, łazienka i salon przedzielony ścianką z książkami. W salonie na regale segregatory ze starannie poukładanymi rodzinnymi dokumentami – pamiątkami po słynnym dziadku prof. Franciszku Bujaku, twórcy historii gospodarczej. I ojcu – Jakubie.

– Moja mama, Maria Bujakowa, z domu Łomnicka była artystką, dyrektorką szkoły tkackiej w Zakopanem i projektantką tkanin. Znali się z tatą ze wspólnych wędrówek w gronie lwowskiej młodzieży po Karpatach Wschodnich. Pobrali się w 1934 roku. Byli dobrym małżeństwem. Mama nie wyszła ponownie za mąż. Powiedziała mi kiedyś, że nie ma mowy, żeby w jej życiu mógł być ktoś inny – podkreśla pani Magda.

MOGŁA BYĆ BURDŻULĄ

Jakub Bujak miał dwie pasje: naukę i góry. W listopadzie 1931 roku rozpoczął pracę we Lwowie jako asystent na tamtejszej Politechnice. Po roku przeniósł się do Warszawy, do pracy w przemyśle. Pracował w znanej fabryce maszyn Lilpop, Rau i Loewenstein.

Każdą wolną chwilę spędzał na wspinaczce. W ciągu ośmiu lat zdobył najwyższe szczyty Norwegii, przemierzył Tatry, Alpy i góry Kaukazu, często wytyczając nieznane dotąd szlaki.

„I dość wcześnie przy tym wyrósł w wyobraźni fijoł, wbił się w głowę ćwiek himalajski. Pójść tam, w te najwyższe góry, pancerne wiecznymi lodami, mozolić się w skale i w śniegach, w rozrzedzonym powietrzu wyżyn, pchać się ku szczytowi wytrwale, na przekór słabości ciała” – pisał w swoim dzienniku.

– W 1935 roku z inicjatywy taty zorganizowana została wyprawa w Kaukaz. Wszedł wtedy m.in. na Burdżulę i Szcharę. Ponieważ urodziłam się zaraz po tej wyprawie, tato chciał nadać mi imię na część pierwszego ze szczytów. Tak mu się spodobał! Na szczęście po interwencji mamy skończyło się na Magdalenie – wspomina z ulgą.

W bazie pod Nanda Devi. Od lewej Klarner, Karpiński, Bernadzikiewicz i Bujak / archiwum Magdaleny Bujak-Lenczowskiej

PIERWSI NA SZCZYCIE

Ambicje himalajskie Jakuba Bujaka podzielali inni polscy wspinacze. Starania Klubu Wysokogórskiego w Warszawie o zezwolenie na wyprawę w najwyższe góry świata trwały blisko dwa lata. Celowano w K2. W końcu zapaliło się zielone światło, ale ustalono, że Polacy zaatakują ostatecznie dziewiczy wschodni wierzchołek Nanda Devi.

Pierwsza polska wyprawa w Himalaje wyruszyła wiosną 1939 roku z Dworca Głównego w Warszawie. Pociągiem przez Austrię i Włochy, statkiem do Indii, potem znów koleją i wreszcie pieszo z karawaną kulisów do stóp świętej góry Hindusów dotarli Stefan Bernadzikiewicz, Jakub Bujak, Adam Karpiński i Janusz Klarner.

2 lipca na niezdobytym dotąd szczycie Nanda Devi Wschodniej (7434 m. n.p.m.) stanęli Jakub Bujak i Janusz Klarner. Było to największe osiągnięcie polskich wspinaczy i jedno z najtrudniejszych wejść – na tamte czasy – w historii wypraw wysokogórskich.

„Więc to już szczyt! Idę dalej pomału – Janusz za mną z (asekuracją) lotną – i wstyd przyznać beczę – ze wzruszenia, z radości, że jednak się udało, że spełniły się marzenia i zamysły blisko 10 lat. (...) Jest za późno i za duże zmęczenie i wzruszenie, żeby to wszystko spokojnie i gruntownie obejrzeć. Chowamy się w płachtę – jemy coś nie coś, przygotowujemy bilet do zostawienia w termosie i zbieramy się do drogi powrotnej” – zanotował dzień później w swoim dzienniku Jakub Bujak.

KLĄTWA ŚWIĘTEJ GÓRY

Przed Polakami tylko raz próbowano zdobyć szczyt, ale szturmujący go jeszcze przed I wojną światową Tom George Longstaff musiał zawrócić po zdobyciu przełęczy (nazwanej swoim imieniem) i wejściu na wysokość ok. 6000 m. n.p.m. Szerpa Tenzing Norgay, pierwszy – wraz z Edmundem Hillarym – zdobywca Mount Everestu, powtórzył wyczyn Jakuba Bujaka i Janusza Klarnera, po czym stwierdził, że była to najtrudniejsza wyprawa wysokogórska w jego życiu.

Nanda Devi nieprzypadkowo otoczona jest szczególnym kultem. Według hinduskich legend, kto postawi nogę na jej szczycie, umrze, a jego

ciało nie zostanie odnalezione.

Góra szybko upomniała się o dusze śmiałków, którzy zakłócili jej spokój. Dwa tygodnie po wejściu na szósty najwyższy szczyt, na którym stanęła wówczas stopa człowieka, Stefan Bernadzikiewicz i Adam Karpiński, chociaż z powodów zdrowotnych wierzchołka nie zdobyli, zginęli w lawinie pod Tirsuli.

Wracających do kraju Jakuba Bujaka i Janusza Klarnera zastała wiadomość o wybuchu II wojny światowej. Bogini Nanda jeszcze się o nich upomni.

JADZIA TĘSKNI Z BUDAPESZTU

Z dziennika Jakuba Bujaka: „Wypłynąwszy z Bombaju 23 sierpnia przybyliśmy przez Egipt i Rumunię do Lwowa dnia 12 września; tego samego dnia pojawiły się na rogatkach Lwowa czołgi przednich straży niemieckich".

Wojna zastała Marię Bujakową z dziećmi na wakacjach w Sokołowie pod Rzeszowem. Po ataku wojsk sowieckich na Polskę, Bugiem i Sanem przebiegała granica demarkacyjna, rozdzielająca obydwu okupantów. O przedostaniu się do Lwowa – przynajmniej przez jakiś czas – nie było mowy.

Jakub Bujak miesiąc czekał w domu rodziców na żonę i dzieci. 14 października – w obawie przed aresztowaniem – w towarzystwie m.in. szwagra Zbigniewa Łomnickiego, ruszył zieloną granicą przez Karpaty na Węgry, a stamtąd do Francji, do oddziału formowanego wojska polskiego. Wkrótce po wyjeździe męża, do Lwowa dotarła z dziećmi Maria Bujakowa. Minęli się o kilka dni.

„Kochana Mary, serdeczne życzenia Wesołych Świąt i Nowego Roku. Mieszkam w Budapeszcie w tej samej części miasta co i Ty, kiedy tu byłaś dwa lata temu. Był tu także twój brat, ale obecnie przeniósł się na prowincję. Moje zdrowie w porządku, napisz do mnie koniecznie, chciałabym dowiedzieć się co z tobą słychać i jak się mają Twoje dzieci? Serdecznie Was pozdrawiam. Jadzia" – pisał do żony jeszcze z Węgier. Żeńskim imieniem podpisał się ze względów bezpieczeństwa.

NA CELOWNIKU SŁUŻB

Z końcem 1939 roku Jakub Bujak przeniósł się do służby technicznej w oddziale polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii. Później jako ceniony fachowiec zatrudniony został w fabryce silników diesla pod Londynem, a w 1943 roku – w firmie Rolls-Royce w Derby.

Pracował przy nowym typie napędów samolotów odrzutowych, tzw. napędzie strumieniowym. W związku z rodzajem pracy był obiektem zainteresowania brytyjskich służb wywiadowczych.

Fragment listu jego przyjaciela Edmunda Romera do prof. Franciszka Bujaka, 4 grudnia 1945 r.: „Przez długi czas nikomu z najbliższych nawet przyjaciół nie zdradzał, co jest tematem jego prac, dopiero gdy go ostatni raz widziałem powiedział mi parę słów na ten temat, (...) wtedy przestało to być tajemnicą wskutek opublikowania osiągnięć brytyjskich w tej dziedzinie. (...) Przypuszczam, że przy osiągniętym obecnie przez brytyjski samolot rekordzie prędkości jest też cząstka pracy Kuby".

Anna Pietraszek, autorka filmu dokumentalnego wyemitowanego przez TVP w 50. rocznicę pierwszej polskiej wyprawy himalajskiej: „Pani Magda zdobyła odręczne rysunki ojca. Dałam jeden z takich szkiców do konsultacji generałom naszych sił powietrznych. Od razu powiedzieli, że

jak na tamte czasy, to były wyjątkowe projekty, niezwykłej wartości strategicznej”.

NAPISZ PARĘ SŁÓW, STARUSZKU

Prawdopodobnie pierwszy list do ojca z Anglii, październik 1940 roku. Tym razem chcąc zachować ostrożność, posłużył się fałszywym imieniem.

„Drogi Franku, już dużo czasu upłynęło od kiedy otrzymałem wiadomość od Ciebie. Jestem ciekaw jak się masz, jak Twoja rodzina i wnuki. Napisz parę słów, Staruszku, będę bardzo rad przeczytać coś od Ciebie. Z najlepszymi życzeniami dla wszystkich, z poważaniem Wilfrid”.

Mimo trwającej wojny i tęsknoty za żoną i dziećmi, Jakub Bujak starał się wieść normalne życie. Nie zrezygnował ze swojej pasji. Wolne dni, jak w Polsce, spędzał w górach. Wstąpił do brytyjskiego Klubu Alpejskiego. Z racji wysokiej postury i doświadczenia himalajskiego był w nim rozpoznawalną i cenioną postacią.

„Byłem niedawno na urlopie. Spędziłem (jego) część na pieszej włóczędze po pustkowiach Yorkshire, część na wspinaczce w Lake District w towarzystwie członków Alpine Clubu. W dalszym ciągu wierny jestem skale, a ona odpłaca mi się wzajemnością” – pisał do Edmunda Romera w lipcu 1944 roku.

W tym samym liście wieszczył długo wyczekiwany koniec II wojny światowej.

„Nie wiem, jak dalece można wierzyć słowu naszego wschodniego alianta, ale wydaje mi się, że jednak dadzą nam coś – a reszta zależeć będzie w dużej mierze od nas. Ale nie można upierać się przy przedwojennych mocarstwowych koncepcjach (...). W gruncie rzeczy miarą istotną będzie, jak się podziemny ruch kierowany stąd ustosunkuje

do nowego rządu. Sądzę, że sprawy rozwijać się będą szybko – bo i wojskowe postępy Rosjan są błyskawiczne. Mam przekonanie, że Niemcy nie są tam zdolni do poważniejszego oporu, że to jest ucieczka i pościg”.

PRZECIĘCI ŻELAZNĄ KURTYNĄ

Nadszedł maj 1945. Polska znalazła się w strefie wpływów Związku Radzieckiego, całkowicie odcięta od zachodniego świata.

– To był ciężki cios dla mojego ojca. Chciał wrócić do Polski, lecz było to niemożliwe ze względu na charakter jego pracy w przemyśle wojennym. Europa została podzielona żelazną kurtyną, nie mógł więc także sprowadzić rodziny do Wielkiej Brytanii – pani Magdalena załamuje głos.

Zaczęły się kłopoty w pracy. Jakub Bujak starał się o przeniesienie do innego działu, bo, jak pisał, „obrzydła mi robota, a raczej obrzydzili mi ją ludzie”. Więcej – być może dlatego, że jego listy podlegały kontroli służb – nie ujawnił.

ZAGINIENI W KORNWALII

30 czerwca 1945 roku wyjechał na tygodniowy urlop do Kornwalii. Towarzyszyła mu koleżanka z Klubu Alpejskiego Lorna Wilkinson, przez część wycieczki był z nimi także Zygmunt Dąbrowski, polski pilot sił lotniczych Wielkiej Brytanii.

Wyjazd zbliżał się ku końcowi. Dzień był dżdżysty, widoki przesłoniła mgła. 5 lipca po południu – czytamy w późniejszej relacji reportera „News of the World” – piechurzy nadali z miejscowości Penzance kartki

pocztowe do bliskich. „Miło spędzam czas na wędrówce i podziwianiu okolicznej przyrody, chociaż pogoda nie rozpieszcza” – pisała do matki panna Wilkinson.

To były ostatnie słowa, jakie jej przekazała.

Jakub Bujak i Lorna Wilkinson mieli wrócić do swoich obowiązków w poniedziałek 9 lipca. Nie wrócili. Dwa dni później zawiadomiono o zaginięciu policję.

Z raportu komendy policji w Kornwalii z 10 grudnia 1945 r.: „Intensywne poszukiwania w rejonie Penzance prowadzone przez policję i przyjaciół dr Bujaka nie natrafiły na ślady jego i panny Wilkinson. Można jedynie stwierdzić, że dr Bujak zaginął. Policja nie znalazła żadnych dowodów na to, że on lub panna Wilkinson utonęli. Wniosek ten jest jednak wyłącznie przypuszczeniem. Nie przeprowadzono śledztwa na wypadek śmierci dr Bujaka ani jej domniemania, a także, według mojej wiedzy, nie odnotowano jego nazwiska w rejestrze zgonów”.

OPIESZAŁOŚĆ POLICJI

Rozczarowani powolnymi postępami policji, znajomi Jakuba Bujaka skrzyknęli grupę poszukiwawczą i postanowili na własną rękę odnaleźć zaginionych. Wspinacze McCraeth Fisher, Ian Mordell, Derek Ritson i Ivan Waller dotarli do Kornwalii w sobotę 21 lipca.

Ivan Waller opisał po latach akcję poszukiwawczą w liście do Bolesława Chwaścińskiego, alpinisty i działacza Klubu Wysokogórskiego: „Odwiedziliśmy komisariaty policji, straży przybrzeżnej i urzędy pocztowe od Peznance przez Lands End to St. Ives. Po dwóch dniach chodzenia za fałszywymi tropami, usłyszeliśmy o porzuconym namiocie w okolicach Zennor. Przypadkowo natrafiliśmy na mieszkającą tam kobietę, która

otrzymała od nich na przechowanie duży plecak turystyczny, wraz z wartościowymi rzeczami, kiedy wyruszyli do Penzance. Nie wiedziała nic więcej. Odnaleźliśmy wspomniany namiot, leżał wywrócony między wioską a oceanem".

Przeszukano klify i zatoczki, ale nie trafiono na żaden ślad. „Nie wiadomo, co się z nimi stało. (...) To było najbardziej tajemnicze i niezwykłe doświadczenie w moim życiu. I szok dla nas wszystkich" – skwitował Ivan Waller.

Ian Mordell, inny uczestnik akcji poszukiwawczej potwierdza, że Jakub Bujak i Lorna Wilkinson nadali kartki z Penzance. Stąd prawdopodobnie próbowali wrócić na oddalony o siedem mil biwak.

„Być może doszło do wypadku, kiedy szli przez wrzosowiska. Na tych terenach znajdują się stare szyby górnicze. Po przeszukaniu sporych obszarów wrzosowisk, wykluczamy jednak taką możliwość. To nieprawdopodobne, aby dwie osoby jednocześnie wpadły do szybu, któremu zawsze towarzyszy znak ostrzegawczy" – pisał w swoich zeznaniach.

W jego ocenie piechurzy najpewniej dotarli do wybrzeża i poszli się kąpać lub wspinać na klifach. Kiedy jedno z nich znalazło się w tarapatach, drugie pospieszyło z pomocą, przypłacając ją życiem.

„Wbrew sobie stwierdziliśmy, że dr Bujak i panna Wilkinson nie żyją, prawdopodobnie utopili się. (...) Pewnie zostali porwani przez wodę. Tego dnia był odpływ. Wiatr wiał od brzegu" – tłumaczył Ian Mordell.

Tę samą wersję wydarzeń przedstawił Edmund Romer.

„Przypuszczenia nasuwają myśl, że albo utonął w kąpieli, albo uległ wypadkowi w czasie wspinaczki na klifie. Przypuszczenie to potwierdza w pewnym stopniu fakt, że tego dnia wiał wiatr od lądu, a wieczorem był

odpływ, bardzo jest więc prawdopodobne, że ciało zostało zaniesione w głąb morza” – relacjonował w liście do prof. Franciszka Bujaka.

Sprzeczną informację na temat warunków pogodowych zamieszczono we wspomnianej wcześniej relacji reportera „News of The World”.

„Jeżeli policyjna teoria jest słuszna, panna Wilkinson i dr Bujak utonęli w okolicach 6 lipca. Pomimo uważnych przeszukiwań wybrzeża, dotąd nie natrafiono na żaden ślad, że ich ciała mogły zostać wyrzucone na brzeg. Jest to o tyle niezwykłe, że Prąd Zatokowy silnie napiera w stronę lądu, niosąc w stronę brzegu niemal wszystko co wpadnie do wody, nawet kilka mil od brzegu” – pisał reporter gazety 30 września 1945 roku.

MARZYŁ O RODZINIE

Co stało się z Jakubem Bujakiem i Lorną Wilkinson? Przyjaciel polskiego himalaisty Edmund Romer stanowczo wykluczył samobójstwo.

Zygmunt Dąbrowski, który towarzyszył parze znajomych wspinaczy w pierwszych dniach lipca w pisemnym oświadczeniu zapewnił o dobrej kondycji psychicznej swojego kolegi.

„Nie planował gwałtownych zmian w swoim życiu, ani żadnych dramatycznych kroków. Jestem przekonany, że zaginięcie dr Bujaka można tłumaczyć wyłącznie jakimś tajemniczym wypadkiem, w którym stracił życie” – zanotował 6 maja 1946 roku w Londynie.

Fragment listu Zygmunta Kunczyńskiego do Marii Bujakowej z 9 września 1945 roku: „Kuba był w doskonałej formie, mówił o swoich marzeniach sprowadzenia tu Was – gdyż nie liczył na możność wcześniejszego pojechania do Was jak za parę lat”.

LIST DO PREZYDENTA RP

Kościelisko, sierpień 1999 roku. W 60. rocznicę zdobycia Nanda Devi Wschodniej przez polskich himalaistów Magdalena Bujak-Lenczowska pisze list do byłego prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego.

Tłumaczy tajemnicze okoliczności zaginięcia ojca, prosi o pomoc w uzyskaniu dostępu do akt śledztwa. Podkreśla, że wszystkie dokumenty Scotland Yardu, które mogłyby rzucić światło na wydarzenia z tamtego okresu, zostały utajnione. O ile oczywiście istnieją poświęcone sprawie Jakuba Bujaka akta, poza cytowaną już wcześniej lakoniczną policyjną notką z 10 grudnia 1945 roku.

Odpowiedź przychodzi po dwóch miesiącach.

„Z prawdziwą przykrością muszę poinformować Panią, że Biuro b. Prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie nie ma możliwości podjęcia oficjalnych działań w sprawie uzyskania wglądu w materiały ze śledztwa dotyczącego zaginięcia Pani Ojca. Próbowałem rozeznać nieformalnie poruszony temat. (...) mogę zaproponować dwie niezależne drogi Pani dalszego postępowania – via Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii i Konsulat Generalny RP w Londynie” – zasugerował Jan Tarczyński, dyrektor biura.

Córka Jakuba Bujaka korzysta z podanych wskazówek. Kolejne pismo – z bardziej obszernym opisem historii ojca – śle w sierpniu 2000 roku na adres powyższych instytucji.

„Mimo długich i intensywnych poszukiwań, nie udało nam się uzyskać żadnych danych, które mogłyby dodać coś konkretnego do informacji, które posiada p. Magdalena Bujak-Lenczowska” – czytamy w lakonicznej notce Zjednoczenia Polskiego.

Kopię pisma wysłała córce Jakuba Bujaka konsul Anna Czapiewska-Brabander. Zasugerowała ponadto kontakt z archiwum brytyjskiego Ministerstwa Obrony i Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów w Londynie oraz zwróciła uwagę na „możliwość umieszczenia ogłoszenia w prasie polonijnej lub w innym brytyjskim dzienniku".

Czy polskie władze mogły zrobić więcej w celu zdobycia dodatkowych dokumentów? Pytam dr Caldera Waltona z Uniwersytetu Harvarda, badacza historii brytyjskiego wywiadu i zimnej wojny.

– Sęk w tym, że formułka o zastrzeżeniu informacji to stała odpowiedź władz na każde pytanie o dokumenty pochodzące z okresu objętego klauzulą tajności. Nie oznacza ona wcale, czy takie akta istnieją czy nie. Prędzej udałoby się czegoś nowego dowiedzieć w sprawie, wertując archiwa brytyjskich instytucji publicznych – wyjaśnia.

FILM Z 1939 ROKU

Jedyne, co udało się zdobyć w Londynie, to nagranie ze zdobywania szczytu Nanda Devi Wschodniej. Taśma przez dziesięciolecia przeleżała w Brytyjskim Instytucie Filmowym, najpewniej zdeponowana w czasie wojny przez Jakuba Bujaka. Do Polski trafiła dzięki kilkuletnim staraniom Anny Pietraszek.

Podczas projekcji filmu w jej mieszkaniu w Warszawie, Magdalena Bujak-Lenczowska po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat zobaczyła tatę w ruchu. Wiosną 2016 roku odtwarzamy film na laptopie pani Magdy. – Tato miał 190 cm wzrostu, był bardzo chudy. Garbił się. Od razu widać, że to on – powtarza i zamyślona spogląda w ekran.

– Byłam przekonana, że teraz dokręcimy zdjęcia, dołączymy dokumenty, a TVP będzie najszczęśliwsza na świecie, że jako pierwsza

pokaże ten materiał. Nie była. Zawzięłam się i własnym sumptem w drugim obiegu zrealizowałam ten film w firmie mojego kolegi – kręci głową Anna Pietraszek.

ŚLADAMI DZIADKA NA NANDA DEVI WSCHODNIĄ

Siedemdziesiąt lat po pierwszej polskiej wyprawie w Himalaje, śladem dziadka Jakuba Bujaka wyruszył Jan Lenczowski. Cel był szczytny: przywrócić pamięć zdobywcom góry z 1939 roku, a jeśli się uda, samemu stanąć na szczycie Nanda Devi Wschodniej.

Jan Lenczowski: „Większość zespołu nie miała wystarczającego doświadczenia i motywacji, żeby zdobyć bardzo wymagający technicznie i wysoki szczyt. Do wejścia brakło nam jeszcze jednego, może dwóch bardziej doświadczonych wspinaczy".

– Decyzja o powrocie została podjęta ze względu na pogarszające się zdrowie jednego ze wspinaczy i złą pogodę. Do szczytu zabrakło im 500 metrów różnicy wysokości. W miejscu bazy ustawili wykutą w płycie skalnej tablicę pamiątkową na cześć polskich zdobywców Nanda Devi Wschodniej – dodaje Magdalena Bujak-Lenczowska.

Wraz z grupą wspinaczy w Himalaje pojechał operator telewizji. Anna Pietraszek zorganizowała też patronat prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Powstał film „Orłem Być", spinający ze sobą wyprawy z 1939 i 2009 roku.

Telewizja znów nie była zainteresowana emisją.

SKATOWANY PRZEZ UB?

Drugi ze zdobywców Nanda Devi Wschodniej Janusz Klarner wyszedł z domu 17 września 1949 roku i nigdy nie wrócił. Tak, jakby rozpłynął się

na ulicach Warszawy. Prawdopodobnie pomogli mu w tym funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa.

Janusz Klarner był oficerem Armii Krajowej. W trakcie powstania warszawskiego dowodził oddziałem w Lasach Kabackich. Został ciężko ranny. Za heroiczną postawę otrzymał Krzyż Walecznych.

Władzom Polski Ludowej nie podobała się powstańcza karta w jego życiorysie do tego stopnia, że Klub Wysokogórski dostał z UB pismo, w którym domagano się usunięcia nazwiska autora z książki opisującej wyprawę w Himalaje.

– Komuna robiła wszystko, aby zniszczyć bohaterów powstania. Wiele z nich zginęło bez śladu w tajemniczych okolicznościach. Do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało. Zostali rozstrzelani? Zesłani na Sybir? – zastanawia się Anna Pietraszek.

I dodaje: – Klarner zniknął z ulicy. Jego siostra opowiadała mi, jak dwa lata stała pod więzieniem na Rakowieckiej z paczkami, żeby sprawdzić, czy zostanie przyjęta. Jeśli tak, znaczy, że jej brat jest więźniem. Nigdy jej nie przyjęto. Nigdy nie dał znać.

W Armii Krajowej działał też Adam Lenczowski.

– Wszystko zależało od części kraju. Na Suwalszczyźnie za komuny praktycznie wszystkich z AK aresztowali, u nas w Małopolsce głównie co ważniejszych dowódców. Przynajmniej rok lub dwa w więzieniu przesiedzieli. (...) Ja się ujawniłem, cały „Żelbet” krakowski się ujawnił. Dostaliśmy specjalne świstki, a bezpieka miała wykaz byłych akowców. Na nas trzeba było uważać w pracy, na uczelniach. Naznaczyli nas – wspomina.

Są domniemania, że Janusza Klarnera zamęczono w katowni UB na ul. Cyryla i Metodego w Warszawie. Informację tej treści, przekazaną

rodzinie, potwierdził w rozmowie z Anną Pietraszek prokurator z Instytutu Pamięci Narodowej. Ale to tylko poszlaki.

TEGO JUŻ NIKT NIE WYJAŚNI

Żadnych dowodów nie ma także w sprawie tajemniczego zaginięcia Jakuba Bujaka. Bliskim pozostają domysły, nieraz sensacyjne, co obrazuje rozmowa Magdaleny i Adama Lenczowskich.

M: On był w sytuacji bez wyjścia.

A: Mógł wrócić, ale od razu by został przez ruskich wywieziony na Sybir.

M: Pewnie by tam robił samoloty.

A: Oni tak robili z uczonymi. Teść znał ulepszenia angielskiego lotnictwa, idealny człowiek. Może by rodzinę mógł na Sybir ściągnąć? Więcej nic. A Anglicy? Oni wiedzieli, że chciał wrócić do Polski. Dlatego są podejrzenia, że nie zginął przypadkowo.

M: Podejrzenia są takie, że go sprzątnął wywiad brytyjski.

A: Ale są też takie, że w te tereny, te skałki, tam dość pustawo jest, i tam mogła podpłynąć radziecka łódź podwodna, i mogli go porwać. Tego już nikt nie wyjaśni. Dopiero jak akta odtajnią.

M: Już przedłużyli raz o 50 lat. Do 2045 roku przedłużono.

A: Może nasze dzieci się załapią? Wnuki na pewno...

BRYTYJCZYCY CZY SOWIECI?

Dr Calder Walton potwierdza, że kiedy kończyła się II wojna światowa, brytyjski i amerykański wywiad obrał na cel naukowców, którzy mogliby

dla nich pracować w okresie zimnej wojny. W czasie swojej pracy badawczej nie trafił jednak na poszlaki świadczące o tym, że Brytyjczycy mieliby likwidować ludzi nauki, zamiast korzystać z ich wiedzy.

– W ich interesie byłoby to, żeby nadal dla nich pracował, dlatego uważam, że prędzej desperacko próbowaliby zatrzymać Jakuba Bujaka w Wielkiej Brytanii, niż starali się upozorować jego śmierć. Bardziej prawdopodobne, zakładając udział wywiadu w jego zaginięciu, jest to, że zrobili to Sowieci – zaznacza.

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej pod szczytem Nanda Devi East / archiwum Magdaleny Bujak-Lenczowskiej

ZAWSZE ISTNIAŁ W NASZYM DOMU

1 listopada Magdalena Bujak-Lenczowska zapali znicz na grobie matki, będącym też symbolicznym grobem jej ojca na Pęksowym Brzyzku

w Zakopanem. Symboliczny grobowiec na warszawskich Powązkach ma też Janusz Klarner.

Adam Karpiński i Stefan Bernadzikiewicz leżą tysiące kilometrów stąd, w skutych lodem zboczach Tirsuli. Skazani na niepamięć, jak dwaj pozostali uczestnicy pierwszej polskiej wyprawy w Himalaje.

– Miałam 10 lat, kiedy przyjechaliśmy z mamą i bratem do Zakopanego. To było już po wojnie. Chociaż wiedzieliśmy, że zaginął, żyliśmy w przeświadczeniu, że ten ukochany tato istnieje, że wróci do nas. Zawsze istniał w naszym domu. Wyobrażałam sobie, że gdy będę wracała ze szkoły, zaczepi mnie wysoki pan i zapyta: gdzie mieszka pani Bujakowa? I to będzie mój tata – pani Magda robi pauzę, a jej oczy wilgną.

Dariusz Jaroń

PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE Magdalena Bujak-Lenczowska „Dziennik himalajski i inne pisma Jakuba Bujaka”, Janusz Klarner „Nanda Devi”

CZYTAJ WIĘCEJ

SEKRETY CLINTONÓW

AUTOR: MICHAŁ MICHALAK

PAŹDZIERNIK 2016

Hillary i Bill Clintonowie / Matt Stone / Boston Herald / Polaris / East News

Rzucanie książkami, podnoszenie głosu, przyjmowanie sponsorów w Sypialni Lincolna, obsesyjna podejrzliwość w stosunku do służby – to jedno z wielu oblicz małżeństwa Clintonów. Jak mówi Interii Kate Andersen Brower, autorka książki „Rezydencja", potrafią również być czarujący, a Hillary Clinton bynajmniej nie jest robotem zaprogramowanym na władzę.

Kate Andersen Brower na potrzeby „Rezydencji” rozmawiała z ponad 50 byłymi pracownikami Białego Domu. Wielu z nich pracowało tam już za prezydentury Johna F. Kennedy’ego.

My jednak, rozmawiając z pisarką, skupiliśmy się na jednej tylko parze prezydenckiej – Billu i Hillary Clintonach. Już niedługo małżeństwo może ponownie wprowadzić się do Białego Domu, choć w trochę innym układzie: tym razem to Hillary ma być prezydentem, a Bill pierwszym dżentelmenem. O ile oczywiście ich planów nie pokrzyżują państwo Trumpowie.

MICHAŁ MICHALAK, INTERIA: Po rozmowach z tyloma kamerdynerami, pokojówkami, lokajami, kucharzami, odźwiernymi i innymi osobami zatrudnionymi w Białym Domu – czy wyłania się z tego konkretny obraz, jakimi ludźmi są Bill i Hillary Clintonowie?

KATE ANDERSEN BROWER: – Myślę, że są dość skomplikowani. Prezydent Bill Clinton był człowiekiem zdezorganizowanym. Jest niezwykle inteligentny, ma magnetyczną osobowość, ale z tego co opowiadali mi pracownicy Białego Domu, nie trzymał się kalendarza i chodził spać bardzo późno. Jego prezydentura była dla Białego Domu okresem wielkiego chaosu.

– Hillary z kolei była bardziej zdyscyplinowana i pracowita. Służba wiedziała, czego może się po niej spodziewać, czego nie można było powiedzieć o prezydencie Clintonie. Powiedziano mi jednak, że z Clintonami jako małżeństwem pracowało się ciężko, ponieważ często sami nie wiedzieli, czego chcieli i zmieniali ciągle zdanie. Później doszły do tego skandale, skandal z Moniką Lewinsky, przez co atmosfera w Białym Domu była bardzo nieprzyjemna.

W pani książce rzeczywiście te lata wydają się pełne napięć. Czy romans z Moniką Lewinsky był głównym źródłem tych napięć?

– Wymieniłabym również ambicję Hillary Clinton, by brać udział w życiu politycznym, w podejmowaniu kluczowych decyzji. Nie wszyscy w Białym Domu ją w tym wspierali. Nie spotkało się to również z ciepłym odbiorem opinii publicznej; wielu Amerykanów uważało, że pierwsza dama nie powinna się „wtrącać". To przecież ona wzięła na siebie zadanie zreformowania służby zdrowia – ostatecznie jej się to nie udało. Clintonowie mieli zupełnie inne podejście do prezydentury, uważali siebie za drużynę, czego Bill Clinton nie ukrywał. Mandat Hillary nie pochodził jednak z wyborów, tylko z bycia żoną Billa Clintona. Z tego powodu Hillary nie była w stanie uzyskać tyle władzy, ile pragnęła.

Jak więc odbierali ją pracownicy Białego Domu?

– Główna ochmistrzyni Christine Limerick powiedziała mi, że kobiety w Białym Domu sympatyzowały z Hillary Clinton, twierdziła, że pokojówki bardzo ją lubiły. Mężczyźni z kolei czuli się przez nią przytłoczeni, uważali ją za kobietę zimną i wyrachowaną. Usłyszałam wiele kontrastujących ze sobą historii. Odźwierny opowiedział mi, że kiedy zachorował, Hillary dopilnowała, by trafił do jak najlepszej sali w szpitalu, a później dzwoniła do niego, by zapytać, jak się czuje. Ta ciepła strona Hillary Clinton jest mniej znana opinii publicznej. To bardzo skomplikowana osoba. W zależności od tego, z kim rozmawiasz, możesz usłyszeć zupełnie co innego.

Zdarzały się sytuacje, gdy Hillary Clinton podnosiła głos na służbę. Były to incydenty czy taki był jej styl?

– Myślę, że z powodu skandali przechodziła przez trudny okres. W takiej sytuacji człowiek staje się bardziej skłonny do tego typu wybuchów gniewu. Doświadczyła publicznego upokorzenia na skalę wcześniej nieznaną w amerykańskiej polityce. I wtedy, owszem, bywała nieprzyjemna dla służby.

Clintonowie w odniesieniu do służby popadali czasem w paranoję. Czy wynika to z faktu, że byli pierwszymi od 12 lat demokratami w Białym Domu?

– Z pewnością. Jeden z pracowników został zwolniony tylko za to, że odebrał telefon od Barbary Bush. To zresztą zupełnie kuriozalna historia. Barbara pisała wspomnienia i w pewnym momencie straciła kilka stron. Spanikowana zadzwoniła więc do eksperta, którego znała w Białym Domu. Gdy dowiedziała się o tym Hillary Clinton, mężczyzna został zwolniony. To miało dewastujący wpływ na jego życie. Ale ma pan rację – Clintonowie obawiali się, że służba będzie plotkować z republikanami na ich temat. Do tego stopnia, że całkowicie zmienili system połączeń telefonicznych w Białym Domu – tak bardzo obawiali się podsłuchiwania.

W „Rezydencji" znajdziemy fragmenty sugerujące, że Hillary Clinton mogła być agresywna w stosunku do swojego męża – miała rzucać w niego książkami, lampą... Czy to małżeństwo ma również swoją toksyczną stronę?

– To z pewnością nie jest małżeństwo z bajki. Bill Clinton wielokrotnie dopuszczał się zdrady, no i naraził żonę na publiczne upokorzenie. Łatwo więc sobie wyobrazić, że nie jest to idealne małżeństwo. Ale z drugiej strony mówimy o pewnym partnerstwie. Każde z nich na tym skorzystało. Ona może za chwilę zostać prezydentem, a on mógł liczyć na jej pomoc przez te wszystkie lata. To silna para dwojga niezwykle ambitnych ludzi. Razem są w stanie osiągnąć więcej niż osobno. Nie powiedziałabym, że

Hillary była skłonna do przemocy. Raczej reagowała tak, jak wiele kobiet by zareagowało na jej miejscu.

Mówi pani o nich jako takiej „power couple". A czy jest między nimi bliskość, ciepło? Czy już tylko polityka?

– Służba opowiadała mi np. jak przyłapywała Obamów na czułościach, na wspólnym tańcu. O Clintonach takich historii nie słyszałam. Przede wszystkim dlatego, że obsesyjnie pracują i obsesyjnie strzegą swojej prywatności. I może dlatego służba nie widziała tej strony ich małżeństwa. Wierzę, że ona istnieje, ale nie znam żadnej historii, która by to ilustrowała.

Chelsea Clinton została sportretowana jako bardzo skromna i miła nastolatka. Ale w pewnym momencie nazywa agenta Secret Service „psem", co jest dość szokujące. Czy jej uwaga rzeczywiście miała znieważyć tego człowieka czy może to jakiś wewnętrzny żart, o którym nie wiem?

– Chelsea nie sądziła, że on ją usłyszy. Rozmawiała przez telefon ze swoją przyjaciółką i wtedy go tak nazwała. Nie zrobiła tego, by go zranić, jednak chwilę później, gdy zareagował na tę zniewagę, oznajmiła: „Ale tak przecież nazywają cię moi rodzice". Nie jest tajemnicą, że Clintonowie nie przepadali za Secret Service. Szczególnie po aferze Troopergate, kiedy wyszły na jaw zdrady Billa. Clintonowie byli więc bardzo podejrzliwi. Nie sądzę, by Chelsea chciała go obrazić, ale na pewno nie lubiła być śledzona. Trzeba postawić się na ich miejscu – nie mogli zrobić nawet kroku bez obecności agentów. Myślę, że to bardzo frustrujące. Dlatego mówi się, że Biały Dom jest jak złota klatka.

Clintonowie często spotykali się w Białym Domu ze swoimi sponsorami. Przyjmowali ich nie tylko w Zachodnim Skrzydle, ale także m.in. w Sypialni

Lincolna, co nie podobało się służbie. Czy tego typu spotkania są czymś normalnym jeśli chodzi o prezydenckie pary czy też aktywność Clintonów była w jakiś sposób nadzwyczajna?

– To była nadzwyczajna sytuacja. Clintonowie właściwie sprzedawali sponsorom możliwość spędzenia nocy w Sypialni Lincolna. Gdy sprawa wyszła na jaw, prasa nie zostawiła na Clintonach suchej nitki. Żaden inny prezydent tego nie robił, a już na pewno nie po aferze z udziałem Clintonów. Można powiedzieć, że kupczyli swoją władzą. Hillary tłumaczyła, że zawsze była zafascynowana historią Białego Domu i chciała tylko pokazać rezydencję przyjaciołom. Ale odebrano to jako brak szacunku dla sprawowanego urzędu. Zrobili z tego atrakcję turystyczną dla swoich sponsorów, a to jednak święte miejsce amerykańskiej historii. Przyjmowali czek i pozwalali przespać się w Sypialni Lincolna. Zostało to odebrane wprost fatalnie.

Istnieje duża szansa, że po 15 latach Clintonowie znów wprowadzą się do Białego Domu. Czy wciąż są tymi samymi ludźmi – z wszystkimi wadami i zaletami – co wtedy?

– Kiedy Bill Clinton poznał Hillary Rodham, to ona była bardziej rozpoznawalna od niego. To ona znalazła się w magazynie „Time” po swojej przemowie w Wellesley College, która odbiła się szerokim echem. Związanie się z mającą status celebrytki Hillary było dla Billa swego rodzaju awansem, ważnym szczeblem kariery. Później dynamika władzy, wpływów zmieniła się na jego korzyść, a teraz wszystko wróciło do Hillary. W tym sensie znów stali się ludźmi, którymi byli, gdy brali ślub w 1975 roku.

Rozmawiał Michał Michalak

CZYTAJ WIĘCEJ

PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ

MILION DOBRYCH UCZYNKÓW

AUTOR: MONIKA SZUBRYCHT

PAŹDZIERNIK 2016

Siostra Małgorzata Chmielewska © Danuta Węgiel

Dziecko ma się do końca życia. Jeśli przychodzi do nas bezdomny człowiek, to nawet już po godzinie rozmowy można

się zorientować, czy miał dobrą matkę, bo z ojcami bywa różnie. To widać i słychać. Człowiek może się bardzo pogubić, ale jeśli miał pewną formację w dzieciństwie, pewne zasady do których może powrócić – jest szansa, że powróci – mówi siostra Małgorzata Chmielewska.

MONIKA SZUBRYCHT, INTERIA: Dlaczego widok siostry zakonnej, do której dzieci mówią „mamo" bulwersuje, a widok kobiety, która krzyczy na swoje dziecko lub daje mu klapsa jest akceptowany?

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: – Myślę, że tych dwóch rzeczy nie można porównywać. W przekonaniu ludzi, zresztą całkiem słusznym, osoba w habicie ślubowała życie w celibacie, a więc nie powinna mieć dzieci. To jest logiczne. Ludzie nie znając sytuacji mogą być zdziwieni, mają do tego prawo. Robiliśmy sobie na warszawskich ulicach takie happeningi, kiedy szłam z tłumem moich przybranych dzieci i nie tylko – umawiały się i krzyczały wszystkie naraz: „Mamo!". Ludzie się obracali. Ale to były żarty.

– Dzieci, które wychowałam, nie były przeze mnie adoptowane. Z różnych powodów. Także dlatego, że nie chciałam ich stawiać w sytuacji posiadania tego samego nazwiska, bo trzeba wziąć też pod uwagę ich sytuację osobistą – w szkole, w środowisku dziecięcym i młodzieżowym, gdzie fakt sieroctwa i tego, że jest się przybranym dzieckiem siostry zakonnej nie był dla ich otoczenia rzeczą normalną. Już samo sieroctwo i to, że byli inni sprawiało, że byli przedmiotem dokuczań, jeśli nie fizycznej agresji. A fizyczna agresja była wtedy, kiedy w grę wchodził rasizm.

– Rozumiem, że ludzie się dziwią, bo to nie jest całkiem normalne, choć w historii Kościoła bywało, że założycielkami zgromadzeń – w Polsce co najmniej dwóch: Zmartwychwstanek i Sióstr Niepokalanek – były kobiety, które miały dzieci, bo były wdowami. Zmartwychwstanki założyły matka z córką. Ksiądz z naszej wspólnoty w Peru jest przybranym ojcem mniej więcej 40 chłopców, bo tyle mieści jego sierociniec. Formalnie, żeby nie był to sierociniec – ze względów prawnych, ale i praktycznych – jest rodziną zastępczą dla tych 40 chłopaków z ulicy. Wszyscy wiedzą, że to nie są jego dzieci.

– Natomiast jeśli chodzi o klapsa... Ludzie się nie oburzają, bo dla nas klaps jest normalną metodą wychowawczą, ale nie jest tak, że ludzie się nie reagują, gdy widzą, że ktoś publicznie bije dziecko. Wielokrotnie byłam świadkiem takich scen. Nawet niedawno w sklepie, gdzie mama szarpała dziecko, a ludzie patrzyli na to z dezaprobatą. Gdy zobaczyła nasze spojrzenia, uspokoiła się, nie trzeba było nawet reagować.

Czyli symboliczny klaps może być usprawiedliwiony?

– Jestem absolutną przeciwniczką bicia dzieci, ale czasami patrzymy na sytuację jednostronnie. Np. mogę zakładać, wracając do sytuacji ze sklepu, że matka była po całonocnym, pielęgniarskim dyżurze. Zakładam, że była kompletnie wykończona, a mała chciała dziesiątą tabliczkę czekolady i dostała histerii, żeby wymóc na mamie ten zakup. To też zrozummy, że czasami człowiek już nie ma siły. Reaguje ostro, bo już nie wytrzymuje.

– Jak mówię – jestem absolutną przeciwniczką bicia dzieci, natomiast klaps pokazuje czasami naszą bezradność. My dorośli nie jesteśmy aniołami. Mamy swoje nerwy, swoją odporność, a nasze dzieci też nie zawsze są aniołami.

– Bywa, że dziecko próbuje, na co może sobie pozwolić. Wychowanie bezstresowe, czyli bez pewnych norm i zasad, które oczywiście w miarę dorastania dziecka trzeba zmieniać, jest szkodliwe dla dziecka. Oczywiście oprócz zasad istnieje jeszcze miłość i miłosierdzie, w każdym wymiarze naszego życia.

– Dzieci od których nic nie wymagano – to mogą być dzieci z rodzin patologicznych, od których nikt niczego nie wymagał dlatego, że nikomu na tych dzieciach nie zależało – są kompletnie pogubione w życiu. Jeżeli wymagam czegoś od dziecka, od mieszkańca naszego domu, czy od kogokolwiek, to znaczy, że mi na nim zależy.

– Wychowankowie domów dziecka, którzy do nas trafiają, dopiero tutaj, w wieku dwudziestu, dwudziestu paru lat, zaczynają przechodzić okres dojrzewania. Dlaczego? Dlatego, że jak w domu dziecka coś wyprawiał, to go kierowali do psychiatryka, albo też dawali psychotropy i nikomu na nim nie zależało. Jemu się nie opłacało buntować, ponieważ dobrze wiedział, że ten bunt w nikogo nie uderzy.

– Bunt w przypadku dziecka, które czuje się kochane, jest jakby taką próbą, na ile mogę sobie pozwolić. Na ile jestem samodzielny, kim jestem? To jest okres, w którym nowy człowiek zaczyna być niezależny od rodziców, szuka swojego miejsca i swojej tożsamości.

– Jestem przeciwniczką klapsów, ale czasami nie dziwię się, że nerwy mogą ponieść. Ale można nie dać klapsa, a skrzywdzić dziecko. Krzywda może być różnoraka. To może być klaps, ale może też być kara, pogarda, poniżenie czy odrzucenie, które jest dużo bardziej bolesne.

Albo słowa, które ranią dziecko na całe życie.

– Albo słowa. Znam rodzinę, w której jedna z dziewczynek nigdy nie była maltretowana fizycznie, ale była absolutnie niszczona słowami.

Powiedziałabym, że czasami to wolałabym, żeby mama dała klapsa, niż niszczyła słowami. „Głupia, brzydka, niezaradna” itd. – to zniszczy na całe życie.

Siostra Małgorzata z przybranym synem Arturem © Danuta Węgiel

Pięcioro dzieci tak różnych – nie da się porównać Małgosi i Artura. Jak siostra radziła sobie w trudnych momentach wychowawczych? Pomagały książki? Przyjaciele? Sesje z psychologami? Bo jak Małgosia uciekła z domu, to...

– To wtedy rzeczywiście zrobiłam naradę z moimi przyjaciółmi, z których jeden był psychologiem, drugi psychiatrą. Byliśmy bardzo młodzi. Oczywiście pytałam, co oni na ten temat sądzą. Nigdy nie studiowałam żadnych podręczników pedagogiki, nie odbywałam sesji z psychologami i myślę, że większość rodziców tego nie robi.

– Wychowanie dzieci to jest nasza wielka nauka, nauka życia. Czasami się popełnia błędy, czasami się robi dobrze. Trzeba bez przerwy być czujnym i mieć na uwadze dalekosiężne dobro dziecka. Jakoś wyszło, ale

to nie znaczy, że było łatwo. Czasami było bardzo trudno, ale wielu rodzicom nie jest łatwo. To, że moje dzieci nie były moimi rodzonymi dziećmi, to nie znaczy, że inni rodzice, którzy mają swoje biologiczne dzieci, nie mają problemów. Mają. I te problemy zawsze będą.

– Na pewno potrzebna jest ogromna cierpliwość, wyrozumiałość i słuchanie. Jeżeli dziecko nie mówi, to trzeba wsłuchiwać się w jego niemówienie. Nawet jeśli robi coś złego, musi mieć poczucie, że jest nadal kochane, co nie oznacza, że akceptujemy jego wybryki. Zawsze mówię, że nie można przeciąć smyczy. Nie może nam zniknąć z radarów. Czasami trzeba powiedzieć „stop" dla jego dobra.

– Dziecko ma się do końca życia. Jeśli przychodzi do nas bezdomny człowiek, to nawet już po godzinie rozmowy można się zorientować, czy miał dobrą matkę, bo z ojcami bywa różnie. To widać i słychać. Człowiek może się bardzo pogubić, ale jeśli miał pewną formację w dzieciństwie, pewne zasady do których może powrócić – jest szansa, że powróci. Natomiast jeśli ich nie miał w dzieciństwie, to nie ma do czego wracać.

– Nie trzeba rezygnować z zasad, co nie znaczy, że trzeba dziecku zrobić obóz wojskowy. Chodzi o poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. I wiedzę, że pewnych norm się nie przekracza. Wszyscy je przekraczamy, ale wiemy, że je przekraczamy. Normalny człowiek – mający sumienie i trochę zdrowego rozsądku – powraca.

Pytam o to wiele osób, ale każda z nich ma inną odpowiedź: Co zrobić, żeby być dobrą matką? Co znaczy mieć dobrą matkę?

– Ja też nie odpowiem na to pytanie wprost. Myślę, że dobra matka to ta, która zasiewa w sercu dziecka przekonanie, że dobro i miłość są najważniejsze. To, co matka powinna wlać w serce dziecka, to poczucie, że jest kochane. I że jego zadaniem życiowym jest kochać. Taka, która

pozwala na wiele, ale jednocześnie na wiele nie pozwala. Matka kocha, ale nie akceptuje. To daje głęboki pokój, poczucie bezpieczeństwa i pewne zasady życiowe – zaradność, uczciwość, troskę o słabszych.

Żeby na starość dostała osławioną szklankę wody?

– Żeby ta mamusia na starość, zamiast dostać szklankę wody, nie wylądowała na wycieraczce. Poza tym człowiek, który ma wpojone te zasady, jest po prostu szczęśliwszy.

– Czego pragniemy? My ludzie wierzący tak naprawdę powinniśmy pragnąć zbawienia naszych dzieci. Co to jest zbawienie? Tu na ziemi – dobre życie. Życie przyzwoite, życie w wolności. W wolności od nałogów, od zbytniego przywiązywania się do rzeczy materialnych. To jest też szacunek dla siebie i dla drugiego człowieka. Jeśli matka ugruntuje ten szacunek w dziecku – dla niego samego, rodziców i dla innych – to już jest podstawa.

– Dzieci z domów dziecka i dzieci z rodzin, które były w jakimś sensie dysfunkcyjne, bardzo często nie mają poczucia własnej wartości. I w tym cały problem, one są we własnych oczach śmieciami. Poczucie własnej wartości, bez względu na to, czy jestem ładny czy brzydki, krzywy czy prosty, rudy czy blondyn, oznacza, że jestem najważniejszy w oczach mojej mamy i dla ludzi wierzących – w oczach Pana Boga. To daje wolność, bo zwalnia nas od walki o miejsce na tym świecie.

Jak to możliwe, że błądzi ktoś, kto miał dobrą matkę?

– Dlatego, że człowiek jest wolny, po prostu. Jest wolny i często źle wybiera. To, że ktoś miał dobrą mamę, nie oznacza, że nie popełnia w życiu błędów.

Ale ma lepszy start...

– Zdecydowanie, ale to jeszcze nie oznacza, że nie popełnia błędów. Ma natomiast do czego wrócić, ma pewien wewnętrzny kościec.

Kręgosłup moralny.

– Także i to. I wie, że błądząc – pijąc, kradnąc, robi źle i niejako traci na własnej wartości. Niedawno rozmawiałam z pewnym człowiekiem. Mówię mu: „Przecież masz taką wspaniałą matkę, jakim cudem mogłeś stać się tak potworną świnią?”. Myślę, że ten człowiek – który ma pełną świadomość, że jego matka jest bardzo szlachetnym, dobrym człowiekiem – wie, że ma się do czego odnieść, że trzeba wrócić do tego, co matka mu dała i co w głębi serca kocha. Przecież kocha swoją matkę, bo trudno nie kochać dobrego i szlachetnego człowieka.

Wrócił ten człowiek? Czy ciągle wraca?

– Wraca. I takich historii jest mnóstwo. Moje najukochańsze dzieci też różne rzeczy wyprawiały. No i co z tego?

Miały dobrą mamę.

– Nawet mam jeden żywopłot pięknie posadzony, po tym, jak jeden z moich synów w wieku lat siedemnastu przyszedł do domu pijany w trupa, doczołgał się. Za karę miał sadzić żywopłot. Do dzisiaj pięknie rośnie. Potem, kiedy był dorosły, pytałam go: „Synku, może byś się tak spił, bo mam jeszcze parę żywopłotów do posadzenia?”.

„Życie z Arturem jest jednocześnie i piekłem, i rajem. Życie z dzieckiem, które jest chore, czy ma moment kompletnego odlotu jest po prostu bolesne. W jakimś sensie można się z tym oswoić, ale nie można się z tym pogodzić. Ten typ tak ma”. Siostra mówi tu o sobie?

– Mam doświadczenie życia z Arturem, więc to jest doświadczenie życia z człowiekiem, który jest po prostu inny. Który jest

niepełnosprawnym intelektualnie autystykiem, do tego chorym na padaczkę.

Skoro wierzę, to przyjmuję wszystko. Tu jest oswojenie się z rzeczywistością, ale nie przyjęcie wszystkiego, co Bóg nam dał.

– I tak, i nie. W jakimś sensie się oswoiłam, ale nie ma u mnie zgody na cierpienie. I u Pana Jezusa też nie było, bo inaczej nie zawisłby na krzyżu. To jest taki paradoks. Bóg nie godzi się na ludzkie cierpienie i Bóg nie jest jego sprawcą. Choroba jest skutkiem grzechu, ale w znaczeniu całego stworzenia – o tym mówi św. Paweł. Natomiast nigdy nie można mówić, że spotkała cię kara, twoje dziecko jest niepełnosprawne, bo byłaś niegrzeczną dziewczynką. To jest totalny absurd.

– Zło i cierpienie jest z nami niestety od czasu grzechu pierworodnego, popsuło całą harmonię stworzenia. Nie godzę się więc na cierpienie. Bo jeśli się zgodzę, to przestanę robić wszystko, żeby go nie było. Natomiast świadomość, że jest ono nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji, że możemy się go spodziewać, ale też zmniejszać na tyle, na ile się da – myślę, że to jest dojrzała postawa. Ten typ tak ma i tyle. Można zrobić wszystko, żeby zmniejszyć cierpienie Artura. Nie przykręcimy mu drugiej głowy, ale w tym, jaki jest może być szczęśliwy. I to jest cel naszego życia. On jest inaczej szczęśliwy, niż ja, bo jemu szczęście przynoszą dwie zapalniczki z kotkami.

– W społeczeństwie konsumpcyjnym staramy się wypchnąć cierpienie poza nasze pole widzenia. Wydaje nam się, że będziemy wiecznie młodzi, piękni, szczęśliwi, że będziemy mieli pieniądze, nigdy nie zachorujemy. To jest absolutną nieprawdą. Robimy wszystko, żeby przykryć istnienie tego cierpienia, wypychamy tych, którzy cierpią, bo nie lubimy na nich patrzeć.

– Vide najnowszy pomysł – zastrzegam, że nie wiem, czy prawdziwy, bo znaleziony w internecie – żeby sierocińców nie lokować koło domu starców, jest po prostu pomysłem prześmiesznym. Ja bym zrobiła zupełnie odwrotnie, połączyłabym te dwie rzeczy, bo dzieci będą miały wtedy babcię jakąś ukochaną, ciocię czy wujka. I co jest fantastyczne, ci starzy ludzie mieliby przybrane wnuczki – chęć do życia, młodość.

W Stanach istnieje takie przedszkole, które przez kilka godzin funkcjonuje wraz z domem starców.

– Jednym i drugim to robi znakomicie. W naszych domach nasze dzieci chowały się z mieszkańcami bezdomnymi, starszymi. Ukochana ciocia Jola, do dziś jest wspominana, świetnie gotowała, ale była uzależniona od alkoholu. Niestety po wielu latach dostała mieszkanie socjalne i zapiła się w nim na śmierć. Ale ciocia Jola była ukochaną ciocią Jolą. To naszym dzieciom nie zrobiło krzywdy.

– Oczywiście, nasze dzieci nie mieszkały w domach, w których byli ciężko chorzy i umierający, nawet technicznie nie byłoby to możliwe ze względu bezpieczeństwa sanitarnego. Ale to nie oznacza, że w naszych domach nie umierali ludzie. Nasze dzieci chodziły na ich pogrzeby, bo to byli mieszkańcy, z którymi w ten czy inny sposób dzieci były związane. Jasne, bezdomni mieszkańcy mogą być różni i mogą stanowić dla dzieci zagrożenie. Stosowaliśmy jednak odpowiednie środki bezpieczeństwa i żadnemu dziecku nigdy nic się nie stało.

Wracając do zapalniczek i do Artura. Tu, we Wspólnocie, Artur jest bezpieczny.

– Tego nigdy nie wiemy do końca. Równie dobrze może wsadzić palce w kontakt. Staramy się zapewnić mu bezpieczeństwo. W jakim sensie bezpieczny?

Nikt nie dokucza mu z powodu jego inności.

– Tak, to prawda.

Przypomniałam sobie historię jednego dziecka z autyzmem, któremu mama zawsze robiła na drugie śniadanie bułkę, mówiąc, żeby ją zjadł. Dzieci w szkole zabierały mu tę bułkę i pluły do niej – a chłopiec zjadał, bo przecież mama kazała.

– Okrucieństwo ludzkie, w tym okrucieństwo dzieci, nie zna granic. Mieliśmy przypadki w szkołach dokuczania dzieciom z naszych domów, także moim dzieciom, wcale nie niepełnosprawnym, tylko normalnym, z różnych powodów. Takich jak to, że mieszkają w domu dla matek z dziećmi, albo mama jest z Ukrainy, więc mówią z akcentem – to dzieje się w tej chwili. Kierowniczka naszego domu dla matek z dziećmi jest Polką z Ukrainy, w Polsce kończyła studia, tata jest z Ukrainy. Dzieci przez to przeszły dużo przykrości w szkole.

– Problem jest taki, że szkoła kompletnie nie wychowuje. Nie wychowuje do solidarności, empatii, współczucia, towarzyszenia osobom słabszym. Ale to nie jest tylko wina szkoły, to także wina rodziców. Rodzice szykują swoje dzieci do walki szczurów, do tego, żeby ich dziecko było najlepsze. Cały czas powtarzam naszym nauczycielkom z tutejszego przedszkola – tłumaczcie rodzicom, że nie chodzi o to, żeby ich dziecko było najlepsze. Nieprawda, że tragedią jest, jeśli potknie się przy recytacji wierszyka. Dziecko ma być w naszym przedszkolu szczęśliwe. Po prostu. Każde jest inne, więc nie ma, że moje jest lepsze, a twoje gorsze, moje mądrzejsze, a twoje głupsze. Niestety, traktujemy dziecko jako towar. Który musi być luksusowy.

Im więcej w niego włożymy, tym kiedyś więcej od niego dostaniemy.

– Oczywiście trzeba wkładać. My sami organizujemy zajęcia dla dzieci. Są zespoły muzyczne, indywidualna nauka gry na instrumentach, matematyka, plastyka. Niestety, wychowujemy dzieci nie do współpracy, tylko do konkurencji – w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, gdzie dzieci już od małego pracują w ekipie. Jeśli jest jakiś konkurs to grupa odnosi sukces. U nas nie. U nas musi być indywidualnie i to jeszcze, żeby temu słabszemu, który przegrał, dokopać. Szkoła ma tu ogromne pole do popisu, ale jest obojętna na tego typu zachowania.

Dlaczego tak się dzieje?

– Dlatego, że sami nauczyciele często też tak myślą. Oczywiście, nie wszyscy – ale tak jest. Jeden z naszych chłopców – fantastyczny, bardzo inteligentny – przeszedł przez piekło w szkole, ponieważ ma zespół Aspergera. I to nie ze strony kolegów, bo akurat z nimi miał znakomity kontakt, ale ze strony nauczycieli. To wręcz ocierało się o znęcanie. Dopiero po dzikich awanturach udało się załatwić nauczanie indywidualne.

– Są nauczyciele naprawdę wspaniali, ale to dziś rzadkość i oni mają przechlapane w środowisku kolegów i koleżanek. Mogłabym opowiadać różne historie, które się działy tutaj albo w podwarszawskiej szkole, gdzie na maltretowanie, na znęcanie się nad kolegami, nie było żadnej reakcji. Dopiero, gdy wkroczyłam do akcji przy pani dyrektor, pani pedagog, przy rodzicach tych dzieci, które maltretowały i przeprowadziłam rozmowę, to wszyscy patrzyli na mnie i mówili: „Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że tak można z dziećmi rozmawiać”. Zapytałam: „Jak wy rozmawiacie?”. Można i trzeba, tylko się nikomu nie chciało. Na tym polega cały problem. Zamieść pod dywan.

Nauczyciele chcą przekazać wiedzę z podręcznika. I oni, i rodzice boją się mówić o rzeczach ważnych, o rzeczach trudnych, o śmierci...

– ...o seksie. Boją się mówić o wszystkim. Kiedy moja córka prawie została zgwałcona w gimnazjum, sprawę chciano zamieść pod dywan. Rodzice chłopców, którzy to zrobili, uważali, że się nic nie stało, to taka zabawa. Sprawa tego mobbingu ciągnęła się długo, a dziewczynki bały się przyznać. Prawie rozwaliłam biurko w gabinecie dyrektora i powiedziałam, że albo prokurator, albo rozmowa ze mną i z tymi chłopcami w obecności pedagoga szkolnego i rodziców. Reakcja była dokładnie taka sama, jak szereg lat temu w podwarszawskiej szkole: „Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że tak można z dziećmi rozmawiać". No to jak wy rozmawiacie? W ogóle nie rozmawiacie. I dotarło do nich, co zrobili. Bo nie chodziło mi o karanie kogokolwiek, ale o to, żeby uświadomili sobie, co zrobili.

Udało się?

– Tak, oczywiście. Tylko trzeba było poświęcić trochę czasu. I jeszcze zażądałam, żeby przyszedł ktoś z policji i uświadomił dzieciom, że to są czyny karalne.

– Niestety szkoła później zemściła się na mojej córce, bo narobiła im kłopotów. Myślę jednak, że gdyby nie było tej interwencji, z tych chłopców wyrośliby łajdacy. Uznaliby, że to jest dobre, skoro nikt nie reaguje. Powiedziałam wtedy dyrektorowi: „Pańska córka czy wnuczka za parę lat będzie się bała przejść przez wieś, jeśli dziś na to nie zareagujemy". I nie chodzi mi o to, żeby był prokurator, kurator i w ogóle. To nic nie da. Chodzi o to, żeby do nich dotarło. Bo to nie są źli chłopcy – to są głupi chłopcy, których nikt nie wychował. Dzisiaj to zresztą już dorośli mężczyźni. Jeden z nich u mnie pracuje.

– To była totalna głupota i w dodatku zbiorowa, bo żaden z nich indywidualnie by tego nie zrobił. Ale w tym wieku w grupie robi się idiotyzmy, jeden drugiego podpuszcza. Jeden chce drugiemu zaimponować. I wiedząc to, trzeba odpowiednio zareagować, nie można pozostać obojętnym.

Powtarza siostra, za Ewangelią, że zawsze mamy wybór. Czy na pewno? Dużo mówi się o roli kobiet w Kościele, że jest marginalizowana, ale być może, gdyby siostra była księdzem, nie mogłaby prowadzić rodziny zastępczej – mężczyzna miałby trudniej, byłby podejrzewany o najgorsze.

– Oczywiście. Ale jak wspomniałam, mamy księdza w Peru, który jest rodziną zastępczą dla czterdzieściorga. Trzeba wziąć pod uwagę tzw. opinię publiczną, ale nie do końca. Pamiętam, jak jeden ksiądz opowiadał mi historię, jak pod kościołem św. Anny zemdlała pewna kobieta. To była młoda dziewczyna, a on – młody ksiądz – bał się do niej podejść i ją ratować, żeby go ktoś nie posądził. I mówię mu: „Ty najzwyczajniej w świecie jesteś idiotą i bydlakiem”.

– Są różne sytuacje. Ja też nie jestem w stanie wziąć wszystkich dzieci, które potrzebują wsparcia. Są sytuacje, w których absolutnie nie możemy przyjąć dziecka, ale możemy zrobić wszystko, żeby znaleźć rodzinę, która je przyjmie. Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim, w każdej chwili naszego życia. Wyznacznik, jakim jest opinia publiczna w przypadku, kiedy chcemy być wierni Ewangelii, nie musi być decydujący.

Nawet nie powinien.

– Czasami może powinien. Jeżeli jestem w habicie, to muszę wiedzieć, że jest to pewien znak, więc nie mogę pójść do knajpy i się spić. Powinniśmy się liczyć z tym, że reprezentujemy Chrystusa. Ale też wiedzieć, że

o samym Chrystusie mówiono, że jest z pijakami, prostytutkami itd. Nie bać się tego, jeśli rzeczywiście czynimy dobrze. O mnie też mówiono różne rzeczy i nadal się mówi...

– Z tego rzadko zdajemy sobie sprawę, ale tak naprawdę jesteśmy delegatami, czyli naziemnym personelem Królestwa Niebieskiego i mamy pewne zobowiązania co do naszego zachowania. Jak trzeba, to pójdziemy do burdelu i wyciągniemy stamtąd dziewczynę, oczywiście nie korzystając z usług. Nie boimy się tam wejść. Jeżeli natomiast czujemy się zbyt mało odporni na wdzięki przebywających tam i pracujących pań, to lepiej nie wchodzić.

– Nie tak dawno była u mnie dziewczyna, którą z przerażeniem przysłała do nas siostra Anna Bałchan, zajmująca się na Śląsku pomocą dziewczynom zagrożonym prostytucją. Owa dama, pełna głębokich natchnień, skądinąd absolutnie prawidłowych, pomaga bezdomnym, odwiedzając ich w melinach. Sama lub z koleżanką – równie młodą i piękną – co jest totalnym szaleństwem. Takich rzeczy się nie robi. Albo idzie się tam mając jeszcze dwóch byków po bokach, albo pomaga się w inny sposób. Nie chodzi o to, że będę usprawiedliwiać później gwałt – w żadnym wypadku – ale to jest głupota. Nie zawsze mamy narzędzia, żeby pomóc. Komuś, kto ma niepełnosprawne dziecko i dwoje jeszcze innych swoich dzieci, trudno będzie wziąć jeszcze jedno niepełnosprawne dziecko. To po prostu fizycznie niemożliwe – ale może wesprzeć to dziecko w inny sposób.

Przypomniała mi się jedna z podstawowych zasad udzielania pierwszej pomocy – sprawdź, czy jesteś bezpieczny.

– Dokładnie tak. W naszych domach są żelazne zasady bezpieczeństwa, bo my nie wiemy, kto do nas przychodzi. Są ludzie chorzy psychicznie,

zaburzeni, psychopaci itd. Zdarzyło się u nas, i zagranicą też, że nieprzestrzeganie tych zasad omal nie skończyło się śmiercią. Powiedziane jest, że dziewczyna, nawet prowadząca dom, absolutnie nie może wejść sama do pokoju mężczyzn. Musi mieć zawsze jakiegoś zaufanego, wieloletniego mieszkańca. Tymczasem dwie młode dziewczyny weszły do takiego pokoju, w którym był świeżo przyjęty mieszkaniec, jak się okazało kompletny psychopata, który się na nie rzucił i zaczął dusić. Na szczęście na terenie był chłop jak dąb, który usłyszał krzyk, wpadł i wykopał tamtego za bramę. Ale to był kompletny przypadek, że tam się znalazł, bo nie mieszkał w domu, tylko przejeżdżał.

To może nie przypadek.

– Nie można liczyć na to, że jak wyskoczymy z okna, to będzie przejeżdżała śmieciarka, jak to się zdarzyło pewnemu panu, który długo planował samobójstwo. Piękna, prawdziwa historia. Wyskoczył bodajże z VII piętra, z okna klatki schodowej w warszawskim wieżowcu. Miał wszystko tak zaplanowane, że nic nie powinno mu stanąć na przeszkodzie. Skończyło się tym, że miał tylko połamane nogi. Bo przejeżdżała tamtędy śmieciarka. Śmieciarz dostał zawału, a niedoszły samobójca miał tylko połamane nogi. Uświadomił sobie, jakie to szczęście, że dostał drugie życie. Depresja jest chorobą, którą trzeba leczyć i był leczony.

Jak pomagać mądrze? Nie tylko tu, we Wspólnocie, ale w ogóle.

– Nie wszyscy są w stanie pomagać ludziom bezdomnym. Ktoś, kto ma rodzinę, nie powinien wpuszczać do domu nieznanego człowieka. Ale jeśli spotka człowieka bezdomnego, może mu doradzić miejsce w jakimś schronisku, może mu dać jeść itd. Każdy z nas ma wokół siebie ludzi, którzy potrzebują naszej obecności i naszego wsparcia. Jeśli mamy

rodzinę, dlaczego nie zaprzyjaźnić się ze starą sąsiadką, albo samotną staruszką z pobliskiego domu pomocy? Czemu nie zabrać jej na święta? Dzieci mogą ją odwiedzać, nastolatek poczyta jej książkę, albo wyprowadzi na spacer. Możemy zaprzyjaźnić się z samotną matką, którą wesprzemy, albo której dziecko będzie odrabiać lekcje razem z naszym dzieckiem.

– Zresztą jest mnóstwo młodych ludzi, którzy to robią. Przychodzą do nas liczne grupy, ale też pojedynczy ludzie w różnym wieku. Czasem nawet całe rodziny. Przychodzą np. z małymi dziećmi i robią w Boże Narodzenie koncert kolęd. A tam są nie tylko starzy i chorzy, po twarzach tych ludzi widać ich przejścia. To nie są wesołe staruszki, ale ludzie bez rąk, bez nóg, chorzy psychicznie. I te dzieciaki razem z rodzicami dla nich śpiewają, młodzież organizuje tam bal sylwestrowy. Są i tacy, z pierwszych stron gazet, którzy na Wigilię lepią z naszymi ludźmi pierogi.

Siostra Małgorzata z mopsem Aloszą © Danuta Węgiel

Nie zawsze chodzi o pieniądze.

– Oczywiście. Powiedziałabym – rzadko pieniądze. Choć jak mówiła Margaret Thatcher, żeby być dobrym Samarytaninem trzeba mieć pieniądze, bo trzeba za coś wyremontować ludziom dom, trzeba za coś kupić im jedzenie. Najważniejsza jest jednak obecność. Trzeba chcieć. Jeśli siedzisz i płaczesz z samotności, bo jesteś singlem, nie możesz znaleźć drugiej połówki, wracasz z pracy w korporacji i wyjesz z samotności, to rusz tyłek. Jest tyle organizacji, tyle możliwości, gdzie można się zaangażować.

– Jak słyszę, że jakaś sprawna fizycznie emerytka umiera z nudów, to mi się trochę nóż w kieszeni otwiera. Kobito! Naprawdę setki ludzi wokół ciebie czekają na twój czas, twoją cierpliwość, twoją miłość, na ciasto, które upieczesz – to jest szalenie ważne. Naprawdę, są miliony dobrych uczynków, na które czekają miliony ludzi.

Rozmawiała Monika Szubrycht

CZYTAJ WIĘCEJ

„Polaków i Ukraińców dziś nic nie dzieli. Poza Wołyniem”

AUTOR: ARTUR WRÓBLEWSKI

LISTOPAD 2016

Możemy śmiało powiedzieć, że Polaków i Ukraińców dziś nic nie dzieli, oprócz jednego fragmentu historii, jakim jest sprawa zbrodni wołyńskiej – ocenia w rozmowie z portalem Interia profesor Grzegorz Motyka, znawca tematyki ukraińskiej i badacz ludobójstwa na Polakach na Kresach. Dlaczego ten temat wciąż tak mocno dzieli dwa narody? Na te pytania próbuje odpowiedzieć rozmówca Artura Wróblewskiego.

ARTUR WRÓBLEWSKI, INTERIA: W książce Witolda Szabłowskiego „Sprawiedliwi zdrajcy” jest fragment, który brzmi mniej więcej tak: o jednej spalonej stodole w północno-wschodniej Polsce wie cały świat, a o setkach takich stodół spalonych na Wołyniu prawie nikt. Muszę tutaj zapytać o politykę historyczną w sprawie Wołynia. Czy jest ona skuteczna?

PROF. GRZEGORZ MOTYKA: – Polska polityka historyczna na odcinku ukraińskim osiągnęła w ciągu ostatnich ponad dwudziestu lat wiele sukcesów. Gdy w 1991 roku powstawała niepodległa Ukraina, to podczas dyskusji polsko-ukraińskich można było usłyszeć rytualne zdanie:

Polaków i Ukraińców dzisiaj nic nie dzieli, poza historią. Po tym ćwierćwieczu możemy śmiało powiedzieć, że Polaków i Ukraińców dziś nic nie dzieli, oprócz jednego fragmentu historii, jakim jest sprawa zbrodni wołyńsko-galicyjskiej. To pokazuje, że sukcesów jest więcej niż zaniechań, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę to, że w kwestii wołyńskiej nie zrobiono tyle, ile było można zrobić.

– Moim zdaniem do 2003 roku polska polityka w tej sprawie była, jeśli nie optymalna, to na pewno dość rozsądna, biorąc pod uwagę możliwości polskiego i ukraińskiego państwa oraz trudności, z jakimi obydwa państwa się borykały. Przypomnę, że w 2003 roku administracja prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego doprowadziła do głośnej dyskusji na temat zbrodni wołyńskiej, toczonej przede wszystkim na Ukrainie, a później do wspólnych obchodów na grobach pomordowanych Polaków w Porycku/Pawliwce. W uroczystościach, poza polskim prezydentem, brał udział prezydent Leonid Kuczma. Podczas przemówienia Aleksander Kwaśniewski twardo powiedział, że to, co się stało na Wołyniu w roku 1943, było ludobójstwem. Tym samym zdjął nieformalne tabu, nałożone na tematykę Wołynia.

– Problem polega na tym, że w następnych latach polscy politycy na tym odcinku nie przejawiali większej aktywności, choć bynajmniej nie zmieniono celów, jakie chciano osiągnąć. Oczekiwano, że strona ukraińska potępi zbrodnie na Polakach i uzna je wręcz za ludobójstwo. Zakładano również, że Ukraina, jeśli nawet nie potępi Ukraińskiej Powstańczej Armii, to przynajmniej nigdy nie uzna tej formacji na poziomie państwowym za mającą charakter narodowo-wyzwoleńczy. Niestety, wyobrażano sobie, że to się stanie niejako samo z siebie. Według tej wizji należało jedynie cierpliwie czekać, aż sami Ukraińcy dojrzeją do tego, żeby potępić antypolskie czystki dokonane przez UPA. Moim

zdaniem był to oczywisty błąd. Nie zauważono w ogóle, że po drugiej stronie właśnie w 2003 roku przyjęto w polityce historycznej nieformalny aksjomat symetrii win obu stron konfliktu. Powoli, lecz konsekwentnie wzrastała też akceptacja dla tradycji UPA, kojarzonej głównie z powojenną walką przeciwko komunizmowi.

– Tak rozbieżne stanowiska obu stron, koniec końców, musiały doprowadzić do zwarcia, czego efektem była głośna dyskusja, z jaką mieliśmy do czynienia latem tego roku. No chyba, żeby polskie elity doszły do wniosku, że zasada symetrii zbrodni jest słuszna, czyli de facto przyjęły za własne stanowisko ukraińskie.

Wołyń przez długo czas był tematem tabu, w latach 90. zeszłego stulecia wiedza o ludobójstwie była niewielka, w następnej dekadzie było już z tym dużo lepiej, ale dopiero teraz możemy mówić o tym, że rzeź stała się sprawą znaną większości Polaków. Czy ten fakt mógł mieć jakikolwiek wpływ na obecne relacje polsko-ukraińskie i stosunek do ludobójstwa? Czy nasza władza nie powinna od początku mieć mocnego stanowiska w tej sprawie? Bo to można odebrać tak: ignorowaliśmy temat przez długi czas, a teraz trudno będzie uzyskać satysfakcjonujące nas zakończenie. Zwłaszcza, że ukraińscy historycy przekonują, że wydarzenia z 1943 roku to wina Polaków, którzy dręczyli naród ukraiński przez wieki, więc Wołyń jest wyrównaniem rachunków i „sprawiedliwym moralnym remisem". Więcej, takie stanowisko traktowane jest wręcz jako ustępstwo ze strony Ukraińców, jak to jeden z tamtejszych historyków ujął, co Pan Profesor zacytował w książce „Wołyń ‚43". W takim klimacie z trudnością wyobrażam sobie merytoryczną rozmowę z Ukraińcami na temat Wołynia.

– Pomimo wszystkich zaniechań w sprawie Wołynia, nie powiedziałbym by był to temat ignorowany. Wielu polityków – ze wszystkich opcji politycznych – po prostu nie chciało poruszać tej sprawy we wzajemnych

kontaktach wierząc, że samoczynnie dojdzie do rozwiązania problemu. Towarzyszyła temu obawa, by nie wywoływać sporów, które mogą zaszkodzić współczesnym relacjom. Nie rozumiano, że obowiązkiem polityków jest przełamanie tego konfliktu pamięci, dzielącego oba społeczeństwa. By to osiągnąć należało podjąć aktywne działania i zaproponować drugiej stronie jakąś formułę kompromisu.

– Myślę, że gdyby tak zrobiono, gest prezydenta Petro Poroszenki, który zresztą bardzo wysoko oceniam, czyli złożenie kwiatów na Skwerze Wołyńskim, miałby miejsce wcześniej. Oczywiście, dzisiaj ten dialog – co tu dużo mówić – jest bardzo trudno prowadzić ze względu na polaryzacje poglądów. W ciągu ostatniego miesiąca usłyszałem z jednej strony, że jestem „kolejnym Edwardem Prusem", a z drugiej, że jestem „znany ze swoich sympatii do UPA". Wspominam o tym, by pokazać, jak trudno się rozmawia ze względu na panujące emocje. Sytuacji nie poprawia stan prawny na Ukrainie (gdzie wprowadzono zakaz negowania niepodległościowego charakteru UPA), a za moment może również w Polsce, bo w Sejmie właśnie pojawił się projekt ustawy penalizującej zaprzeczanie zbrodni wołyńskiej. Nawet jeśli uznać, że te przepisy są sensowne, to one siłą rzeczy prowadzą do tego, że dyskurs na temat przeszłości za chwilę może przenieść się do sali sądowej. Pomimo to pozostaję umiarkowanym optymistą. Bo przecież współczesna polityka Polski i Ukrainy, interes państwowy Warszawy i Kijowa, jest tak mocno zbieżny, że byłoby niewybaczalną głupotą, gdybyśmy przegrali naszą przyszłość przez niezdolność do porozumienia na temat przeszłości.

– W październiku odbyło się kolejne spotkanie komisji historyków powołanej przez polski i ukraiński IPN. Z pozoru wyglądało ono tak, jak pan to zarysował: strony pozostały przy swoich poglądach. Wychodząc z tego seminarium chyba wszyscy byliśmy potwornie zmęczeni

wielogodzinną dyskusją. Jednak gdyby spojrzeć na seminarium z boku, to można dostrzec, że dyskusja miała absolutnie merytoryczny charakter, a w jej trakcie nie używano argumentów ad personam. Wydaje mi się, że właśnie takie ostre i zarazem szczere rozmowy powoli prowadzą do zmiany stanowiska drugiej strony. Ja naprawdę wierzę, że w efekcie takiego dialogu, po stronie ukraińskiej wcześniej lub później dojrzeje świadomość faktu, jak koszmarnych zbrodni na Polakach dopuściła się UPA podczas „antypolskiej akcji" na Wołyniu i w związku z tym nie ma innego wyjścia, jak tylko je potępić. Uważam, że o to jedno zdanie potępiające czystki UPA, które przywołuję w swojej książce, polscy historycy mają obowiązek się upominać. Nawet, jeśli bywa to trudne.

Współczesna inscenizacja zbrodni wołyńskiej /Tadeusz Koniarz / Reporter

Czy propagowanie banderyzmu i ukraińskiej ideologii nacjonalistycznej powinno być w Polsce karane? Pytam o to, bo na Ukrainie podważanie niepodległościowej działalności UPA i OUN jest penalizowane. I czy polscy historycy akceptują niepodległościowy charakter tych organizacji?

– W Polsce wokół tej kwestii toczy się spór i on wybrzmiał już w 1994 roku, podczas seminarium w Podkowie Leśnej. Duża część polskich historyków przyznaje, że UPA walczyła o niepodległość Ukrainy. Natomiast zaznaczają jednocześnie, że metody tej walki były niedopuszczalne i miały w przypadku „antypolskiej akcji" wręcz ludobójczy charakter. Jest jednak grupa polskich badaczy i dokumentalistów, która uważa, że metody walki UPA były tak straszne, iż przekreślają one niepodległościowy charakter całej formacji.

– Dlatego to rzeczywiście jest problem, kiedy po stronie ukraińskiej wprowadza się penalizację kwestionowania niepodległościowego charakteru UPA. Ten przepis teoretycznie jest martwy, ale jednocześnie nie wiadomo, czy ktoś kiedyś nie będzie go próbował zastosować. Nie wiadomo również, w jaki sposób będzie interpretowany. Przecież negowanie niepodległościowego charakteru UPA jest stwierdzeniem nieostrym. Ci, którzy mówią, że upowcy byli bandytami niejako z założenia, wydaje się, mogą zostać ukarani. Ale czy ci, których zdaniem UPA dopuściła się ludobójstwa negują tym samym jej niepodległościowy charakter? To nie jest jasne.

– Natomiast po polskiej stronie de facto wprowadza się teraz przepisy odwrotne. To znaczy, może być ukarana osoba negująca zbrodnię wołyńską lub odnosząca się z pietyzmem do tradycji UPA. Wobec tych wszystkich przepisów, tych które są i tych, które mają być wprowadzone, mam duży dystans. Uważam, że nawet jeśli stoją za nimi słuszne racje, analogicznie jak na przykład w sprawie penalizacji kłamstwa

oświęcimskiego, to jednak ograniczają one pewne pole wolności naukowcom i tym samym nie sprzyjają swobodnym badaniom naukowym.

Jak pan profesor ocenia ostatnią uchwałę Sejmu w sprawie Wołynia?

– Wbrew temu, co ostatnio sugerowano w „Nowej Europie Wschodniej", nie jestem entuzjastą tej uchwały. Uważam, że lepiej byłoby, gdyby została ona przegłosowana w okrągłą lub półokrągłą rocznicę zbrodni. Zachowuję również dystans wobec niektórych zawartych w niej stwierdzeń. Bardziej politycznym i dyplomatycznym zabiegiem byłoby na przykład wprowadzenie dnia pamięci o Zbrodni Wołyńskiej, zamiast dnia pamięci o ludobójstwie. Nie mówimy przecież o Dniu Pamięci Ludobójstwa Sowieckiego w Katyniu, tylko o Dniu Pamięci Zbrodni Katyńskiej.

– Jednocześnie jednak stanowczo nie zgadzam się z tymi, którzy uważają, że ta uchwała jest uderzeniem w Ukrainę. Miałem możliwość przeczytania kilku kolejnych wersji tej uchwały i z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że przyjęty tekst jest najlepszy z nich wszystkich. Świadczy to o wysiłku włożonym przez parlamentarzystów, by uchwała dając świadectwo prawdzie historycznej, jednocześnie nie była wymierzona we współczesne polsko-ukraińskie relacje. Z całą pewnością nie jest to uchwała antyukraińska. Ktoś, kto tak mówi, mija się z prawdą. W uchwale wyraźnie zawarto deklarację życzliwości wobec Ukrainy. Zdecydowanie i jasno natomiast stwierdzono, że działania OUN i UPA wobec ludności polskiej były ludobójstwem. Moim zdaniem jest to wyraźne zaznaczenie ze strony polskiego Sejmu, że nie ma zgody w Polsce na to, aby do przy opisie zbrodni wołyńsko-galicyjskiej stosować zasadę symetrii win obu stron konfliktu.

– Potrzeba teraz trochę czasu, by w Polsce i na Ukrainie lepiej zrozumiano to, co chciano wzajemnie sobie powiedzieć. Mam nadzieję, że w efekcie dojdzie do działań, które zażegnają dzisiejszy konflikt pamięci. A do tego, wbrew pozorom, nie trzeba aż tak wiele. Gdyby po stronie ukraińskiej pojawiło się jasne i oficjalne potępienie zbrodni, bez eufemizmów i ukrywania banderowskiej tożsamości sprawców, to w odpowiedzi rosłoby w Polsce zrozumienie dla tego, że Ukraińcy sami wybierają sobie bohaterów. My możemy tych bohaterów nie lubić, nie zgadzać się z ukraińskim wyborem, ale dobrym prawem każdego narodu jest samodzielne tworzenie panteonu narodowego. Choć trzeba przy tym pamiętać, że nikt nie może zmienić przeszłości. Dlatego, jeśli ktoś w imię niepodległości dopuścił się kiedyś zbrodni, pozostaje tylko o tym otwarcie powiedzieć. Nie można zaprzeczać historycznym faktom.

– Wracając jeszcze na moment do lipcowej uchwały, chciałbym podkreślić, że bardzo dobrze się stało, iż została ona przyjęta ponadpartyjnie. Najgorsze, co moglibyśmy w Polsce zrobić, to sprawić, aby kwestia sporu o Wołyń ,43 roku, stała się elementem dzisiejszej wojny polsko-polskiej. To byłoby nieszczęście dla Polski i przyszłości relacji polsko-ukraińskich.

Dla Polaków zdecydowanie lepiej byłoby, gdyby Ukraińcy czcili Symona Petlurę jako bohatera narodowego, chociaż oczywiście my nie powinniśmy pouczać naszych sąsiadów w tej kwestii.

– Petlura dla części Ukraińców jest oczywiście bohaterem i sądzę, że ich liczba będzie rosnąć. Ale to sami Ukraińcy muszą go docenić. Polskie zachęty do uszanowania Petlury nie mogą przynieść większego rezultatu. Od lat często słyszę na różnych spotkaniach i konferencjach stwierdzenia w rodzaju: „Macie Petlurę, więc po co odwołujecie się do Stepana

Bandery?”. Nawet jeśli stoi za tym dobra wola, to w Ukraińcach budzi się wtedy autentyczny i zrozumiały sprzeciw. Mogliby zapytać: „Dlaczego wy chcecie nam wybierać bohaterów narodowych?”.

Czy zaskakuje pana fakt, że i w Polsce znajdą się osoby usprawiedliwiające ludobójstwo na Wołyniu? Weźmy na przykład wywiad pana profesora z Andrzejem Brzezieckim opublikowany w „Gazecie Wyborczej”, z komentarzem Pawła Smoleńskiego, którego przekaz był mniej więcej taki: Polacy-panowie nękali lud ukraiński, a ten podniósł głowę, zerwał kajdany i pomścił krzywdy. Smoleński dalej sugeruje, że nasza niezgoda na ukraińską wersję wydarzeń na Wołyniu wynika właśnie z naszego „pańskiego” poczucia wyższości nad Ukraińcami. Jak pan odbiera takie przedstawienie sprawy?

– Cenię reportaże historyczne Pawła Smoleńskiego, ale to nie znaczy, że zgadzam się z jego wszystkimi komentarzami. Rzeczywiście jest tak, że w Polsce jest rozpowszechniony stereotyp „Ukraińca-rezuna”, rzekomo mającego wrodzoną predylekcję do zbrodni. Ale trzeba też pamiętać, że na Ukrainie z kolei jest rozpowszechniony, podsycany kiedyś zarówno przez nacjonalistów i komunistów, stereotyp „Polaka-pana”, człowieka wyniosłego i zdradliwego. Jeśli chcemy doprowadzić do trwałego pojednania między naszymi narodami, to należy zwalczać obydwa stereotypy, a nie tylko ten pierwszy. A popularność wśród elit ukraińskich poglądu o symetrii win Polaków i Ukraińców na Wołyniu wynika – przynajmniej po części – także z siły stereotypowego patrzenia na Polskę. Dlatego, jeśli polscy historycy przedstawiają stan badań naukowych, to dość łatwo można je skontrować, jako rzekomy wyraz polskiej wielkopańskości. Tym samym Polacy nie mogą mieć racji, bo ich wersja zdarzeń wynika jakoby z poczucia wyższości.

– Redaktor Smoleński ma rację, kiedy mówi o tym, że w relacjach polsko-ukraińskich Polacy mają swoją część lekcji do odrobienia. Jednak nie dostrzega on, iż Ukraińcy też mają do wykonania sporo pracy. Jeżeli tej lekcji nie odrobią jedni i drudzy, to będziemy się dalej spierać i kłócić o przeszłość jeszcze bardzo długo. A odrobienie lekcji przez tylko jedną stronę nie rozwiązuje żadnego problemu.

W książce „Wołyń ‚43" możemy przeczytać, że Ukraińcy zbudowali politykę historyczną i własną tożsamość na filarze własnej martyrologii. Widzą siebie jako ofiarę sąsiadów: Rosji, Tatarów czy Polski. Czy fakt, że i Polacy lubią widzieć siebie w roli ofiar totalitaryzmów, celebrują martyrologię, nie utrudnia porozumienia w kwestii Wołynia?

– Myślę, że ma pan dużo racji. Rzeczywiście w naszej i ukraińskiej tradycji wątek martyrologiczny jest silnie obecny. To poniekąd zrozumiałe, bo i Polacy i Ukraińcy przeżyli w swojej historii tyle tragedii i nieszczęść, że moglibyśmy obdarzyć nimi hojnie cały szereg innych narodów. To się zresztą przekłada na historię rodzin, bo łatwo w nich znaleźć kogoś, kto został dotknięty przez Niemców czy komunistów. W związku z tym faktycznie pojawia się pokusa, by uznać, że przedstawiciele naszego narodu nigdy nie mogli zadać nieszczęścia innym. To jest oczywiście ogromne uproszczenie, bo w historii każdego narodu można znaleźć czyny chwalebne i haniebne. Polacy i Ukraińcy nie są tu żadnym wyjątkiem.

Jak pan profesor ocenia działalność Wołodymyra Wjatrowycza? Jego retoryka wydaje się być taka, jaką wymarzyli sobie „ojcowie-założyciele" ukraińskiego nacjonalizmu: na Wołyniu nie było zaplanowanego ludobójstwa, a rzezie były wyrazem spontanicznego buntu chłopskiego. Wjatrowycz podnosi również

kłamliwy argument o braku rozkazów ukraińskich nacjonalistów w sprawie zbrodni na Wołyniu. Przyznam szczerze, że lektura wywiadów z szefem ukraińskiego IPN wywołuje u mnie co najmniej zdziwienie i jednocześnie nasuwa pytanie: skąd ta nieustępliwość i zatwardziałość, w bronieniu niezgodnych z faktami tez?

– Krytycznie oceniam prace historyczne Wołodymyra Wjatrowycza. Pisałem i mówiłem o tym niejednokrotnie. Z całej palety dokumentów dotyczących „antypolskiej akcji" UPA wybiera on jeden, a następnie poprzez próbę zanegowania jego wiarygodności, próbuje podważyć ustalenia polskich historyków, co nie ma większego metodologicznego uzasadnienia. Natomiast choćby ze względu na funkcję prezesa Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, jaką sprawuje Wjatrowycz, a także rolę jaką odegrał na Majdanie, gdzie ludzie przecież ryzykowali życie w obronie poszanowania podstawowych praw obywatelskich, stał się on ważnym uczestnikiem życia publicznego na Ukrainie. Dlatego z całą pewnością jest to partner, z którym nawet twardo się nie zgadzając, należy jednak rozmawiać. Mam nadzieję, że rozumie on, iż przemilczanie zbrodni wołyńskiej jest drogą prowadzącą jedynie do katastrofy.

Sprawa Wołynia to dla Ukraińców wielka przeszkoda w relacjach z Polską, czy raczej nie traktują tego jako pierwszoplanowego punktu wzajemnego porozumienia? Bo dla Polaków ta sprawa jest bez wątpienia istotna.

– Z całą pewnością kwestia Wołynia nie jest dla Ukraińców pierwszoplanowa. Zresztą zawsze jest tak, kiedy mowa o nieszczęściach zadanych „tym innym", że są to sprawy wstydliwe i niechętnie poruszane, najlepiej byłoby o nich zapomnieć. Polacy też nie są tu wyjątkiem, wystarczy przypomnieć temat Jedwabnego, od którego zaczęliśmy rozmowę. Trzeba również pamiętać, że „antypolska akcja" UPA była prowadzona na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, zatem świadkami tych

wydarzeń była tylko społeczność zachodniej Ukrainy. Stąd w centrum i na wschodzie Ukrainy o tych wydarzeniach nikt się nie dowie z przekazu rodzinnego, a obiektywne informacje na ten temat w prasie czy książkach nie jest łatwo znaleźć. Ale to nie zmienia faktu, że elity ukraińskie pewną wiedzę o wydarzeniach na Wołyniu w 1943 roku jednak mają.

– Właściwie to nie bardzo sobie wyobrażam, by ktoś będący ukraińskim inteligentem i wiedzący cokolwiek o Ukraińskiej Powstańczej Armii, nie miał świadomości, że pomiędzy Polską a Ukrainą istnieje spór w kwestii oceny jej działalności przeciwko Polakom. Problemem nie jest to, że Ukraińcy niewiele wiedzą na temat Wołynia, lecz to, iż ci, którzy coś wiedzą, nierzadko posiadają fałszywy obraz wydarzeń, uformowany w wyniku nawarstwiania się różnych mitów, uproszczeń i przemilczeń. Na Ukrainie od kilku lat panuje dość zgodne przekonanie, by ówczesne wydarzenia opisywać stawiając znak równości pomiędzy działaniami polskiego i ukraińskiego podziemia. Jeżeli ktoś inaczej ocenia te wydarzenia, to automatycznie jest odbierany jako ktoś niechętny państwowości ukraińskiej. W ten sposób ukraińscy koledzy sami sobie kreują wyimaginowanych Polaków niechętnych Ukrainie.

– Można sympatyzować z niepodległościowymi aspiracjami Ukraińców i przyznawać im rację w sporze z Rosją, a jednocześnie stać na stanowisku, że na Wołyniu doszło do ludobójstwa dokonanego przez Ukraińską Powstańczą Armię. Natomiast kiedy czyta się wypowiedzi ukraińskich intelektualistów, zwłaszcza obecnie po premierze filmu „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego, można odnieść wrażenie, że ich zdaniem takie połączenie jest niemożliwe.

Jak bardzo kwestia Wołynia wpływa na wzajemne relacje polsko-ukraińskie? Czy brak rozwiązania konfliktu na polu historii może rzutować na stosunki polityczne

czy gospodarcze?

– Przyszłość jest otwarta. Wszystko zależy od nas, od elit ukraińskich i elit polskich, społeczności obu krajów. Mam nadzieję, że po roku 2016 rozpocznie się spokojna rozmowa o stworzeniu nowego modelu dialogu i porozumienia, który byłby możliwy do zaakceptowania przez szerokie kręgi społeczne w Polsce i na Ukrainie. Musi on zachowywać szacunek wobec podstawowych faktów oraz dać odpowiednią ocenę etyczną i może też prawną wydarzeniom. W swojej książce podpowiadam jedną z możliwości zakończenia sporu, ale z pewnością istnieją również inne, o których warto rozmawiać i dyskutować. Przemilczanie problemu niczego nie załatwi.

Rozmawiał Artur Wróblewski

CZYTAJ WIĘCEJ

PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ

WOJCIECH MECWALDOWSKI: SZANUJĘ PRAWDZIWYCH DRESIARZY

AUTOR: ŁUKASZ PIĄTEK

GRUDZIEŃ 2016

Wojciech Mecwaldowski / Jacek Kurnikowski / AKPA

Posiada pokaźną kolekcję klocków Lego, a w łazience trzyma ponad tysiąc zabawek z popularnych, czekoladowych jajek. Szanuje prawdziwych dresiarzy, śmieje się z celebrytów, woli schabowego od sushi, a niedługo wyreżyseruje film, w którym główną rolę zagra prawdopodobnie Zac Efron. Zapraszamy do wywiadu z Wojciechem Mecwaldowskim.

ŁUKASZ PIĄTEK, INTERIA: Spotkało pana dziś coś dziwnego?

WOJCIECH MECWALDOWSKI: – Coś dziwnego? Zaskoczyła mnie pogoda, bo jest coraz zimniej.

To przyznam, że jestem zaskoczony, bo podobno na dziwne i niecodzienne sytuacje działa pan jak magnes.

– Zgadza się. Przyciągam wariatów. Albo tych, którzy nie do końca rozumieją otaczający nas świat.

Może to jest tak, że swój zawsze trafi na swego...

– To prawda. Zauważamy to dopiero wtedy, kiedy dorastamy. Są ludzie nam pisani, dlatego czasami nie możemy przejść obok drugiego człowieka obojętnie, bo on jest „po coś". To działa w obie strony.

Na trasie Wrocław – Warszawa, Warszawa – Wrocław wielu pan takich spotyka?

– Sporo. Na lotniskach, na dworcach. Tych dziwnych sytuacji naprawdę jest dużo, ale zazwyczaj, kiedy ktoś mnie o nie pyta, to mam w głowie pustkę. To jak z dowcipami, kiedy prosi cię ktoś, żebyś jakiś opowiedział. Na co dzień na luzie sypiesz nimi jak z rękawa, ale jak przychodzi co do czego, to nie znasz ani jednego.

Woli pan pociągi czy samoloty?

– Wolę latać, ale bezpieczniej czuję się w pociągu. Zdecydowanie większy komfort psychiczny zapewnia mi szuranie po ziemi.

Rozumiem, że prawa jazdy nadal pan nie zrobił?

– Nie zrobiłem...

Dlaczego?

– Nie ciągnie mnie do tego.

Kilka miesięcy temu mówił pan, że wybiera się do Stanów, by przejechać je samochodem wzdłuż i wszerz wraz ze znajomymi.

– I miałem to prawo jazdy zrobić w Stanach.

Nie wyszło?

– Jak widać cały czas nie jest mi to dane. Może kiedyś je zrobię.

Półtora roku temu jechałem pociągiem z Warszawy do Wrocławia i zauważyłem pana siedzącego w Warsie. Miałem nawet wtedy podejść i zapytać o możliwość przeprowadzenia wywiadu, ale siedział pan taki zamyślony i wpatrzony w jeden punkt, że pomyślałem, iż nie warto przeszkadzać, bo może analizuje pan coś ważnego. Podobno łapanie „zawieszki" to u pana norma. Prawda?

– Bardzo często się zawieszam, medytuję, odpływam sobie z tego świata, który mnie otacza na co dzień. Zwariowałbym, gdybym cały czas tym żył. Żyję trochę z boku i bardzo mi to odpowiada.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że był pan trochę dzieckiem autystycznym.

– Absolutnie tak. Gdyby mnie wówczas scharakteryzować, to pewnie można by się dopatrzeć jakichś śladów autyzmu. Mówię to zupełnie poważnie. Miałem swój świat, bo nie potrafiłem funkcjonować w tym, w którym wszyscy funkcjonowali.

Komuś to przeszkadzało?

– Nie. Raczej dziwnie wyglądało. Z wiekiem ma to same plusy.

Nie wyrósł pan tego?

– Nie mam zamiaru.

I stąd u pana ta miłość do klocków LEGO?

– Od dziecka marzyłem, żeby kiedyś zbudować świat z LEGO. Ogromny na cały pokój, z górami, zamkami i armiami rycerzy, którymi kiedyś będą się bawić moje dzieci.

Więcej ma pan klocków LEGO czy figurek z popularnych, czekoladowych jajek?

– Zdecydowanie klocków. Kiedyś specjalnie jeździłem po nie do Niemiec.

I już pan nie jeździ?

– Nie, bo wszystkie już mam. Teraz buduję.

I jak pan już zbuduje, to co wtedy? Czym się pan zajmie?

– Jak to czym? Będę się nimi bawił.

Gdzie pan te wszystkie klocki trzyma?

– W domu w salonie. Mam dużo miejsca.

Z figurkami z jajek jest podobnie?

– Ich już nie zbieram, ale czasami dostaję w prezencie więc dokładam. Mam ich już grubo ponad tysiąc sztuk. Trzymam je w łazience.

Filmy pornograficzne. Czy to prawda, że...

– Prawie każdy je ogląda, ty pewnie też.

Ale pan je podobno kolekcjonuje.

– A to jakiś problem? Ludzie robią gorsze rzeczy.

Czy żałuje pan...

– Niczego w życiu nie żałuję.

...decyzji o zagraniu w filmach, które okazały się klapą?

– Nie. Jako aktor zawszę robię wszystko, co w mojej mocy. Gdybym miał poczucie, że zrobiłem coś źle, to mógłbym żałować. A nie mam takiego poczucia. Nie mam wpływu na cały film. Wszystkie wybory, których dotychczas dokonywałem były świadome, więc nie żałuję żadnego.

Ale jeśli powstaje słaby film, to pan grając w nim, firmuje go swoją twarzą.

– Tak. I na szczęście jest tak, że ludzie widząc tę moją twarz raczej nie mówią, że dałem dupy. Wiesz, ja trzy lata temu przestałem przejmować się rzeczami, które już się wydarzyły i na które nie mam już wpływu jako aktor. To był dla mnie przełomowy moment.

Na czym polegał ten przełom?

– Doprowadzono mnie, ku**a, do szewskiej pasji.

Nie rozumiem...

– Często pracowałem pod ogromną presją czasu. Zrób to na już, teraz, kończy nam się czas! Zauważyłem, że ludzie nie myślą o tym, żeby zrobić coś dobrze, ale o tym, by zrobić coś szybko. Taka praca nie ma sensu.

Kiedy dostaje pan propozycję roli, to na dzień dobry stawia pan swoje warunki – chociażby te odnośnie czasu pracy?

– Ja nie stawiam, ale moja agentka ma w umowie zapisane punkty, które są moimi warunkami. Nie jestem osobą, która ma jakieś zachcianki. Po prostu jedyne o co proszę, to czas do przygotowania się. Chcę przyjść na plan, pokazać to, co mam do zaoferowania, odbyć jakieś próby itd. Nie znoszę sytuacji, kiedy na planie spotykam nieprzygotowanych ludzi. Muszę być fair wobec widza, który mnie ogląda. Zwłaszcza, że za tę pracę bardzo dobrze mi płacą.

Jest pan znanym i docenianym aktorem, więc domyślam, że się nie bierze pan pierwszej lepszej roli?

– Przede wszystkim pracuję mniej, niż kiedyś. Wcześniej naprawdę pracowałem bardzo dużo i kiedy tak zatrzymałem się na chwilę i zacząłem się zastanawiać, co ja robię, to uświadomiłem sobie, że obok wielu rzeczy w moim życiu przechodziłem obojętnie, wiele z nich w ogóle nie dostrzegałem. W związku z tym zacząłem sobie dozować tę pracę. Potrzebuję mieć więcej czasu dla siebie. Z wiekiem też mam coraz większy szacunek do pracy jaką wykonuję, bo wiem, jak potrafi przeczołgać.

Czego pan nie zauważał?

– Jak pracujesz non stop, to zwyczajnie nie zauważasz swojego życia. Największym błędem ludzi jest myślenie, że jeszcze zdążą nacieszyć się życiem. Idziesz do roboty mając dwadzieścia kilka lat. Prężysz się i pocisz, żeby tylko wyżej i wyżej. Nagle okazuje się, że masz już 70 lat i... co tak naprawdę przeżyłeś? Dlatego doszło do mnie, że za bardzo zapieprzam, że powinienem mieć czas dla swojego życia, dla rodziny, przyjaciół. Choćby mieć czas, żeby siedzieć w domu i zupełnie nic nie robić.

Nie jest pan zakochany w pieniądzach?

– Nie. Część pieniędzy przeznaczam na to, żeby innym ludziom żyło się dobrze. Nie zbieram pieniędzy wyłącznie dla siebie. Lubię komuś pomóc, ale nie czuję potrzeby chodzenia i mówienia o tym. Nie lubię wycierać sobie gęby chorymi dziećmi, tudzież po prostu ludźmi w potrzebie. Byłem kiedyś w szpitalu onkologicznym i dowiedziałem się, że dzień wcześniej widziano tam pewną znaną polską aktorkę. Wrzuciła do Internetu fotkę z chorymi, łysymi dziećmi i podpisała ją: „Byłam u moich przyjaciół". A była tylko raz i nawet z tymi dziećmi nie rozmawiała. Dużo pieniędzy

przeznaczam na podróżowanie i na ciuchy, bo mam jakiś syndrom kobiecy. Chyba każdy facet ma taki. Na szczęście u mnie zaczęło i skończyło się na ciuchach, a nie na czymś innym.

Dlaczego Wrocław a nie Warszawa?

– Bardzo lubię stolicę, ale lepiej czuję się we Wrocławiu. Ludzie są tam częściej uśmiechają i nie przenoszą na ciebie swoich problemów. Poza tym, tam się zapraszają na schabowego, a tu na sushi albo kiełki.

Z jednej strony schabowy, ale z drugiej strony jako miejsce naszego spotkania wskazał pan hotel Marriott. Tutaj chyba bliżej jednak do tego sushi...

– Marriott, bo raz: po drugiej stronie ulicy mam dworzec, a wracam dziś do Wrocławia. Dwa: mają tutaj naprawdę bardzo dobry żurek. Trzy: przed tobą miałem tu jedno spotkanie zawodowe, więc nie chciało mi się już nigdzie przemieszczać. Dla mnie jest bez różnicy, czy będziemy rozmawiać tutaj, czy pójdziemy pod jakąś budę na dworcu.

Lubi pan się trochę pośmiać z tej warszawskiej bufonady, prawda?

– Nie śmieję się z Warszawiaków. Śmieję się z całego tego świata show-biznesu, który tak strasznie żyje eko, co chwilę zmienia diety. Wszyscy starają się żyć fajnie, a tak naprawdę rozwalają swoje organizmy i tego nie wiedzą. Ale mam też przyjaciół w Warszawie, którzy są wspaniałymi ludźmi, jedzącymi normalne rzeczy. Chyba zamiast biec za tymi nowinkami, co staje się modne, lepiej by było być wiernym sobie i jakimś zasadom, które nas budują.

Pan jest wierny schabowemu?

– Jestem wierny przede wszystkim sobie, ale składam się m.in. ze schabowego.

Z przyjaciółmi z show-biznesu /AKPA

Ma pan przyjaciół w show-biznesie?

– Tak.

Zalicza się do nich Paweł Wilczak?

– Jak najbardziej. Tomek Kot, Magda Różczka, Borys Szyc i jeszcze kilku innych.

Z Pawłem Wilczakiem ta przyjaźń narodziła się na planie serialu Usta-Usta?

– Chyba właśnie wtedy ta przyjaźń zaczęła kiełkować. Trwa do dziś. Paweł dał mi jedną, bardzo cenną radę.

To znaczy?

– Żebym nigdy w życiu nie rozmieniał się na drobne. Kiedyś pewna firma chciała mi dać ciuchy. Paweł wtedy powiedział: „Wojtku, ciebie stać, żeby sobie te ubrania kupić". Otworzyło mi to głowę.

Na co?

– Na to, że np. aktorzy i artyści są wrzucani do jednego kotła z celebrytami. Zaprasza się ich na premiery majtek, butów i szczoteczek do zębów. Na tle ścianek pozują z tymi prezentami, uśmiechają się. To żenujące, bo ich stać, żeby sobie to kupili.

Pan też pozował na tle ścianek.

– Wyłącznie na premierach filmów i seriali, w których wystąpiłem. Generalnie tego unikam. Jeśli miałbym spędzić swój wieczór promując jakieś „dobra", to musiałbym upaść na łeb.

Buntownik z pana...

– Nie. Po prostu staram się żyć tak, jak ja chcę. Po swojemu. Nigdy nie będę żył wedle czyichś wskazówek czy założeń. Nigdy nie będę ubierał się tak, jak ktoś chce. Zwłaszcza, kiedy ten ktoś sam wygląda jak papuga. Błagam cię...

Dziś ma pan na sobie dresy. To chyba jedna z ulubionych części garderoby?

– Lubię dresy. Tak samo dobrze czuję się w garniturze. Mam swojego krawca, który szyje mi garnitury, jest naprawdę świetny, ale dlaczego miałbym nie zakładać dresów? Bardzo dobrze się w nich czuję i naprawdę niewiele mnie obchodzi, czy wypada je zakładać czy nie. Mam szacunek do ludzi, którzy noszą dresy. Zresztą kilkanaście lat temu byłem typowym dresiarzem. Jestem z tego dumny. Tak samo dumny jestem z moich przyjaciół, którzy również nosili wówczas dresy.

Dlaczego?

– Bo mają proste myślenie i nie wydziwiają. Nie upiększają życia jakąś sztucznością. Przyjmują je w takiej formie, jakie ono faktycznie jest. Nie

zniekształcają go.

Nie zniekształcają w przeciwieństwie do...

– Ludzi z show-biznesu, którzy mają to do siebie, że uwielbiają wszystko sztucznie koloryzować i robić z siebie kogoś, kim nie są. Nie przepadam za osobami, które kreują się na potrzeby kogoś lub czegoś.

Ci pańscy przyjaciele – dresiarze – to nie prawnicy czy lekarze, którzy po pracy lubili włożyć na siebie dres, ale ci prawdziwi dresiarze?

– Dresiarze, którzy jeździli na mecze, tłukli się z policją. Dyskoteki, zimne łokcie, białe skarpetki – tego typu rzeczy. Kiedyś to było normalne, a teraz ludzie się z tego śmieją. I ja nie rozumiem, dlaczego się śmieją.

Odnoszę wrażenie, że w pana świecie są tylko dwa kolory – czarny i biały. Mylę się?

– Dla mnie świat ma wiele pięknych kolorów, ale chodzenie po nim jest czarno-białe. Albo jesteś albo cię nie ma, albo ręczysz albo nie. A nie, że jesteś w połowie...

I przez to trudniej dogadać się panu z ludźmi z show-biznesu?

– Czy ja wiem? Prawdę powiedziawszy chyba nigdy nie odczułem, żebym miał trudności z dogadaniem się z kimś, kto nawet znacząco różni się ode mnie.

Nadal nie dopuszcza pan do siebie tego świata cyfrowego?

– Tak. Bardzo mi z tym dobrze.

Czyli telewizora nadal pan nie kupił?

– Nie. I nie mam zamiaru.

Z bankowości elektronicznej także pan nie korzysta?

– Nie. Przelewy robię przy okienku w banku. Przynajmniej mogę zobaczyć piękne kobiety zajmujące się moimi pieniędzmi.

Jaką książkę ostatnio pan przeczytał?

– Dziwnie to zabrzmi, ale obecnie czytam „Mein Kampf".

O!

– Niedługo będę właśnie Adolfem.

Zaczynam się pana bać.

– Od Krzysztofa Czeczota otrzymałem propozycję wcielenie się w postać Hitlera w Teatrze Telewizji. „Światło w nocy" Macieja Karpińskiego. Mam zaszczyt pracować tam z Borysem Szycem i Łukaszem Simlatem. Teraz muszę dowiedzieć się o mojej postaci jak najwięcej, dlatego jestem na etapie czytania tej książki i oglądania filmów o Adolfie. Spróbuję w jakiejś chociaż części dowiedzieć się, co on miał w głowie.

Ma pan jakieś zmartwienia?

– Żeby ludziom w tym kraju bardziej nie odpier***o.

A czy martwi pana to, że jako osoba publiczna musi pan bardziej niż inni strzec swojej prywatności?

– W zasadzie to chyba jakoś strasznie wysilać się nie muszę, bo wiadomo jest od dawna, że ja swoją prywatnością się nie dzielę. Wiesz, ja żyję ze swojej pracy, a nie z tego, że jestem Wojtkiem Mecwaldowskim. Nie udzielam się zbyt często w kolorowej prasie, nie tańczę, nie gotuję, nie opowiadam w telewizji śniadaniowej o swojej brodzie. Jeżeli bym to wszystko robił, to prawdopodobnie byłbym bardziej znany, ale sprzedałbym siebie.

Powiedział pan, że nie tańczy...

– Uwielbiam tańczyć, ale nie w takiej komiksowej formie.

Dążę do tego, że kiedyś powiedział pan, że nie wystąpi w Tańcu z Gwiazdami nawet za milion złotych. A gdyby ktoś przyszedł i powiedział: „Panie Wojciechu, jeśli pan zatańczy, to ten milion wpłacimy na cel charytatywny"?

– To ja mam inną propozycję – nie róbcie tej edycji programu i na ten szczytny cel przekażcie nie milion, a kilkanaście milionów. Wiesz, co mnie strasznie wkurza? To, że organizowane są imprezy, na które zjeżdżają się celebryci. Wszędzie trąbi się o tym, że podczas takiej imprezy zebrano np. 50 tysięcy złotych dla dzieci. No super. Ale nikt ci już nie powie, że ta impreza kosztowała dwa razy tyle. Więc czy nie lepiej chociaż raz nie zrobić tej imprezy i dać tym dzieciom 100 tysięcy?

Co pan robi w wolnych chwilach?

– Dziś będę siedział nad Adolfem Hitlerem.

Będzie pan czytał?

– Czytał, chodził, mówił do siebie, rozmawiał z lustrem, pracował po prostu nad rolą. I tak zejdzie mi do 8. rano.

Do 8. rano?!

– Tak. Wtedy położę się spać, następnie wstanę o 17. i znowu zacznę pracować.

Dlaczego pracuje pan w nocy?

– Bo mam wtedy mniej zakłóceń. Lepsza łączność z kosmosem.

Ale pytałem, co pan robi w wolnych chwilach...

– Różnie. Czasami gdzieś jadę, lecę, innym razem odpoczywam w domu. Generalnie zamiast planować wolę projektować. I to jest ta zasadnicza różnica.

Jakieś hobby?

– Lubię malować, fotografować. Lubię przebywać nie tylko tu, ale może nie gadajmy o tym, bo ludzie wezmą mnie już za kompletnego wariata.

W takim razie zapytam o coś bardziej przyziemnego – kiedy zadebiutuje pan w roli reżysera?

– Mam nadzieję, że już niedługo. Mam gotowy scenariusz, storyboard. Teraz muszę jedynie polecieć do Stanów i porozmawiać z produkcją i głównym aktorem. Wyraził wstępne zainteresowanie, ale wiadomo, że muszą być umowy. Film nosi tytuł „Polak".

Tym głównym aktorem ma być Zac Efron?

– Tak.

Jak panowie się poznaliście?

– Na weselu, żeby było ciekawiej...

O czym to będzie film?

– O tym, jak zatrzymuje ci się czas. Chodzi o moment, w którym zaczynasz się zastanawiać, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. W twoim życiu i w ogóle w tym wszystkim, co cię otacza. Fabularnie, tytułowy bohater zostaje deportowany z USA do Polski. Stara się w niej odnaleźć, a zarazem zrozumieć samego siebie. I bardzo się cieszę, że wszyscy pracujący przy tej produkcji mają zabronione mówienie czegokolwiek.

Pan się dobrze odnajduje w Polsce? Chyba dobra okazja, żeby o to zapytać, bo rozmawiamy w dniu 11 listopada...

– Oczywiście, że się odnajduję. Kocham Polskę i nie wyobrażam sobie, żebym miał mieszkać gdzieś indziej. Może tym łatwiej mi to przychodzi, że niewiele potrzebuję do szczęścia.

Rozmawiał Łukasz Piątek

CZYTAJ WIĘCEJ

KOSZYCE WARSTWA PO WARSTWIE

AUTOR: IZABELA GRELOWSKA

GRUDZIEŃ 2016

Widok na ulicę Główną w Koszycach /©123RF/PICSEL

Niecałe dwie godziny drogi od polskiej granicy znajduje miasto będące idealnym celem weekendowych wypadów. Tętniąca życiem starówka z modnymi barami i restauracjami i sporo historycznych tajemnic do odkrycia sprawiają, że nie można się tu nudzić.

„Las pełen był malin, lodowatych źródeł, szlachetnych grzybów, jałowca i jagód. Tak ‘prawdziwego’ lasu nie znalazłem później nigdzie na świecie” - tak opisywał popularne koszyckie letnisko Bankov pisarz Sanor Marai w „Wyznaniach patrycjusza”. Dziś to wciąż lubiane tereny rekreacyjne, poprzecinane dziesiątkami kilometrów ścieżek rowerowych i spacerowych.

Ale gdy spojrzeć na miasto z otaczających wzgórz, jego komunistycznej przeszłości nie da się ukryć. Jeszcze do lat 50. XX wieku Koszyce liczyły sobie zaledwie 70 tys. mieszkańców. Działalność dużych zakładów hutniczych sprawiła, że wkrótce liczba mieszkańców skoczyła gwałtownie do blisko 250 tys. Ponure komunistyczne blokowiska oblepiły miasto, które niegdyś było ulubieńcem królów. Po zmianie ustroju skorupa zaczęła pękać, odsłaniając warstwa po warstwie bogatą historię i kulturę Koszyc, a także potencjał tego wciąż wielokulturowego miasta.

Jedno z takich pęknięć nastąpiło w 1996 roku, kiedy burmistrz Rudolf Schuster, późniejszy prezydent Słowacji, zdecydował o przeprowadzeniu rewitalizacji koszyckiej starówki. Nieodzowna była wymiana wodociągów i kanalizacji, ale wykopki przyniosły niespodziewany efekt. Koszyce odkryły jedną ze swych warstw - XIII–wieczne fortyfikacje, prawdziwe podziemne miasto pod główną ulicą. Dziś mieści się tam Muzeum Archeologiczne. Pracom musiały towarzyszyć niemałe emocje, w końcu w 1935 roku podczas kopania fundamentów, na tej samej ulicy, znaleziono miedziany pojemnik z kolekcją 2920 złotych monet i grubym złotym łańcuchem (Złoty Skarb można obejrzeć w Muzeum Wschodniej Słowacji).

Wydobycie blasku z pełnej zabytków starówki wydaje się jednak zadaniem prostym, jeśli porównać je do próby przetworzenia szarych postkomunistycznych przestrzeni w miejsca atrakcyjne, tętniące

kreatywną energią. Koszyce osiągnęły to dzięki śmiałemu pociągnięciu – kiedy miasto zyskało tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2013, część środków przeznaczono na przekształcenie go w zapierającą dech w piersiach otwartą galerię. Na nudnych elewacjach pojawiły się murale tworzone przez zaproszonych z całego świata artystów, jak np. pochodzącego z Chile twórcy działającego pod pseudonimem INTI. Jego „The sun" można zobaczyć w drodze ze starówki do Parku Kultury, innego projektu w ramach Europejskiej Stolicy Kultury. To utworzona na terenie starych koszar przestrzeń działań artystycznych i edukacyjnych oraz miejsce spotkań towarzyskich.

Fragment zachodniej elewacji Katedry / Styl.pl

TYGIEL W CIENIU KATEDRY

Przy mającej kształt wrzecionowatej promenady Ulicy Głównej (Hlavna) mieszczą się najbardziej reprezentacyjne zabytki: kaplica św. Michała

(niegdyś cmentarna, dziś ulubione miejsce ślubów), wieża Urbana i Teatr Miejski (który też ma swoje sekretne podziemne przejścia). I najbardziej majestatyczna budowla Koszyc: gotycka katedra – „ta wielka i doskonale wyrażona idea", jak pisał o niej urodzony w Koszycach Sandor Marai.

Do dzisiaj krąży legenda, że w jej wnętrzu jest ukryty kamień, po naciśnięciu którego budowla się zawali. Historia jakby znajoma? To nie jedyna świątynia, mająca rzekomo zawierać przycisk autodestrukcji. Popularny w średniowieczu trik budowniczych miał ponoć gwarantować uzyskanie zapłaty za wykonane dzieło. Na zachodniej elewacji zobaczyć można inny żart architekta, złośliwe przedstawienie dającej mu się we znaki żony alkoholiczki z wykrzywioną twarzą i pucharem w dłoni. Wystarczy wytężyć wzrok.

Słynącą z podwójnych spiralnych schodów i gotyckiego ołtarza katedrę św. Elżbiety budowano 130 lat, na miejscu romańskiego kościoła. Wśród budowniczych katedry Sandor Marai (w „Obywatelu Koszyckim") wymienia rodowitych koszyczan: Węgrów, Niemców i Słowaków. Ale stworzenie kultury mieszczańskiej miasta przypisuje głównie Węgrom i Niemcom. Zaskakujące? A jednak nie bezpodstawne. W pierwszej połowie XIII wieku węgierski król Bela IV zaprosił niemieckich osadników, by uzupełnić populację przetrzebioną po najeździe Mongołów i obdarował ich licznymi przywilejami.

A przywileje od tej pory płynęły do Koszyc szerokim strumieniem z rąk królów, którzy upodobali sobie to miasto. Pod koniec XIII wieku otrzymały prawa miejskie z autonomią sądowniczą i administracyjną. A po bitwie pod Rozgoniem, w której koszyczanie poparli Karola Roberta I Andegaweńskiego przeciwko Amadejowi Abie w walce o tron węgierski, Koszyce uzyskują status niemalże równy stolicy!

Dalszą konsekwencją tego zdarzenia są elementy francuskie i polskie w herbie miasta. Syn Karola Roberta i Elżbiety Łokietkówny, Ludwik Węgierski nadał miastu herb zawierający lilie andegaweńskie, Władysław II dodał później orła Jagiellonów.

Koszyce przez większą część swojej historii należące do Węgier, miały typowy charakter miasta pogranicza – wieloetnicznego, wielokulturowego. Również dziś jest zasiedlane jest przez Słowaków (ponad 70 proc.), Węgrów, Rusinów, Ukraińców, Czechów i Romów. Społeczność Żydowska licząca przed wojną 12 tys. osób, została niemal w całości wywieziona do obozów zgłady. Dziś nieliczna gmina opiekuje się pozostałym dziedzictwem materialnym, w tym synagogami na ulicy Puškinovej i Zvonarskiej. Niemcy w większości zostali wypędzeni po wojnie. Przez wieki współegzystowania krew zdążyła się jednak wymieszać, być może dlatego dziś 19 proc. mieszkańców nie określa swojej narodowości.

W REPUBLICE WSCHODU

Wschodnia Słowacja ma swoje poczucie odrębności. Koszyczanie mieszkańcom Bratysławy zarzucają zadzieranie nosa, z pełną świadomością, że stolica wytyka im z kolei prowincjonalność i skłonność do alkoholizmu. Ale kultura picia przeszła tu transformację równoległą do ustrojowej. Organizowany jest festiwal piwa, z bogatym wyborem piw rzemieślniczych i festiwale wina, prezentujące bogatą tradycję winiarstwa w regionie. Mieszkańcy wschodniej Słowacji mają jeszcze jedną cechę charakterystyczną – ogromne poczucie humoru. Można się o tym przekonać choćby w restauracji Republika Vychodu (Republika Wschodu), która oprócz doskonałego menu i niemal niespotykanych

w Polsce win pomarańczowych, ma własny język oparty na dialekcie wschodnio-słowackim, w którym wydaje własną gazetkę sławiącą wschodnio-słowacką tożsamość, i w którym stworzone jest menu restauracji, ponoć bardzo dowcipne (dla Polaków nie mniej dowcipne niż w innych słowackich restauracjach, ale za to bardziej zrozumiałe, gdyż dialekt ten jest zbliżony do polskiego).

Podwórko przy Halmi Cafe / Styl.pl

MIASTO PODZIEMNE I MIASTO NIEWIDZIALNE

Ulica Główna to oś koszyckiej starówki, prostokątnego obszaru o wymiarach 1-0,5 km, niegdyś otoczonego murami miejskimi. Ich zarys zaznaczony jest na ulicy Głównej brukowaniem, na wysokości Dolnej Bramy. Wystarczy skręcić w ulicę Zvonarską, by obejść starówkę dookoła wzdłuż dawnych murów miejskich, okalających teren średniowiecznej osady Villa Cassa, która w źródłach pisanych po raz pierwszy pojawiła się w XII wieku.

Kto fascynuje się nowszą historią, znajdzie na Zvonarskiej lokal pod nazwą „Krcma Nositel radu prace”, a w nim idealnie odtworzone komunistyczne wnętrze i atmosferę, łącznie z kłębami dymu tanich papierosów.

Kamienice przy Głównej mogą nie wydawać się okazałe, to jednak wrażenie mylące. Wystarczy wejść w podwórze, by przekonać się, że fasady skrywają budynki ciągnące daleko się w głąb. „Właściwe miasto było tak naprawdę niewidzialne; budowane na tyłach parterowych domów, stanowiących front ulic, rozciągało się niejako za ich plecami. (...) Miasto chowało się w podwórzach domów.” – opisywał Marai, w autobiograficznej powieści „Wyznania patrycjusza”, zabudowę z początku XX wieku, kiedy to „domów dwupiętrowych było w mieście może z tuzin”.

Budowanie „w głąb” dyktował podatek naliczany w zależności od długości budynku od strony ulicy. Z tych samych powodów na tradycyjnych słowackich wsiach można zobaczyć wąskie długie domy, krótkimi ścianami szczytowymi zwrócone ku drodze głównej.

Długie koszyckie podwórka zachowały swój intymny urok. Aby się o tym przekonać, wystarczy wejść np. w bramę przy Głównej 21. Dzięki barwnym parasolkom to z pewnością jedno z najweselszych podwórek, a dzięki Halmi Cafe – interesujące miejsce, gdzie można wypić doskonałą kawę, zjeść wegetariański posiłek i uczestniczyć w jednym z licznych wydarzeń kulturalnych.

Skręcając z Głównej w ulicę Uniwersytecką (na wysokości teatru), dotrzemy do Więzienia Miklusza, XV-wiecznego budynku, w którym mieścił się też dom kata i sala tortur.

Tuż za więzieniem położona jest jedna z najbardziej uroczych uliczek Koszyc, Hrnciarska (Uliczka Rzemiosł), biegnąca wzdłuż dawnych murów

obronnych. To kolejny pomysł burmistrza Schustera, który podczas rewitalizacji starówki zapragnął stworzyć tu enklawę dawnych rzemiosł. W warsztatach garncarskich, kowalskich, rymarskich i szewskich miały powstawać tradycyjne wyroby, a kolejne pokolenia rzemieślników terminować pod okiem mistrzów. Czas zweryfikował ten pomysł i w miejsce kolejno zamykanych zakładów, zaczęły powstawać modne kawiarnie i restauracje. Ostało się zaledwie kilka pracowni, można w nich kupić oryginalne pamiątki, także te wyrabiane przez Romki uczestniczące w programach aktywizacji zawodowej (Romów wysiedlono ze starówki przed rewitalizacją na niesławne osiedle Lunik IX, które obecnie jest stopniowo wyburzane). Hrniciarska to klimatyczne miejsce, którego rozwojem pokierowało życie, korygując szlachetne, ale sztywne plany.

Trafionym w dziesiątkę pomysłem okazało się za to przekształcenie pomieszczeń dawnej fabryki wyrobów tytoniowych (ul. Gorkého 2) w przestrzeń kulturalną o powierzchni 2500 m^2, na których prezentowana jest sztuka współczesna we wszystkich jej formach: muzyka, teatr, taniec, film, sztuki wizualne, multimedia, warsztaty twórcze. Odbywają się tu również publiczne debaty, dyskusje, prezentacje, działa bistro i hostel. Tabačka Kulturfabrik to inicjatywa pozarządowa, za którą stoi stowarzyszenie Bona Fide, od 20 lat współtworzące kulturę niezależną w Koszycach i mające na koncie wiele udanych projektów. Nic dziwnego, że udało im się stworzyć najmodniejsze wśród młodzieży centrum kulturalne w mieście.

RYCERZE Z NIEWIDZIALNEGO ZAMKU

Ale ciekawe rzeczy dzieją się nie tylko w centrum miasta. Oddalony o 6 km na północ zamek w Koszycach to królestwo wyobraźni, nie tylko

dlatego, że trzeba jej użyć, by dopatrzeć się jego zarysu w pozostałych ruinach, ale również z tego powodu, że nie wiele o tym miejscu wiadomo, a szczątkowe informacje zachęcają do snucia domysłów.

Nie jest pewne kto i kiedy postawił zamek, ani czemu miał służyć, a w końcu, czy w ogóle powstał... Wiele wskazuje na to, że budowa nigdy nie została ukończona. Dziś widoczne są jedynie fragmenty murów, z unikatową na skalę Europy trójkątną wieżą obronną i wieżą mieszkalną o nietypowym usytuowaniu. Królestwo wyobraźni ma jednak swoich poddanych, którzy usiłują rozwikłać związane z nim zagadki, stawiają kolejne śmiałe hipotezy i przeprowadzają prace archeologiczne, które owe hipotezy obalają. To grono zapaleńców, w większości wolontariuszy tchnęło w ruiny nowe życie, tworząc tam prężny ośrodek kulturalny i edukacyjny. Na terenie zamku znajduje się wieża widokowa, z której można zobaczyć panoramę Koszyc.

Patrząc na miasto z góry, warto pamiętać o tym, że przemiany w nim zachodzące widoczne są z innej perspektywy – trzeba przyjrzeć mu się z bliska, zanurzyć się w nim, poszperać po uliczkach. Jeszcze do niedawna nawet mieszkańcy nie wiedzieli, że Sandor Marai urodził się w tym mieście, bo komunistyczne władze przemilczały go tak, jak czeskie władze przemilczały Kafkę. Dziś po miejscach związanych z pisarzem oprowadzane są wycieczki, a samo miasto wydaje się realizować jego wytyczną: „Idź zawsze na Zachód. I nigdy nie zapominaj, że przychodzisz ze Wschodu”.

Mural "The Sun" / Styl.pl

Izabela Grelowska

CZYTAJ WIĘCEJ

PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ

MARTIN VOPĚNKA: WYZWOLENIE SIĘ SPOD PRESJI RODZINY JEST TRUDNE

AUTOR: KATARZYNA PRUSZKOWSKA

GRUDZIEŃ 2016

Martin Vopěnka, fot. David Konečný

Znam wiele osób, które są dorosłe, ale nadal nie potrafią sprzeciwić się rodzicom, realizują ich plany i spełniają ich oczekiwania (...). Nawet teraz, kiedy mam własną i jestem szczęśliwy, czuję czasem, że chciałbym żyć w dwóch osobach, które wiodą całkiem różne życia. Myślę, że to poczucie zna wielu z nas – czasem chcielibyśmy zostawić to, co mamy, i spróbować żyć inaczej. Ale nie możemy, bo to życie, które mamy także daje nam satysfakcję. W tym momencie w moim życiu zwycięża rodzina i dom. Innego życia szukam, pisząc powieści – mówi Martin Vopěnka, pisarz, autor książki „Podróżowanie z Benjaminem".

KATARZYNA PRUSZKOWSKA: W twojej powieści „Podróżowanie z Benjaminem", która niedawno ukazała się w Polsce, Davidowi, mężczyźnie w średnim wieku, umiera żona. Jej śmierć jest momentem, w którym bohater zaczyna zadawać sobie niewygodne pytania i próbuje rozluźnić więzy, które nadal łączą go z rodziną.

MARTIN VOPĚNKA: – No cóż, pewnego dnia poczułem, że chciałbym, żeby moja żona umarła. Nie mogłem zabić jej w rzeczywistości, więc uśmierciłem ją w powieści.

Nie czułeś się podle? W końcu zabicie żony, nawet w powieści, nie zdarza się codziennie.

– Nie, skąd. Nie cenzurowałem tych myśli, nie ignorowałem. Zresztą byliśmy już wtedy po rozwodzie, nie sądzę, żeby moja była żona przeczytała tę książkę.

Zabicie jej w książce było próbą poradzenia sobie z rzeczywistymi problemami?

– Nie, nie jestem pisarzem, który radzi sobie z nimi pisząc. Do tworzenia siadam wtedy, kiedy wszystko mam już przemyślane. Jestem już ponad moimi problemami. Ale pisanie ma w sobie coś z medytacji, więc czasem zdarzają się takie zaskakujące sytuacje.

Zostałeś pisarzem, chociaż miałeś być fizykiem. A przynajmniej tego chciał twój ojciec, Petr Vopěnka, genialny czeski matematyk. Jak zareagował na wieść, że chcesz zająć się pisaniem zawodowo?

– No cóż, przez wiele lat z tego powodu ze sobą nie rozmawialiśmy. Myślę nawet, że był czas, kiedy mój ojciec mnie nienawidził. Wydziedziczył mnie, próbował sprawić, bym nie mógł dostać także pamiątek po matce, na których bardzo mi zależało. Ojciec umarł w zeszłym roku i dopiero dwa, może trzy lata przed śmiercią, zaakceptował to, że jestem pisarzem. Choć sądzę, że nawet wtedy uważał, że jestem niepoważnym facetem, który zajmuje się pisaniem o emocjach i seksie.

Choć jesteś jedynakiem, wcześnie, na pewno wcześniej niż wspomniany David, zdołałeś uwolnić się od oczekiwań rodziców i pójść własną drogą. Było trudno?

– Wiedziałem czego chcę i co muszę zrobić, żeby to osiągnąć. Znam wiele osób, które są dorosłe, ale nadal nie potrafią sprzeciwić się rodzicom, realizują ich plany i spełniają ich oczekiwania. Wiem, że wyzwolenie się spod presji rodziny jest trudne. Nawet teraz, kiedy mam własną i jestem szczęśliwy, czuję czasem, że chciałbym żyć w dwóch osobach, które wiodą całkiem różne życia. Myślę, że to poczucie zna wielu z nas – czasem chcielibyśmy zostawić to, co mamy, i spróbować żyć inaczej. Ale nie możemy, bo to życie, które mamy także daje nam satysfakcję. W tym momencie w moim życiu zwycięża rodzina i dom. Innego życia szukam, pisząc powieści. W ogóle uważam, że ludzie czytają powieści właśnie

dlatego – żeby przekroczyć granice, do których w prawdziwym życiu nie mogą się nawet zbliżyć.

– Kiedy byłem młodszy, silniejsza była chęć odejścia z domu. Pójścia swoją drogą. Zwłaszcza, że moja rodzina była chora i nie było łatwo w niej żyć.

Dlaczego?

– Jak powiedziałaś, ojciec był matematycznym geniuszem, prodziekanem wydziału matematyki i najmłodszym doktorem nauk w Czechosłowacji. Jednak po 1969 roku i Praskiej Wiośnie udał się na wewnętrzną emigrację. Wycofał się z życia towarzyskiego, każdy kontakt z otoczeniem bardzo mu przeszkadzał. Miał ogromne oczekiwania wobec siebie i wobec innych.

Wobec ciebie także.

– Tak. On kochał przez sukces. Sukces musiał być, żeby on mógł kochać. Pewnie dzięki temu zawsze czułem przymus, żeby sięgać coraz wyżej.

Chciałeś coś ojcu udowodnić?

– Nie. Traktowałem go dość wyrozumiale, bo uważałem, że w naszej relacji to ja jestem tym mądrzejszym. Poza tym wiele mu zawdzięczam – choćby to, że dał mi wykształcenie, zwłaszcza, że nie stawiał wyłącznie na nauki ścisłe, ale zainteresował mnie filozofią i historią.

Wiele mówisz o ojcu. Jak wyglądały twoje relacje z matką?

– Historia jej życia była tragiczna. Jej żydowska matka, a moja babka, prawdopodobnie popełniła samobójstwo, choć rodzina nigdy tego nie potwierdziła. Mama została sama, w wieku 19 lat wyszła za mojego ojca. On miał bardzo władczy, dominujący charakter, więc ona chyba nie miała

okazji, żeby rozwinąć własną osobowość. Choć możliwe, że ten związek był najlepszym, co mogło ją spotkać. Mama chorowała psychicznie, a ojciec przez całe życie bardzo o nią dbał, spędzał z nią dużo czasu.

– W latach 60. w Czechosłowacji choroby psychiczne były tematem tabu. Nie rozmawialiśmy o nich. Moja mama każdego roku na dwa miesiące znikała z domu. Była wtedy w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. To był koszmar. Leżała spętana, sztucznie ją odżywiano, leczono elektrowstrząsami. A po tych dwóch miesiącach ona miała siłę, żeby wrócić do domu i przez resztę roku być normalną mamą. Bardzo ją za to szanowałem. Oczywiście te pobyty w zakładzie sprawiły, że dość szybko pojawiło się otępienie, demencja. Dlatego mama odeszła od nas o wiele szybciej, niż umarła fizycznie.

Jak w takim razie wyglądało twoje dzieciństwo?

– Wbrew pozorom było bardzo szczęśliwe. Dzieci potrafią oddzielić się od rzeczywistości i zbudować własny świat. Dopiero kiedy zacząłem dojrzewać, pewne rzeczy do mnie dotarły. Nie myśl jednak, że nie mam dobrych wspomnień związanych z moimi rodzicami. Przeciwnie. Nauczyłem się już patrzyć na rodzinę z dystansem i widzieć i te gorsze, i te lepsze rzeczy. Napisałem nawet o swojej rodzinie książkę, ma tytuł „Niekolorowe wspomnienia”.

Martin Vopěnka, fot. David Konečný

Jak została odebrana w Czechach?

– Wiele osób pisało do mnie, że dzięki temu, że tak szczerze opisałem swoje dzieciństwo, oni mogli się zmierzyć ze swoim. Bo ja głośno zadałem pytania, które wcześniej były tematem tabu i próbowałem sobie na nie odpowiedzieć. Być może po lekturze czytelnikom było łatwiej zrobić to samo.

Wspomniałeś, że twoja babka była Żydówką. Czy żydowskie pochodzenie również było w Czechosłowacji tematem tabu?

– Nie w sensie jakichś prześladowań, wytykania palcami. Ale ci, którzy przeżyli Holokaust, przez wiele lat o tym nie mówili. Dziś sytuacja się zmieniła. Posiadanie żydowskich przodków stało się modne. Sam miałem problemy, kiedy chciałem dołączyć do Gminy Żydowskiej. Powiedzieli mi, że mają już za dużo Żydów.

Czy pochodzenie matki miało na ciebie wpływ?

– Na pewno miało wpływ na moją wrażliwość. Być może to właśnie dlatego nie jestem w stanie pisać banalnych historyjek o niczym. Wiem, że w Polsce popularny jest Petr Šabach (czeski pisarz, autor wielu książek, m.in. „Pijanych bananów" – przyp. red.), który pisze właśnie takie wesołe, piwne opowieści. Gdybym ja miał usiąść za stołem i pisać takie rzeczy, uznałbym to za marnowanie mojego talentu.

Mówi się, że ludzie, którzy nie mieli łatwego dzieciństwa, szybciej dojrzewają. Zgadzasz się z tym?

– Być może tak jest. Bo mnie od zawsze interesowały tylko te najważniejsze sprawy, najtrudniejsze pytania.

Często je sobie zadajesz?

– Tak. Nie ma dnia, w którym nie myślałbym o śmierci i nie szukał odpowiedzi na pytanie, co będzie potem. Szczerze mówiąc, nieustannie zaskakuje mnie to, że ludzie unikają zadawania sobie trudnych pytań i tak łatwo wymazują je z głowy.

Może to dlatego, że stawianie sobie takich pytań wymaga odwagi?

– Odwagi wymaga na pewno umiejętność odpowiadania sobie bez cenzury. Bo czasem człowiek nie boi się zadać pytania, ale nie ma odwagi szczerze sobie na nie odpowiedzieć. Wtedy można zadowolić się tymi

gotowymi, łatwiejszymi odpowiedziami. Na przykład, jeśli ktoś jest religijny i traktuje tę swoją religijność powierzchownie, takie odpowiedzi może dać mu wiara.

– Moim zdaniem największy problem polega na tym, że na większość z tych naprawdę ważnych pytań gotowych odpowiedzi nie ma. Pytania o sens życia nie zdarzają się często, ale wtedy, kiedy się pojawiają, naprawdę wznosimy się na wyżyny życia. Dlatego sądzę, że zadaniem pisarzy i dziennikarzy jest mówienie ludziom, że nie warto za wszelką cenę uciekać od tych najcięższych, najtrudniejszych pytań egzystencjalnych. Bo samo ich postawienie sobie może przynieść zadowolenie.

A może ludzie nie zadają sobie trudnych pytań, bo boją się, że szczera odpowiedź może być początkiem jakichś zmian? A tych przecież wielu z nas nie lubi.

– Jasne, to też może być powód. Ale nie demonizowałbym strachu. Ja na przykład uważam, że on mnie wzbogaca, że dzięki niemu przeżywam więcej. Bo mogę sprawdzać, gdzie są moje granice i je przekraczać.

Kiedy najczęściej się boisz?

– Kiedy pakuję plecak i wyruszam w góry. Myślę, że jeśli coś łączy podróżowanie i pisanie książek to właśnie to – ciągłe przekraczanie własnych granic.

Góry są dla ciebie ważne?

– Bardzo. To tam przeczyszczam sobie głowę. Jest mi to potrzebne, żeby mogły pojawić się nowe inspiracje i myśli. W ogóle do tego służy mi podróżowanie. Wybraliśmy się kiedyś z moim przyjacielem Pawliczkiem, który ma na Antarktydzie własną stację badawczą, na wyprawę. 18 dni szliśmy przez śniegi. Cicho, biało. Nie umiem wyobrazić sobie lepszej

sytuacji, by pozbyć się tych wszystkich chaotycznych myśli, które na co dzień mam w głowie.

Czy bez podróżowania i oczyszczania głowy byłbyś w stanie pisać?

– Dziś już tak. Gdybyś dała mi teraz kartkę, potrafiłbym pisać bez problemu nawet w tej gwarnej kawiarni, w której siedzimy. Ale ta umiejętność pojawiła się z czasem. Ostatnio policzyłem, że napisałem już 18 książek, czyli zapisałem 5 tysięcy stron.

– Lubię podróżować, ale nie szukam wtedy konkretnych sytuacji, które chcę opisać. Potrafię wymyślić je sobie sam. Ja szukam emocji. Czuję wtedy strach, bezradność, przerażenie, zachwyt. Mogę przyglądać się temu, jak reaguję, badać skalę emocji, które mi towarzyszą.

Znam ludzi, którzy lubią podróżować dokładnie z odwrotnych pobudek: chcą od swoich emocji uciec.

– Do mnie, na szczęście, ta moda jeszcze nie dotarła (śmiech). Raczej nie odcinam się od tego, co czuję. A w podróży takie próby byłyby jeszcze trudniejsze. Wyobraź sobie taką sytuację: jestem na tej Antarktydzie, mam jedną zapałkę i jak idiota ją łamię. Wtedy ogarnia mnie takie poczucie beznadziei i głupoty, że nie sposób od tego uciec. Ja w ogóle nie jestem zbyt zręcznym człowiekiem, więc takie sytuacje przytrafiają mi się często.

– Byłem kiedyś w tej pawliczkowej stacji. Przestrzeń niewielka, może 4 na 4 metry, a przed wejściem wielka tablica z trupią czaszką i ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie. Ogrzewa się ją piecykiem, który zepsułem już drugiego dnia pobytu. A dodam, że byłem tam sam. Zahaczyłem ręką o rurę, coś pękło, ogień poszedł aż na dach stacji. A jeśli na Antarktydzie spali się stacja, jest naprawdę kiepsko. Dzięki Bogu te płomienie w końcu się zmniejszyły. Podobnych sytuacji miałem wiele.

Pociesza mnie jedynie fakt, że nie było żadnych świadków i nikt się ze mnie nie śmiał. No i jak mam w takiej sytuacji odciąć się od tego, co czuję?

Są ludzie, którzy wyruszają w podróż, żeby uciec od swoich problemów. Są tacy, którzy uważają, że uciec nie można, a problemy jadą za nami. Które podejście jest ci bliższe?

– Ja nie skupiam się na celu. Myślę, że to właśnie samo wyruszenie w drogę pozwala nam dostrzec to, co w nas jest. Sami przed sobą odsłaniamy się i zaczynamy rozumieć, że może ta nijakość, marność, jest w nas. Nie w świecie. Że nie da się od niej uciec. A w związku z tym trzeba się z nią zmierzyć. Droga jest i zawsze była dla mnie bardzo ważna. Bo to jest moment, kiedy możemy porzucić stereotypy, zgodnie z którymi żyjemy, przyjrzeć się na zimno zasadom, którymi się kierujemy. Mam czas myśleć i zadawać sobie te pytania.

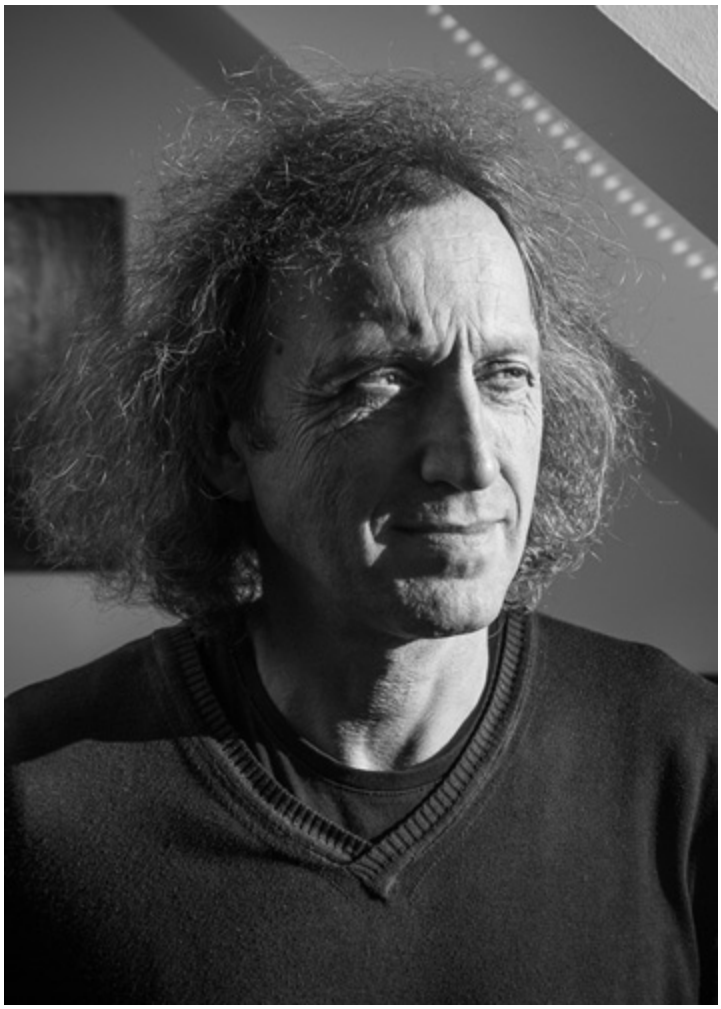

Martin Vopěnka, fot. David Konečný

Powiedziałeś wcześniej, że nie ma dnia, żebyś nie zadawał sobie pytań o śmierć. Dlaczego?

– Nie wiem sam. Ale każdego dnia przychodzi taki moment, kiedy zaczynam o niej myśleć. I to najczęściej dzieje się w tych najszczęśliwszych momentach, kiedy widzę, ile mogę stracić. Ale nie chodzi o to, że ja się śmierci boję. Mnie śmierć wkurza, bo ja bardzo lubię życie. I czuję takie ściśnięcie w środku, kiedy próbuję sobie wyobrazić wieczność.

Nie boisz się śmierci. W takim razie czego? Że wieczność będzie nudna?

– Nie, bo zakładam, że nie będę wtedy świadomy. Nie patrzę na wieczność z perspektywy ludzi, którzy będą po mnie, ale ze swojej. Denerwuje mnie, że mnie tu już nie będzie. A bardzo chciałbym być.

Rozmawiała Katarzyna Pruszkowska

CZYTAJ WIĘCEJ

NIE SKŁADAMY PARASOLEK!

AUTOR: ALEKSANDRA SUŁAWA

GRUDZIEŃ 2016

Uczestniczki Czarnego Protestu / East News / Reporter

Musimy słuchać siebie nawzajem, rozmawiać, bo bez porozumienia „między nami kobietami” niczego nie zbudujemy. Będziemy tylko patrzeć jak ten czy inny rząd odbiera nam kolejne prawa – o tym, co dobrego i co złego stało się w 2016 roku, o tym do czego potrzebna jest kobieca solidarność i o tym, czy nadchodzą czasy kobiet, mówi Maria Amin – psycholożka, koordynatorka akcji Ratujmy Kobiety.

ALEKSANDRA SUŁAWA: Na początek zróbmy krótkie podsumowanie. To był dobry rok?

MARIA AMIN: – Dla kobiet? Zdecydowanie nie.

A ważny?

– Bardzo.

Co w nim było takiego złego?

– Utrudnianie pracy tym, którzy pomagają kobietom – zabranie pieniędzy Centrum Praw Kobiet, Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę i Fundacji Autonomia.

A było coś dobrego?

– Babska solidarność. Wspólnota, która tworzyła się i wzmacniała z każdym kolejnym protestem, każdą akcją, każdym podpisem.

Rok temu, w grudniu, myślałaś że będą potrzebne jakiekolwiek protesty?

– Kiedy Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy, przez pierwsze miesiące kadencji nie afiszowało się zbytnio z tym, że będzie podejmować działania w obszarze praw kobiet. Jednak w marcu pojawiło się Ordo Iuris ze swoim projektem zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej. Rząd przychylnym okiem spojrzał na inicjatywę, swoje poparcie dorzucił kler i komitet Stop Aborcji zaczął zbierać podpisy. No i zebrali.

Wy też zebrałyście.

– Pierwszy raz od 1993 roku udało się zgromadzić podpisy pod projektem, który łagodził przepisy dotyczące przerywania ciąży. W samym Krakowie zebrałyśmy 16 tysięcy podpisów. Kompletne zaskoczenie.

Fragment muralu Marty Frej, upamiętniającego Czarny Protest / East News

Co w tym takiego zaskakującego?

– Fakt, że tak duże poparcie wyrazili mieszkańcy miasta, powszechnie uznawanego za konserwatywne. Zresztą w czasie tej akcji zaskakiwało mnie wiele rzeczy. Na przykład to, że nie chciały się podpisywać młode kobiety, a chętnie składały podpisy starsze panie, mówiąc, że robią to dla swoich córek i wnuczek. Albo to, że podpisywali się mężczyźni w koszulkach żołnierzy wyklętych. Co prawda różnie tłumaczyli tę decyzję – były fajne, empatyczne postawy, ale były też dość ekscentryczne teorie, że aborcja jest potrzebna, bo Polskę wkrótce najadą uchodźcy, który będą gwałcić kobiety. Czy to, że podchodziły dziewczyny i mówiły, że są katoliczkami, że wiedzą, że Kościół jest przeciwny aborcji, ale one chcą mieć wolność wyboru...

Ten rok pokazał, że nie jesteśmy aż tak konserwatywni, jak o sobie myślimy?

– Projekt Ratujmy Kobiety nie był związany z kompromisem aborcyjnym, ale szedł krok dalej. Kiedy zbierałam podpisy, miałam poczucie, że Polacy są już gotowi na tę zmianę. Chcą bezpiecznej aborcji, która nie będzie wykonywana w podziemiu, chcą decydować o przyszłości swojej i swoich dzieci. Tylko, że ludzie się zmienili, a ci którzy stanowią prawo – nie. Pamiętam, że stałam na Wiejskiej, we wrześniu, gdy Sejm przepuścił projekt Stop Aborcji do dalszych prac, równocześnie odrzucając propozycję komitetu Ratujmy Kobiety. Miałam poczucie kompletnej porażki. Tyle pracy, która jednym głosowaniem została wyrzucona do kosza...

– Coś takiego podcina skrzydła, ale tylko na chwilę. Potem był 3 października i Czarny Protest, którego skala przeszła najśmielsze oczekiwania.

I kilka dni później projekt Stop Aborcji odrzucono. Wygrałyście. Skoro tak, to po co na protestach kobiety wciąż krzyczą: „Nie składamy parasolek".

– Różnie. Czasem ze złości, bo krążą plotki o wypowiedzeniu konwencji antyprzemocowej, o którą my, Polki i Polacy, walczyliśmy jeszcze za rządów Platformy. Czasem z frustracji, bo kiedy jest się rodzicem niepełnosprawnego dziecka to tzw. trumienkowe, czyli zasiłek w wysokości 4 tys. złotych, przyznawany za urodzenie chorego dziecka, odbiera się jako policzek. A czasem ze strachu, na przykład przed tym, w jakich warunkach będą przychodzić na świat dzieci, kiedy zniesie się standardy opieki okołoporodowej?

Większość zmian wprowadzanych przez konwencję nigdy nie weszła w życie. Systemowe wsparcie dla rodziców niepełnosprawnych dzieci nie istniało. Koszmar

na porodówkach, to w mediach dyżurny temat. Skoro te zapisy i tak nie działy, to czy te zapowiedzi i decyzje naprawdę cokolwiek zmieniają?

– Zmieniają i to dużo. Jeśli chodzi o konwencję, to przede wszystkim jej zniesienie będzie kolejnym przyzwoleniem dla sprawców przemocy. Po drugie, myślę że ten dokument ograniczał pewne zachowania policji, choćby eliminując wstydliwe przesłuchania i pytania w rodzaju: „A co też pani takiego robiła, że on panią zgwałcił?". Poza tym każda konwencja, aby działać, potrzebuje wdrożenia, finansowania, kolejnych grantów, a tutaj żadnej z tych rzeczy nie było. Nawet nie daliśmy tej umowie szansy.

– Co do opieki okołoporodowej, to tak, ciągle nie jest idealnie. Niedawno leżałam w szpitalu, a obok mnie, na tej samej sali, były kobiety z nowotworami, po utracie dziecka i ciężarne. Wszystkie leżałyśmy na patologii ciąży, bo gdzie indziej nie było miejsca. Ale mimo takich przypadków jakość opieki na porodówkach z roku na rok wzrastała. Według danych fundacji Rodzić po Ludzku od czasu wprowadzenia Standardów Opieki Okołoporodowej, śmiertelność okołoporodowa zmalała o 54 proc. To jest gigantyczna, realna, dobra zmiana. Czytałam też, że z czasem PiS chce ograniczyć liczbę cesarskich cięć, wychodząc z założenia, że najlepszy poród to ten najbardziej naturalny.

Dlaczego komuś miałoby na tym zależeć?

– Nie wiem, ale czasem mam wrażenie, że ten rząd bardzo nie lubi kobiet. Wszystkie te działania są oczywiście związane z patriarchatem, dążeniem do przywrócenia bardzo tradycyjnych ról, wizją świata, w której kobieta siedzi w domu i poddaje się woli mężczyzny, który nawet jeśli bije, to i tak jest lepszy niż potwór gender, czający się w konwencji antyprzemocowej.

Nawet jeśli przyjmiemy, że ktoś rzeczywiście chce wprowadzić takie zmiany, to czy to w ogóle jest realne? Da się odwołać prawa kobiet w kraju, który jest częścią Unii Europejskiej?

– Z perspektywy Krakowa, Wrocławia, Warszawy faktycznie, jesteśmy niemal nietykalne. Mamy pieniądze, wykształcenie i kapitał społeczny, możemy wyjechać za granicę i dokonać aborcji, albo wynająć adwokata, który puści przemocowego męża w skarpetkach. Ale w małych miejscowościach ani tak nie jest, ani jeszcze długo nie będzie. Tam kobiety umierają w wyniku przemocy domowej bądź źle przeprowadzonej aborcji. O swoich prawach często nawet nie słyszały, a jeśli teraz próbowały podnieść głowę i w ramach Czarnego Protestu powiedzieć: „Hola, hola, wara od mojego ciała", to często dostawały reprymendę od męża, szefa czy księdza...

Kolejny raz wspominasz o Kościele. Myślisz, że księża naprawdę mają znaczący wpływ na sytuację kobiet? W kraju, w którym 60 proc. Polaków deklaruje, że nie chodzi na nabożeństwa?

– Myślę, że mają ogromny wpływ, wywierany zwłaszcza przy pomocy edukacji. Gdy po 1989 r. religia wróciła do szkół, nikt nie kontrolował ani podręczników, ani treści przekazywanych na katechezach. Można więc było bez ograniczeń mówić, że aborcja to zło, że dzieci z in vitro są naznaczone bruzdą, że bijący maż zasługuje na wybaczenie, a kobieta jest najszczęśliwsza, gdy siedzi w domu. Takie słowa nie trafiają w próżnię, tylko w młode głowy, które dopiero wymyślają swoje postawy wobec świata i życia.

Mówi się, że w ciągu tego roku między kobietami wytworzyła się niesamowita solidarność. Faktycznie stało się coś niezwykłego?

– Powiedzmy, że zaczęło się dziać. Przesadą byłoby twierdzić, że dziewczyny w Polsce od kilku miesięcy działają ramię w ramię. Wystarczy przypomnieć sobie aferę, która wybuchła po wywiadzie udzielonym dziennikarce Wysokich Obcasów przez Natalię Przybysz. Dziewczyna powiedziała, że zdecydowała się na aborcję i została zmieszana z błotem, przez te same kobiety, które kilka tygodni wcześniej krzyczały na protestach: „Moje ciało – moja sprawa". I Przybysz z tą agresją została sama. Niby była hashtagowa akcja „jestem z Natalią", ale w żaden sposób nie równoważyła ona fali hejtu. Nie znalazła się ani jedna gwiazda, która powiedziałaby: „Hej, ja też to zrobiłam!".

– W Niemczech 20 lat temu na okładce jednego z magazynów pokazały się dziewczyny, które przerwały ciąże, we Francji, gdy przetaczała się dyskusja na temat aborcji, również dochodziło do masowych coming outów. Polkom do takiej solidarności jeszcze wiele brakuje. A żeby ją stworzyć, musimy słuchać siebie nawzajem, rozmawiać, szanować swoje odmienności, bo bez porozumienia „między nami kobietami" niczego nie zbudujemy. Będziemy tylko patrzeć jak ten czy inny rząd odbiera nam kolejne prawa.

A wiecie, co chcecie zbudować?

– Po Czarnym Proteście podniosły się głosy krytyki, że kobiety wyszły na ulice, pokrzyczały, a dopiero potem zaczęły zastanawiać się, co je łączy. A ja uważam, że to naturalna kolej rzeczy. Nie da się odpowiedzieć jednym zdaniem na pytanie: czego chce 20 milionów Polek? Jedne będą za pełnym dostępem do aborcji, inne za ograniczonym, a jeszcze inne całkiem przeciwko. Jednym przemoc domowa będzie obojętna, a dla innych będzie stanowiła realny problem. Jedne będą marzyły o refundacji in vitro, a drugie nawet nie pomyślą o dzieciach. Nie ma

jednego celu, jest za to walka o to, żeby każdy mógł kształtować swoje życie tak, jak chce.

Co zrobić, żeby nie zmarnować tego kapitału społecznego zgromadzonego w tym roku?

– Moim zdaniem edukować i rozmawiać. Już teraz tworzy się koalicja ruchów kobiecych, w skład której wejdą m.in. Dziewuchy, zespół Ratujmy Kobiety i część organizacji pozarządowych, walczących o prawa kobiet. Za cel stawiamy sobie budowanie przestrzeni do dyskusji i porozumienia z ludźmi. Tak, żeby odczarować ten wizerunek złego, przeintelektualizowanego feminizmu, dobrego dla frustratek, które nie mają pojęcia o problemach zwykłych kobiet. Trzeba wykonywać taką pracę u podstaw, która pewnie za 5–10 lat zaprocentuje.

Jakieś konkrety?

– Przez ostatnie miesiące w samym Krakowie cały czas coś się dzieje, nie ma tygodnia, żeby nie było jakiegoś spotkania czy dyskusji. To z jednej strony cieszy, bo pokazuje, ile można zrobić opierając się tylko na oddolnej inicjatywie, a z drugiej smuci, bo na tych spotkaniach ciągle widać te same twarze. Dlatego chcemy jeździć do małych miejscowości i tam organizować spotkania, ulotkować, plakatować... Te ośrodki zostały straszliwie zaniedbane. Kobiety, które tam mieszkają, bardzo rzadko mają świadomość własnych praw. Nic nie wiedzą na temat konwencji, nie wiele na temat aborcji, antykoncepcji i opieki okołoporodowej.

Pod koniec tego roku zaczęły pojawiać się artykuły w rodzaju: Przyszłość lewicy zależy od kobiet. Barbara Nowacka została wpisana na listę najbardziej wpływowych kobiet. Idą czasy kobiet?

– Idą i to nie tylko w Polsce, ale też na świecie. „Dość” mówią nie tylko Polki, ale też Amerykanki, które na styczeń zapowiedziały Marsz Miliona, Austriaczki, które zatrzymały Norberta Hofera w drodze po fotel prezydencki, Irlandki, które walczą o dostęp do aborcji. Ja najsilniej poczułam tę moc, kiedy 3 października, w czasie Czarnego Protestu, stałam na krakowskim rynku, a razem ze mną były tysiące dziewczyn. Wytworzyła się wtedy niesamowita energia. Wydawało mi się, że rodzi się coś na kształt czwartej fali feminizmu.

Ten społeczny kapitał uda się przekuć na polityczny?

– Mam nadzieję, że w przyszłym parlamencie będzie jeszcze więcej kobiet, które będą za wyborem, za mądrą i kompleksową edukacją, za równością. Kobiet, którym w ogóle zależy na innych kobietach, bo teraz poza kilkoma posłankami z Nowoczesnej. takich osób to ze świecą szukać. Jednak nie ma się co oszukiwać, póki jakaś partia nie stworzy programu, w którym będzie ujęty postulat równości płci, partii która jasno powie: „Tak, my będziemy o was walczyć, będziemy z wami”, to będzie nam bardzo trudno.

Podsumowanie zrobiłyśmy. A postanowienia? Co jest do załatwienia w 2017?

– Cały czas musimy pilnować tego, co się dzieje wokół praw reprodukcyjnych, śledzić losy organizacji pozarządowych, które zajmują się prawami kobiet i działaniami antyprzemocowymi, odzyskać standardy opieki okołoporodowej. Trzeba protestować pod biurami rządzących, pisać maile, prowadzić akcje w mediach społecznościowych, tak żeby politycy widzieli, że czuwamy. Że nie składamy parasolek.

Rozmawiała Aleksandra Suława

CZYTAJ WIĘCEJ

MONIKA ROGOZIŃSKA: NAZWALI MNIE „SIR MONIKA”

AUTOR: ADAM WIECZOREK

GRUDZIEŃ 2016

Monika Rogozińska na wyprawie Nanga Parbat 1997-98 w Pakistanie / źródło: materiały prasowe

Pakistańscy górale nie mogli zrozumieć szacunku, jakim obdarzali mnie koledzy. Niepojęte było dla nich dlaczego Andrzej Zawada upomina pomocnika kucharza, żeby mnie pierwszej podawał posiłek. Myśleli, myśleli, aż wymyślili. Zrobili ze mnie mężczyznę. Nazwali mnie „sir Monika” i wszystko zaczęło im się zgadzać – mówi Monika Rogozińska,

dziennikarka, pisarka, współzałożycielka Oddziału Polskiego The Explorers Club, przewodnik tatrzański, ratownik TOPR, współorganizatorka i uczestniczka zimowych wypraw na ośmiotysięczniki.

Jej książka „Lot koło Nagiej Damy”, to niezwykła opowieść o zimowej ekspedycji na Nanga Parbat w Pakistanie i losach polskiego pilota, który po II wojnie światowej tworzył z rodakami lotnictwo w Himalajach, Hindukuszu, Karakorum.

„Lot koło Nagiej Damy” została Książką Górską Roku 2016 (ex aequo) w kategorii Wspomnienia i autobiografie na XXI Festiwalu Górskim w Lądku Zdroju. Z autorką rozmawiamy o historiach, które kryją się w polskich domach, o miłości do gór i odnajdywaniu własnej drogi.

Kpt Henryk Franczak

ADAM WIECZOREK, INTERIA: Jak wiele takich niesamowitych historii czeka jeszcze na odkrycie?

MONIKA ROGOZIŃSKA: – Miliony. Są w każdej polskiej rodzinie! Położenie naszego państwa w tym miejscu Europy, między tymi sąsiadami, od dawna skazuje każde pokolenie na życiorysy niezwykłe. Wojny, okupacje, zmiany granic, „żelazna kurtyna" porozrywały rodziny i pamięć. Komunizm programowo kłamstwem i terrorem niszczył tożsamość,

a więc i pamięć o przeszłości. Znałam ludzi, którzy wracali wiele lat po wojnie z Syberii, obozów sowieckich i milczeli. Miałam ich w rodzinie. Bali się mówić bliskim o tym, co przeżyli, żeby ich nie narażać. Żeby dziecko w szkole nie chlapnęło wiedzą zakazaną. Mój ojciec miał blizny na ręce od drutu kolczastego. Wraz z braćmi walczył jako partyzant Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Powiedział nam, swoim dzieciom, żebyśmy nie pytali skąd ma te ślady.

– Za posiadanie książek wydawanych na Zachodzie lądowało się w więzieniu. Prawdę zapisaną na papierze przemycało się przez zieloną granicę. Nawet książkę o wejściu Reinholda Messnera bez tlenu na Everest, gdy wracałam do kraju ukryłam, żeby się funkcjonariusze nie przyczepili. Była po angielsku, więc wzbudziłaby podejrzenia. Cóż dopiero „Zamach na papieża w świetle Fatimy i w cieniu jednej rewolucji”! Kupiłam tę książkę w Rzymie, gdy byłam z pielgrzymką ratowników i przewodników tatrzańskich na rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II. Wracaliśmy. Ależ nas wtedy nocą przetrzepywali na przejściu granicznym w Chyżnem. Był tylko jeden autokar, nasz. Miałam tę książkę przylepioną do brzucha, w którym zamieszkał już i rósł mój drugi synek. Wreszcie ruszyliśmy. Kierowca włączył radio. Pierwsza wiadomość, jaką usłyszeliśmy, mówiła o uprowadzeniu ks. Jerzego Popiełuszki... Polskie losy przerastają wyobraźnię scenarzysty!

– Opowieść zapisana w „Locie koło Nagiej Damy” zdarzyła się naprawdę. Zaczyna się od zimowej wyprawy na Nanga Parbat (8125 m n.p.m.), której byłam korespondentem na przełomie 1997/98 r. Góra nazywana też Mordercą, Potworem wznosi się nad Indusem, rozpoczynając łańcuch Himalajów. Przeżyliśmy trzęsienie ziemi, lawiny, wypadek, akcję ratunkową. Dowiedziałam się, że tam, gdzie stykają się pasma najwyższych gór: Himalajów, Karakorum, Hindukuszu, latał kiedyś

polski pilot. Opis jego brawurowego lotu w rejonie Nanga Parbat znalazłam w „The National Geographic” z 1952 r. Szukałam śladów tego pilota, ale to on mnie odnalazł.

– Opublikowałam w USA artykuł o wyprawie. 80-letni kpt. Henryk Franczak przeczytał go i wysłał do mnie, do Warszawy, list. Mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Najpierw przepytywałam go przez telefon. Chciałam opublikować o nim artykuł, więc poprosiłam o zdjęcia. Powiedział, że sporo fotografii ma w Warszawie jego przyrodnia siostra, więc szybciej będzie, jak się do niej udam. Wymienił imię i nazwisko... mojej przyszywanej cioci. Z jej synami chodziłam do szkoły podstawowej.

Dakota Henryka Franczaka przed odlotem ze Skardu 1952 r. Pakistan / źródło: materiały prasowe

Podczas lektury odnosi się wrażenie, że wiele wątków zostało uciętych. Czy próbowała pani dotrzeć do pełni tych pobocznych historii?

– Przed oddaniem książki do druku, przez dwa miesiące pracowicie usuwałam różne gotowe już fascynujące wątki. Innymi słowy siekierą obcinałam gałęzie, żeby zostawić sam pień. W tych bujnych gałęziach można było się bowiem zaplątać. Połowa książki poszła do kosza. Teraz łatwiej się ją czyta.

– „Lot koło Nagiej Damy" składa się z trzech części. Pierwsza opowiada o wyprawie na Nanga Parbat. W drugiej oddaję głos odnalezionemu pilotowi Henrykowi – bohaterowi bitwy o Anglię i o Atlantyk. Było ich czterech braci Franczaków. Dwóch wojny nie przeżyło. Jeden – pilot, zginął, zestrzelony podczas lotu z pomocą Powstaniu Warszawskiemu. Drugiego – nauczyciela, dowódcę oddziału AK, zamordował enkawudzista z Armii Czerwonej. Trzeci, wywieziony przez Sowietów na Syberię, wydostał się stamtąd z Armią Andersa. Henryk walczył w Dywizjonie 304 w Anglii. Opowiada o tym, jak alianci zdradzili Polaków i jak znalazł się z grupą naszych pilotów w Pakistanie. Ot, polskie losy...

– Trzecia część książki to historia mojej przyjaźni z Henrykiem. Kiedy go spotkałam był bardzo samotny. Znaliśmy się osiem lat. W wieku 83 lat nauczył się obsługi komputera, aby mieć łatwiejszy ze mną kontakt i śledzić moje dalsze zimowe wyprawy na ośmiotysięczniki Azji. Od lat już tam nie latał, ale pamiętał sylwetki gór i ich topografię. To opowieść o wielkiej przyjaźni i o tym, jak ratowaliśmy się nawzajem.

Gdy bliżej poznajemy Henryka, odnosimy wrażenie, że takich ludzi już nie ma.

– Henryk był prawdziwym przedwojennym polskim dżentelmenem. Mój kolega dziennikarz powiedział, że po tej lekturze mężczyzna choć przez chwilę stara się być lepszy.

Akcja ratunkowa. Zimowa wyprawa na Nanga Parbat 1997-98. / źródło: materiały prasowe

Pani książka to też opowieść o tym, jak być jedyną kobietą w ekspedycji wśród mężczyzn, do tego w świecie Islamu. Tubylcom trudno było zrozumieć pani miejsce na wyprawie.

– Pakistańscy górale nie mogli zrozumieć szacunku, jakim obdarzali mnie koledzy. Niepojęte było dla nich dlaczego Andrzej Zawada upomina pomocnika kucharza, żeby mnie pierwszej podawał posiłek. Myśleli, myśleli, aż wymyślili. Zrobili ze mnie mężczyznę. Nazwali mnie „sir Monika" i wszystko zaczęło im się zgadzać.

W „Locie..." poznajemy panią jako doświadczonego człowieka gór. Jednak nie znamy początków tej pasji? Skąd się to wzięło u warszawianki?

– Każdy rodzi się z jakąś pasją. Ważne, żeby ją w porę odkryć i odważnie za nią podążyć. Komandor Don Walsh – honorowy prezes The Explorers Club, pierwszy człowiek, który dotarł na dno Rowu Mariańskiego, mój

serdeczny przyjaciel i wielokrotny gość w Polsce, zwykł mówić, że każdy rodzi się z genem eksploracji. To gen ciekawości, odkrywania świata. Chodzi o to, aby go nie zabić, lecz wydobyć te zainteresowania i uszanować, nawet jeśli wydają się dziwne. Wiele zależy od rodziców i szkoły. „Człowiek z nową ideą w głowie, to szaleniec. Oczywiście dopóki jego idea nie zatryumfuje" – to zdanie, popularnego niegdyś amerykańskiego pisarza Marka Twaina, warto zapamiętać.

– Miałam szczęście. Rodzice tyrali, żeby trójce dzieci zapewnić wspaniałe wakacje. Bardzo wcześnie wprowadzili nas w góry. Jeździliśmy w Karkonosze. Mieszkaliśmy na wsi w niewielkim domu – klasztorze, którego trzy zakonnice wynajmowały dwa pokoje letnikom, żeby zarobić na utrzymanie. Razem z braćmi i dzieciakami ze wsi pasłam krowy; paliłam ogniska; piekłam w nich ziemniaki; uważałam na żmije na porębach pełnych soczystych malin; leżałam na furze siana zwożonego z łąk i zrywałam czereśnie z drzew, którymi obsadzone były drogi; skakałam na siano z belek poddaszy w stodołach; robiłam tamy z kamieni w górskich potokach, żeby kąpać się w spiętrzonej wodzie. Pomagałam też sprzątać kościół, o który dbały zakonnice. Bracia grali na chórze wariacje organowe. Mnie pozwalali tylko deptać miechy, czyli pompować powietrze do organów.

– Rodzice zabierali nas też na Mazury, gdzie spędzaliśmy lato leśnych ludzi pod namiotami. Choć urodziłam się i mieszkałam w Warszawie, to przyroda stała się dla mnie czymś normalnym i bliskim. Miałam sześć lat, kiedy wdrapałam się na Śnieżkę, a około dziesięciu, kiedy z mamą i braćmi stanęłam na Giewoncie. Mama nieroztropnie pognała nas tam prosto z pociągu, zostawiając tylko bagaż w GOPR-ze, w Kuźnicach, gdzie zamieszkaliśmy. Było super!

– Gdy miałam 14 lat, to już sama biegałam po Tatrach, nie tylko po ścieżkach. Nie powinnam tego robić, bo to niebezpieczne. Opatrzność miała nadzwyczajną dla mnie cierpliwość. Wciągnęło mnie jednak pragnienie wchodzenia na granie, szczyty, żeby zobaczyć, co stamtąd widać. Nie ekscytowały mnie trudności wspinaczki, tylko parła ciekawość. Z czasem zaczęłam chodzić po obu stronach granicy. To dopiero była wolność! Nad głową niebo, pod stopami świat. Do pracy w schronisku, w Dolinie Pięciu Stawów Polskich przyciągnęło mnie pragnienie sensownej służby innym w dekoracjach wspaniałej przyrody.

– Nasze Tatry, choć niewielkie, są piękne i trudne. W Pięciu Stawach przez pół roku jest zima z zamieciami śnieżnymi, lawinami i innymi atrakcjami, na przykład łamiącym się lodem na stawach. Wiosną, gdy schodziłam z progu doliny, gdzie ciągle było biało, rzucałam się zachłannie na żółte kaczeńce w zieleni, które pojawiały się nad brzegiem potoku Roztoki. Nie o zrywanie ich chodziło, tylko o radość sycenia oczu kolorami. Głód kolorów. Pożerałam je oczami. Schodziłam do Zakopanego w zimowym ubraniu i gapiłam się na kobiety na Krupówkach, które w sukienkach wyglądały jak kolorowe motyle. Tatrzańska zima jest bardzo wymagająca. W Himalajach od razu widziałam kto przeszedł zimowanie w Tatrach, a kto nie. Ten, kto miał za sobą to doświadczenie, czuł się normalnie w trudnych warunkach. Psychika mu nie siadała. Tatry uczą cierpliwości i wytrwałości.

Baza Polskiej Zimowej Wyprawy na Nanga Parbat 1997-98. / źródło: materiały prasowe

Może to stąd bierze się zdziwienie alpinistów, że kraj, który ma tak niewielkie góry, wydał na świat tylu zdobywców trudnych szczytów.

– Na to także wpływ miała nasza historia. Polacy poddawani ekstremalnym próbom, mając w sobie dzielność, umiejętność dobrej improwizacji w trudnych warunkach i gen wolności musieli trafić w najwyższe góry. Po Tatrach musiał nastąpić ciąg dalszy.

– Kiedyś w Himalaje nie wchodziło się od razu. Trzeba było pokonać kolejno różne etapy, coraz wyższe progi: Alpy, Kaukaz, Hindukusz, Pamir... Ta droga sprawiła, że w najwyższe góry wchodzili najlepsi z najlepszych. Miałam szczęście znać tych ludzi i uczyć się od nich. To była plejada twardych, wyjątkowo doświadczonych osób, nieprzytomnie kochających góry, wychowanych w etosie, który tworzyła nasza literatura w pewnym okresie bardzo związana z Tatrami. Liczył się nie tyle sukces, co przyjaźnie, partnerstwo, wspólne wyzwania, sięganie za horyzont. Polacy

w Himalajach mieli swój czas wielkich dokonań, ale za przekraczanie barier niemożliwego płacili najwyższą cenę.

– Szczególna determinacja brała się także stąd, że każda z wypraw mogła być ostatnią. Nie tyle ze względu na zagrożenie życia, co na niepewność czy władze dadzą paszport następny raz. Czy wypuszczą. Zachodni wspinacze mieli sytuację luksusową, ale osłabiająca wolę walki. Wiedzieli, że jeśli góra daje odpór, to mogą spróbować w kolejnym roku. Polscy wspinacze tej pewności nie mieli. Więc parli. Na narodziny zimowego himalaizmu także wpływ miała polityka. Gdy po wojnie trwał czas letnich podbojów dziewiczych ośmiotysięczników, u nas panował stalinizm. Andrzej Zawada mógł szturmować władze Nepalu o pozwolenie wydania pozwolenia na zimową wyprawę na Mount Everest dopiero w epoce Gierka. Nie zdążyliśmy na lato, to poszliśmy zimą. Andrzej szturmował długo, bo wyzwanie wydawało się szalone. Zdobycie szczytu Everestu na początku 1980 r. sprawiło, że idea zimowego himalaizmu zatryumfowała.

– Byłam pod Everestem dwa miesiące później po zdobyciu zimowym, na kolejnej wyprawie na tę górę, kiedy Andrzej Czok i Jurek Kukuczka zwieńczyli pracę całego zespołu i wiosną wytyczyli nową polską drogę na szczyt. Alpiniści wchodzili wtedy w góry z miłości do nich. Kiedy wkroczyły tam media – żądza sławy, a za nią i pieniędzy, które niesie, zaczęła zmieniać ludzi i obyczaje. Zamiast koncentrować się na górze, wielu wspinaczy zaczęło skupiać się na tworzeniu przekazu medialnego, kreowaniu własnego wizerunku, nierzeczywistego. Wysokie góry bezwzględnie weryfikują. W ekstremalnych warunkach nie da się długo udawać.

– Poważnym problemem współczesnych wypraw coraz częściej jest to, że ludzie się nie znają. Spotykają się w bazie pod ośmiotysięcznikiem.

Nigdy wcześniej nie wspinali się razem. Nie ma między nimi więzi. Jeśli nie przekroczyli wcześniej wysokości 8000 m, to nie znają i siebie samych. Nie wiedzą jak ich organizm zareaguje na niedotlenienie. Widać w ich zachowaniu paniczny strach, ucieczkę ze szczytu bez zważania na towarzyszy wyprawy.

Korespondentka Polskiej Zimowej Wyprawy na Nanga Parbat 1997-8 / źródło: materiały prasowe

A to nie jest tak, że sama była pani prekursorką przekazów medialnych z Himalajów?

– Tak, ale standardy zachowania były inne. Wyprawa na Nanga Parbat zimą 1997/98 była pierwszą, która przekazywała zdjęcia przez satelitę z ekspedycji na ośmiotysięcznik. Kiedy koledze lawina złamała nogę i sytuacja zrobiła się dramatyczna, to najpierw informowaliśmy rodzinę, bliskich o tym, co się dzieje, a potem publikowana była korespondencja. Nie odwrotnie.

– Gdy jechałam na kolejną wyprawę zimową, tym razem do Nepalu, odwiedziłam w Katmandu leciwą damę – Elizabeth Hawley. Ta korespondentka agencji Reuters, która niedawno obchodziła 93. urodziny, była przez dekady niezastąpionym, najbardziej wiarygodnym źródłem informacji, najrzetelniejszym kronikarzem himalaizmu. „To koniec himalaizmu" – powiedziała wtedy, gdy dowiedziała się, że mam telefon satelitarny na wyprawie. „Oni będą mieli głowy w domach u rodzin, a nie w górach" – skwitowała. Miała dużo racji.

– Dziś każdy na wyprawie ma telefon satelitarny, dostęp do Internetu. Ludzie siedzą przy jednym stole w bazie ze słuchawkami na uszach i każdy jest gdzie indziej. Jeszcze gorzej, jak mają w swoich krajach doradców, którym ufają bardziej niż kolegom czy kierownikowi ekspedycji. To nie jest koniec himalaizmu, ale pewnej epoki na pewno, szczególnie na ośmiotysięcznikach. Wstrząsnęło mną pewne zdanie. Wypowiedział je austriacki przewodnik, kiedy kłamstwo, że wspiął się samotnie na szczyt K2, wyszło na jaw. „Strach przed śmiercią jest okropny, ale strach przed porażką, zwłaszcza w środowisku zorientowanym na sukces, jeszcze gorszy".

– To, co najpiękniejsze w alpinizmie, będzie jednak zawsze ludzi pociągać. Przecież mnóstwo osób się wspina bez tego całego cyrku medialnego, choć oczywiście trudniej wtedy zdobyć fundusze na dalekie wyprawy. Partnerstwo przetrwało też w podziemiach, w ciemnościach,

tam gdzie kamerom ciężko się dostać. W speleologii – alpinizmie jaskiniowym nie ma gwiazdorstwa, jest działanie zespołowe. W tak trudnych warunkach ludzie muszą liczyć na siebie nawzajem.

W Pakistanie musiała pani „zostać mężczyzną", a czy w Polsce kobiety mogą być tym kim chcą?

– Oczywiście. Nie tylko mają wolność wyboru, ale cieszą się wyjątkowym szacunkiem, który zapewnia kobietom religia katolicka i etos rycerski powstały na chrześcijańskiej bazie kultury europejskiej. Dziwne, że są panie, które walczą przeciw temu przywilejowi. Feministkom, atakującym Kościół i podstawy naszej cywilizacji, polecam pobyt w Pakistanie w ramach łatwo dostępnych grantów na badania genderowe. Będą miały pouczające doświadczenie. Ja w każdym razie, kiedy wracam z różnych dłuższych wypraw, całuję polską ziemię, dziękując Opatrzności, że tu się urodziłam. I cieszę się jak dziecko, kiedy z racji mojego wieku, młodzi ludzie ustępują mi miejsce w tramwaju czy metrze.

– Wolność wyboru mamy, ale czy dokonywane wybory sprawiają, że czujemy się szczęśliwi? Na pytanie, co uważam za swoje największe osiągnięcie, odpowiadam: macierzyństwo. Jestem wdzięczna Panu Bogu, że mam dwóch synów, choć marzyłam o domu w górach i sześciorgu dzieci.

– Dzisiaj młodzi ludzie od razu liczą pieniądze, kiedy zaczynają myśleć o dziecku. Przeraża ich poprzeczka narzucanych wymogów. Poddają się na starcie. Gdyby ludzie zawsze tak myśleli, to nie rodziliby dzieci po wojnie, bo wtedy nic nie mieli. A przecież z biegiem lat nie wspominamy ilości pokoi, zabawek, które mieliśmy, tylko ile miłości i swego czasu dali nam rodzice. Nie gadżety dały nam pewność siebie, tylko akceptacja ze strony matki i ojca. Nie wyjazdy zagraniczne nas najbardziej rozwijały

w dzieciństwie tylko rozmowy z rodzicami, dziadkami, ciociami i wujkami, którzy nas kochali.

A jak pani udało się to wszystko pogodzić?

– Nie wszystko się udało. Popełniałam straszne błędy. Ale każde doświadczenie buduje, uczy. Nie rozumielibyśmy cierpiącego człowieka, gdybyśmy sami nie zaznali cierpienia. Z ciekawością oczekuję, co przyniesie dzień. Nie trzeba też bać się wypalania pasji. Należy spokojnie odczekać, poszukać nowej. Otworzyć inne drzwi. To wszystko, co już przeżyliśmy, przyda się.

Wspomniała pani o nowym etapie w pani życiu.

– Dostałam nowe wyzwanie, najtrudniejsze. Walczę, padam i się podnoszę. Nie wiem czy podołam. Dopóki jednak człowiek się nie poddaje, dopóty nie ma klęski. A zaproszeniu do takiej wspinaczki się nie odmawia. Piszę książkę o Górze Gór – Jasnej Górze, duchowej stolicy Polski. Odegrała istotną rolę nie tylko w dziejach naszego narodu. „Tu zawsze byliśmy wolni” – powiedział Jan Paweł II na Jasnej Górze. Tu, w narodowym konfesjonale, widać jacy jesteśmy.

Zatem jacy jesteśmy?

– Pokazywałam Polskę obcokrajowcom od czasu, kiedy mieszkałam w Tatrach i byłam tam przewodnikiem. Pokazuję ją do dziś. Ze względu na kontakty i przyjaźnie w międzynarodowym stowarzyszeniu The Explorers Club, w którym promuję polskie dokonania, organizowałam wizyty w naszym kraju celebrytów światowej eksploracji. To ludzie, którzy wielokrotnie okrążyli naszą planetę. Wyjeżdżali zauroczeni Polską. Zaskakiwała ich uroda i ranga zabytków, zachwycała przyroda, szczególnie lasy, do których każdy może wejść, a także ich czystość – co

niestety zmienia się na niekorzyść. Ale najbardziej fascynowali ich ludzie – Polacy.

– Prowadziłam cudzoziemców do rodzin, tatrzańskich schronisk, na msze do kościołów. Byli zachwyceni tym, co my uważamy za normalne: gościnnością, serdecznością, otwartością, bezinteresownością, skromnością, niesamowitymi losami, hartem ducha i nieprawdopodobną dzielnością, która nam się wydaje zwyczajna. Uważam, że jest genetyczna. Gen dzielności uformowały w naszym narodzie ekstremalne doświadczenia historii. Polacy się nie doceniają. Łatwo dają się wbijać w cudze winy. Podczas Światowych Dni Młodzieży 2016 patrzyłam jak wielu rodaków dziwi się pozytywnym wrażeniem, jakie Polacy robili na przybyszach. Potrzebna jest nam zdrowa duma narodowa. Nie obawiam się, że przekształci się w pychę i szowinizm. Na to nie pozwoli nam religia.

CZYTAJ WIĘCEJ

PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ

Redakcja: Agnieszka Łopatowska
Projekt okładki: Anna Dukat
Koordynator projektu: Barbara Juranek

Kraków 2017

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com